



Shan Sa  
Naga cytra





Na początku V wieku chiński wojownik Liu wprowadził piękną kobietę z arystokratycznego rodu. Choć zdobył ją siłą i był niskiego pochodzenia, Młoda Matka dzieliła z nim wszelkie trudy życia. Ambitny Liu został cesarzem, a ona cesarzową. Wkrótce Liu zmarł, a Młoda Matka schroniła się w buddyjskim klasztorze. Żyła tam spokojnie przez dwadzieścia lat, aż do czasu, gdy oskarżono ją o spisek i zmuszono do popełnienia samobójstwa.

Pod koniec VI wieku wybitnie uzdolniony lutnik imieniem Shen Feng pomaga zdobyć pieniądze przyjacielowi zakochanemu w mniszce z buddyjskiego klasztoru. W tym celu postanawiają splądrować grobowiec pewnej arystokratki. Nie znajdują żadnych bogactw, więc kradną wieko trumny wykonane z niezwykłego drewna. Materiał idealnie nadaje się na cytrę. Shen Feng, chcąc uniknąć kary za zbeszczeszczenie grobowca, ucieka na statek rzecznych piratów. Towarzyszy mu duch pięknej kobiety, który wniknął w wieko trumny. Kradnąc je, Shen przywołał z powrotem na świat Młodą Matkę i zakochał się w niej bez pamięci...

## Shan Sa

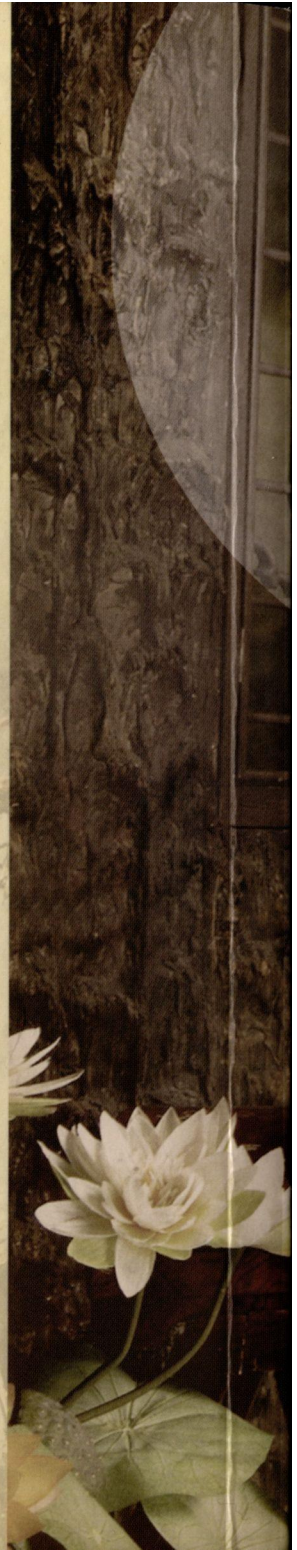
urodziła się w Pekinie w 1972 roku. Mieszka w Paryżu. Pisze po francusku. Nakładem wydawnictwa MUZA ukazały się jej powieści: *Cztery życia wierzby*, *Brama Niebiańskiego Spokoju*, *Konspiratorzy*, *Aleksander i Alestria*, *Dziewczyna grająca w go* oraz *Cesarzowa*.

[www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

ISBN 978-83-7495-517-1



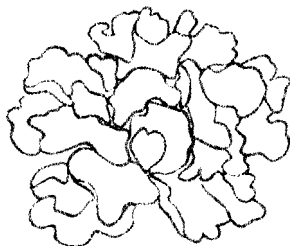
9 788374 955171



# **Shan Sa**

## **Naga cytra**

**przełożyła**  
**Krystyna Sławińska**



**Warszawskie Wydawnictwo Literackie**  
**MUZA SA**

Wielkie barbarzyńskie najazdy zaczęły się w III wieku. Na Zachodzie Frankowie, Alamanowie, Hunowie, Goci, Germanie, Wandalowie wdarli się do Cesarstwa Rzymskiego, wywołując destabilizację imperium. W roku 476 abdykacja cesarza Romulusa Augustulusa przypieczętowała upadek.

W tym samym czasie koczownicze ludy Xianbei, Xongnu, Di, Jiang, wtargnęły do Cesarstwa Chińskiego. Doprowadziły do upadku dynastii Han, potem dynastii Jin, zmusiły Chińczyków do opuszczenia swych ziem i ucieczki na południe od rzeki Jangcy. Kraj został wówczas podzielony na dwie części. Na północ od rzeki koczownicze ludy uległy schińszczeniu. Przyjęły administrację i pismo chińskie, stworzyły swoje królestwa. Na południu Chińczycy jednoczyli się wokół Syna Niebios, cesarza posiadającego - według nich - mandat boży.

Królestwa Północne i dynastie z Południa toczyły zaciekle walki. Równolegle z wojną Północy z Południem rozgrywały się liczne tarcia wewnętrzne. Na Północy plemiona walczyły ze sobą o powiększenie swych terytoriów. Na Południu lokalni władcy wydzielali sobie tron.

Na Północy uformowało się szesnaście królestw. Ich liczba malała z upływem lat konfliktu. Na Południu dynastie Wschodnia Jin, Song, Qi, Liang, Chen następowały po sobie w szybkim tempie wojen domowych. Dwieście lat później Yang Jian,

minister pochodzenia chińskiego, zdobył tron królestwa założonego przez wędrownie plemiona. Zjednoczył Północ, rzucił wyzwanie Południu i zjednoczył Chiny w roku 589.

Jeden

## *Rok 400, Wschodnia Dynastia Jin*

Armia idzie wzdłuż Żółtej Rzeki. Rżą konie, skrzypią powozy, jeźdźcy i żołnierze piechoty wzniesają wrzawę. Tworzą ogromnego węża, powoli pełzającego naprzód.

W powozie pokrytym czarną tkaniną drzemie Młoda Matka. Straciła poczucie czasu, nie dostrzega następujących po sobie pór roku. Wojskowa droga to ciemny, zimny korytarz wyłączony z reszty świata. Życie wojskowe wyznaczone jest zawodzeniem rogów zapowiadających wymarsz i postój, biciem bębnow, które nawołują do ataku i odwrotu. Młoda Matka nie umie odczuwać radości. Zna tylko smutek. Słaba i bezbronna, zmuszona jest jechać za mężczyznami, którzy ją wprowadzili.

Zapadły jej się policzki. Nagły zgrzyt kół i niepokojący szum rzeki przeszły jej ciało. Ręce i nogi opuchły. Piersi wzbierają i boją. Brzuch staje się wzgórkiem gotowym wyrzucić z siebie wodę i krew. Życie toczy w niej zaciekłą walkę ze śmiercią. Długim sznurkiem znalezionym na polu bitwy mocno przywiązuje duży brzuch do swego wątłego ciała trzymającego się na cienkim kręgosłupie. Boi się, by dziecko nie oderwało się od niej i nie wypadło z powozu. Na drodze, którą przechodzi wojsko, nie ma już ani bogatych, ani biednych; są trupy, umierający z głodu ludzie, tułacze. Konie wpadają na siebie, rydwany i powozy jada jeden za drugim, żołnierze piechoty biegną w ścisłych szeregach. Ranni, chorzy, ci, którzy padają i podnoszą się zbyt późno,

wszyscy, którzy zostają w tyle, zostaną zabrani przez Króla Ciemności.

Powóz szarpie, trzęsie się. Koła trzeszczą w koleinach. Młoda Matka otwiera oczy i obejmuje rękami brzuch. Nagle strzała wbija się w dach, grot rozdziera tkaninę. Młoda Matka powstrzymuje krzyk. Powóz staje. W oddali rozbrzmiewają rogi wzywające do ataku. Rozlegają się okrzyki wojenne, najpierw ciche, potem coraz bliższe. Matka słyszy, jak powożący z wściekłością okłada batem muła. Powóz chrzęści, w końcu rusza.

Gwałtowny skurcz brzucha. Zwija się z bólu. Wody wyciekają spomiędzy ud. Druga strzała dziurawi dach. Matka osuwa się na ziemię, kuli się.

Wydłużony galop przynosi okrzyk żołnierza:

- Ogień! Pali się!

Inny żołnierz odpowiada:

- Wystrzelili płonące strzały na konwój ze zbożem!

Ziemia drży od końskich kopyt.

- Szybko! Kobiety i zboże do wsi!

Ogień rozjaśnia ciemności. Ogień rysuje czerwone kwiaty na czarnym obiciu powozu. Ich szkarłatne płatki powiększają się i rozrywają. Młoda Matka ma duszności. Nie rozróżnia już stukotu kół od rżenia koni, od bieraniny żołnierzy wykrzykujących krótkie rozkazy. Tumult staje się ogłuszający, nie do zniesienia. Zamyka oczy. Jej prababka urodziła w powozie, w czasie pościgu łuczników z plemienia nomadów. Zaraz potem wyzionęła ducha, a dziecko musiało ssać mleko zmarłej.

Czy ktoś rzucił urok na jej rodzinę?

Wywodzi się ze znamienitego rodu Równiny Środka. W jej żyłach płynie krew wszystkich notabli zwanych Wysokie Progi. Wysokie Progi utrzymują bliskie kontakty, zawierają między sobą związki małżeńskie od niepamiętnych czasów. Stanowią najwyższą kastę chińskiego społeczeństwa, nie płacą podatków na rzecz



Dworu, nie mają zobowiązań wobec cesarzy i żyją, prowadząc samowystarczalną gospodarkę na wsi.

Jej przodkowie posiadali rozległe ziemie na Równinie Środka. Konny jeździec musiał galopować przez piętnaście dni, by okrążyć ich posiadłości składające się z lasów, pastwisk, pól, wiosek i domów. Kiedy wielki najazd Barbarzyńców zmusił armię chińską do odwrotu, klan opuścił Równinę Środka, przekroczył rzekę Jangcy i schronił się na jej południowym brzegu. Powstała tam nowa dynastia, Wschodnia Dynastia Jin.

Z potu wygnańców zraszającego ziemie Południa powstały niezliczone nowe miasta. Wysokie Progi utraciły majątek, lecz zachowują pozycję swej kasty, żyją w autarkii, z dala od nowej stolicy. Oczekując odzyskania ziem Północy, wykarczowali, nawodnili wzgórza i osuszyli bagna. Pałace, świątynie, ogrody są wyższe, bardziej wyrafinowane niż te, które pozostawili Barbarzyńcom. Klimat jest łagodny, ziemie żyzne, rozwija się uprawa ryżu, bawełny i hodowla jedwabników; wśród ludu rozpowszechniły się techniki tkactwa i złotnictwa. Rozwinał się handel. Wzbogaceni kupcy nabierają znaczenia, chociaż należą do najniższej społecznej kategorii.

Wysokie Progi pogardzają przemianami. Ich życie jest nieodmienne. Ambicje militarne pozostawiają Cesarzowi i lokalnym gubernatorom. Poezja, malarstwo, muzyka, gra w go i studiowanie metafizyki są ich ulubioną formą spędzania czasu. Na wiosnę urządzają pikniki nad jeziorami, obserwują białe bociany unoszące się we mgle; w lecie grają na lutni i flecie przy świetle księżyca; jesienią konkursom poezji towarzyszą libacje i delikatne fileciki z surowych ryb; w zimie łagodne śpiewy z Południa sprawiają, że młode pokolenie nie chce już wracać na Równinę Środka, do surowej zimy, do śniegowych zamieci.

Młoda Matka od poprzedniego dnia nie jadła i nie piła, nie odczuwa jednak ani głodu, ani pragnienia. Sięga ręką pod

Zapominała zacisnąć zęby, poddawała się Mamie Liu. Ociekająca potem, opadała na poduszkę i zasypiała, do następnej pobudki, do następnych ziółek.

Mama Liu była niewolnicą, której imienia ani wieku nikt nie znał. A jednak to ona nosiła przy pasku duże kółko z brązu z wszystkimi kluczami od wszystkich domów. Poprzedzał ją odgłos jej autorytetu; klucze brzęczały, zanim się ukazała. Kiedy siadała i brała do ręki pędzelek, to nie po to, by kaligrafować czy malować. Prowadziła dwie księgi rachunkowe, jedną posiadłości na wsi, drugą domu w mieście. Złośliwi mawiali, że oddalała Dziadka od jego żon, aby łatwiej podporządkować go swojej władzy. Mama Liu doglądała uprawy pól, kontrolowała ziarno, a potem zbiory. Liczyła worki z ryżem i bele lnu, bawełny, jedwabiu dostarczane przez chłopów przywiązanych do rodzinnej ziemi. Sapeki otrzymane z rąk kupców nawlekała na długie jak węże sznureczki i rozdawała służącym żon. Raz w miesiącu łądowała do łodzi worki jarzyn, owoców, orzechów, ryżu i udawała się do miasta. Zatrzymywała się u Dziadka i porządkowała mu dom. Kiedy Mama Liu uważała, że nikt nie potrafi odpowiednio się zająć młodziutką panienką, zabierała ją ze sobą i nikt nie ważył się ich zatrzymać.

Przywiązana do Mamy Liu jak klucz do paska, upajała się jej dźwięcznym głosem, wchodziła pod spódnicę i dokazywała pomiędzy nogami. Kiedy szorstkie dłonie głąskały ją po twarzy, odczuwała falę przyjemnych doznań. Ze wszystkich wnucząt Dziadka pochodzących od różnych żon Mama Liu lubiła tylko ją. Otaczała ją troskliwą opieką, uważała, że jest zbyt chuda, za bardzo milcząca. Bez mrugnięcia przyglądała się, gdy panienka jadła i szykowała sobie miejsce do spania przed jej drzwiami.

Przy jej pasku wisiał klucz z pozłacanego brązu, w kształcie stonogi. Otwierał drzwi pokoju, w którym przechowywano skarby klanu. Rzędem stały tam szafy z pachnącego drewna,

odporne na działanie robactwa i wilgoci, stawiano w nich pionowo instrumenty muzyczne. Mama Liu delikatnie odkurzała je ściereczką. Instrument w kształcie bananowego liścia wymagał szczególnej troski, chociaż jego podniszczone i spękane pudło było najbrzydsze ze wszystkich. Mama Liu mówiła, że ta stara cytra jest jedną z niewielu cennych rzeczy, które rodzina zabrała ze sobą, uciekając na Południe, i że ona jedna jest warta tyle, co całe miasto.

Mama Liu nuciła miłe dla ucha melodie. Nie była Chinką, pochodziła z dzikiego plemienia z Dalekiego Południa. Gdy jako mała dziewczynka Młoda Matka śpiewała, naśladowując jej akcent, Mama Liu z rozkoszą przymykała oczy i klepała się jedną ręką po udzie, tak jakby słyszała najpiękniejszą muzykę.

Pewnego ranka, po obudzeniu, dziewczynka zobaczyła, że łóżko Mamy Liu przy drzwiach do pokoju jest puste. Słońce wpadało przez okienne szybki i nieruchomiało na pościeli noszącej jeszcze odcisnięty ślad jej ciała. Złociste drobinki kurzu wirowały ponad owym śladem, lecz nagle rozbłysły. Przybrały formę śpiącej kobiety, a potem się rozproszyły.

Później powiedziano jej, że Mama Liu w nocy umarła. Wraz z nią wczesne dzieciństwo uleciało gdzieś w obłoki, jak pióropusz mniszka.

Za wysokimi murami rodzinnej posiadłości życie toczyło się spokojnie. Osły i konie skubały trawę na pastwiskach, gęsi i kury znosiły jajka pośrodku dróg. Osady, które strzegły ryżowych pól i stawów pełnych ryb, były osłonięte drzewami. Na rozległą posiadłość składały się domy i ogrody rozdzielone pomiędzy ojca i wujków, połączone strumieniami. Panienska dokazywała z braćmi i kuzynami, jeździła na kozach, łowiła krewetki, zbierała liście morwy dla jedwabników.

O pół dnia podróży statkiem leżało miasto, w którym mieszkał jej dziadek, miasto otoczone kamiennym murem,

gdzie kanały pełniły rolę ulic, a łodzie ozdobione złotymi liśćmi zastępowały ustrojone konie. Zadzierając głowę, liczyła domy z malowanymi belkami i balustradami, odcinające się na tle nieba.

Dziadek mieszkał w piętrowym domu. Dobrze znała wszystkie malowidła, wszystkie freski, w najdrobniejszych szczegółach. Pejzaże, kwiaty, zwierzęta, sceny historycznych bitew, przygody kupców jedwabnych na północno-zachodniej pustyni, ilustracje do dawnej poezji, życie królów i słynnych mędrców - dom wydawał jej się większy niż królestwo. Jej pokój znajdował się na trzecim piętrze. Skakała po drewnianych schodach, by skrzypiały pod jej ciężarem. Kiedy stała w oknie, miasto rozciągało się przed nią jak najdłuższy malowany zwój.

Na wiosnę w różnych miejscach rozkwiatały kwiaty. Ich barwy, z początku wyraziste, później nakładały się na siebie. Kiedy wiał wietrzyk, kwiatowe płatki unosiły się wysoko i opadały na jej włosy. W lecie, gdy wybuchały burze, kanały upodabniały się do szmaragdowych wstęg. Jesienią, w księżycowe noce, pawilony rzucały na kanały odbicie, które tworzyło wielkiego srebrzystego węża. Pełzał wokół niej, popisując się swymi pstrokatymi pręgami, żeby ją rozśmieszyć. W zimie kupcy wydawali za mąż córki i wystawiali na pokaz swoje bogactwo. Całe miasto wylęgało na brzegi, by oglądać przepływające statki załadowane posagami. Złota zastawa, jaspisowe wazy, korale w kształcie drzew płynęły przy dźwiękach wesołej muzyki, a za nimi meble z cennego drewna inkrustowane masą perłową i marmurem. Kiedy na ostatku ukazywały się bele jedwabiu, dzieci pokrzykiwały i szczebiotały, mężczyźni marszczyli brwi i skubali brody, kobiety natomiast z zazdrości zamierały w milczeniu.

Jedwab, ten pieszczotliwy dotyk, mający jednak żywotność płomienia i świeżość bambusowego lasu, dostępny był jedynie szlachetnie urodzonym. Cesarski dekret zabraniał ludowi no-

szenia jedwabnych ubiorów, a ci, którzy naruszali to prawo, skazywani byli na śmierć. Nawet najbogatsi kupcy mogli eksponować jedwab tylko wewnątrz sklepów, jak dzieło sztuki.

Gdy była małą dziewczynką, uwielbiała jedwab, wprost do szaleństwa. Ugniatała go, tuliła, owijała wokół ciała, gdy tkacze uniżenie zjawiali się u jej dziadka i pokazywali swe najnowsze sztuki. Chwytała belę za sam skraj i pociągała jednym mocnym ruchem. Rozpościerały się barwne fale. Jedwab w zależności od różnych sposobów tkania nosi rozkoszne nazwy. Znała ich wiele, recytowała jak poemat: „Spóźniony śnieg kwitnącej gruszy”, „Sen na kameliowym moście”, „Cień wierzby”, „Wędrujące obłoki lata”, „Śpiew wilgi w zielonej mgle”, „Księżycowy rogalik”, „Kaskada chryzantem”, „Leniwe orchidee”...

Kobiety Wysokich Progów, jak mawiał Dziadek, który dał jej wszystko, o czym zamarzyła, są bardziej zadziwiającej niż najszlachetniejszy jedwab.

Dziadek, urodzony w drodze na wygnanie, uwielbiał rozrywki. Miał talent poetycki i malarski, ponadto doskonale grał na czterostrunnej mandolinie. Wieś go nudziła, mieszkał więc w mieście, gdzie dzień i noc trwały uciechy. Barka pokryta haftowaną tkaniną była jego trzecim miejscem zamieszkania. Lubił pływać kanałami o poranku, podziwiać zmienne barwy jutrzeńki, wślizgiwać się pod mosty i pozostawiać na wodzie kaligrafię, odbijając promienie słońca uchwytem wachlarza.

Kobiety w oknach niecierpliwie wypatrywały jego przybycia; machały chusteczkami, rzucały na dziób bukiety kwiatów, w których ukryte były miłosne poematy. Dokonywał wyboru według urody wiersza. Kiedy podpływał do jednego z pawilonów, wielkie kurtyzany, które zazwyczaj zasłaniały swe piękne twarze, wychodziły, spiesząc powitać go z odkrytą głową.

Zza zasłony z pereł i skłębionego dymu kadzideł białe delikatne ręce podawały mu ciepłe serwetki, a potem w złotych i srebrnych naczyniach fileciki z surowej ryby ułożone w kształcie

najprzeróżniejszych kwiatów. Po odbyciu sjeisty zabawiano się w gry słowne, przy wtórze małego gongu, a przegrany musiał opróżnić czarkę wina. Rozbawiony lub upojony Dziadek wydobywał dźwięki ze swej mandoliny z kości słoniowej, z gryfem w kształcie kobiecego ciała, i śpiewał zaimprovizowany poemat. Jako że sława złotnika świadczy o wartości cennych klejnotów, kurtyzany uhonorowane jego poematami mogły sobie pozwolić na podwyższenie stawek.

Po zapadnięciu zmroku pawilon Dziadka ożywił się. Jak wielobarwne przedwieczorne obłoki, malowane statki spływały z czterech krańców miasta. Wiatr nadymał długie rękawy postaci stojących na dziobie i poruszał skrajem ich tunik. Uczesani w wysokie koki, z twarzami upudrowanymi na biało, karminowymi ustami i oczami podkreślonymi czarną kreską, goście nonszalancko poruszali wachlarzami z egzotycznych piór, jak niebiańscy Nieśmiertelni udający się na ucztę w ogrodzie Jaspisowego Stawu, wydawaną przez boską Matkę Zachodu. Statki podpływały do nabrzeża. Opierając się na ramieniu służących, goście zeskakiwali na ziemię. Rozlegał się głośny stukot ich sandałów z cennego drewna. Wysokie obcasy wypełnione pachnącym pudrem przy każdym kroku pozostawiały ślad białego lotosu w alejce wybrukowanej czarnym kamieniem. Siadali na werandzie wychodzącej na kanał, popijali wino, kosztowali surowych ryb z rzeki Jangcy i rozprawiali o nieśmiertelności i alchemii. Zapadała noc. Wschodził księżyc. Wirujące na wodzie lampiony sunęły w dół kanału, co zapowiadało przybycie wielkich kurtyzan. Spiczaste łodzie wyłaniały się z ciemności. Kobiety z zasłoniętymi twarzami kłaniały się na przywitanie zebranych, śpiewały poemat z towarzyszeniem mandoliny, po czym ich łodzie znikwały w migotliwym poblasku.

Dziadek i ojciec nie mogli mieszkać razem. Dziadek, człowiek o donośnym głosie, późno kładł się spać i wcześniej wstawał. Potrafił do samego świtu rozprawiać o konfiguracji gwiazd,

a potem wędrować nad kanałami na spotkanie słońca. Ojciec wprost przeciwnie, wcześniej chodził spać, późno wstawał, unikał przyjęć i biesiad. Był błądy i zmysłowy, miał słaby głos, senne spojrzenie. Znaki zodiakalne obu mężczyzn były niezgodne ze sobą, pierwszy zdominowany przez żywioł Drzewa, drugi Metalu. Kiedy się gniewali, stryjeczni dziadkowie mawiali, że „ostrze” znowu trafiło na „drzewo”. Swego ojca poznała dopiero po śmierci Mamy Liu i Dziadka.

Na barce ojciec nie siadał. Kładł się na dziobie, pod parasolem. W rytm miarowego kołysania płynęli w kierunku wylaniającej się na horyzoncie dzikiej wyspy porośniętej trzcina. Kiedy ojciec z córką dobijali do brzegu, natychmiast cisnął się przy niej spory tłumek nóg. Kurczowo trzymała się długiego ojcowskiego rękawa. Różne głosy witały ojca, po czym zwracały się do niej:

- Jaka śliczna panienska!

Rumieniła się i chowała twarz w plisach tuniki ojca. Na wyspie było duże targowisko. Dziewczynka oglądała ptaki i małpy, patrzyła, jak ojciec kupuje drewniane kołki do wyrzeźbienia cytry oraz otoczaki, by zrobić z nich kamienie pisarskie. Spotykali tam mędrców niskiego pochodzenia, którzy zarabiali na życie, sprzedając od czasu do czasu kaligrafię lub obrazek. Wysokie Progi nie zadawały się z ludźmi niższej rangi, lecz zakaz ten wywoływał u ojca wręcz odwrotną reakcję. Zapraszał ich, częstował piciem i jedzeniem. Wznosił toasty, nazywał ich swymi braćmi, ofiarował im cytry i kamienie pisarskie rzeźbione własnymi rękami.

Ojciec włóczył się bez celu, ona za nim krok w krok. Najbogatsi mieli stragany, biedni rozkładali swoje drobiazgi na dziurawej macie. Było tam mnóstwo sklepików z półszlachetnymi kamieniami. Można było kupić bryły jadeitu, różowe i żółte kryształki, turkusy i lapis lazuli. Ojciec pytał o czarne otoczaki wyciągane z błotnistego dna jeziora. Obmacywał je, ważył

w rękę, wsłuchiwał się w odgłos stukania i przypatrywał się barwie, żyłkom. Przycinane i szlifowane na kształt płaskiego moździerza otoczaki zamieniały się w kamienie pisarskie zrobione płaskorzeźbą. Pocierając o nie pałeczkę sadzy z żywicy sosny, otrzymywano czarny tusz do kaligrafii i malowania.

Ojciec zaniedbywał swe rodzicielskie obowiązki, na obiadach czy na kolacjach klanu pokazywał się jedynie podczas ważnych uroczystości. Ignorował krytykę innych członków klanu, wolał oddawać się pracom manualnym, wykonywanym zwykle przez klasy niższe, przez niewolników. Pośrodku bambusowego lasku kazał wznieść szałas kryty słomą. Spędzał tam całe dnie, wśród powstających właśnie cytr, niedokończonych kamieni pisarskich czy świeżo wyjętych z pieca wyrobów ceramicznych. Przeciwnie niż u przedstawicieli Wysokich Progow, którzy mają pulchne dłonie, ręce ojca były krótkie, mocne i potrafiły posługiwać się nożami, heblami, piłami, młotkami. Pod jego palcami surowa, ciemna materia nabierała kształtu, proporcji, blasku, ożywiała się tchniętym w nią duchem i barwą.

W pogodne wieczory, gdy pięknie świecił księżyc, ojciec - popijając - grał na cytrze w bambusowym gaju. W miarę jak się coraz bardziej odurzał, jego lewa ręka coraz szybciej przesuwała się na strunach, szarpanych ręką prawą. Rozlegały się niskie, szerokie tony, które stawały się szumem fal, pomrukiem rzeki. Wyraźniej słychać było końskie rżenie i szczęk broni, czemu wtórowały ostre krzyki ptaków przelatujących na tle nieba.

Siedziała pośrodku chatki. Obok głębokim snem spał jej pijany ojciec. Odważyła się wziąć cytrę i naśladować ruchy jego rąk. Jej drobne dłonie niezręcznie przesuwały się na strunach. Palce pocierały, szarpały, pociągały, przytrzymywały. Powstawała muzyka. Delikatny, nieśmiały, prostoduszny i spontaniczny śpiew kobiety u progu życia.



Przed owalnym lustrem młoda dziewczyna tańczyła z rękami w górze. Jej długie rękawy falowały, marszczona suknia rozchyłała się jak piwonia. Nagle dziewczyna przystanąła i podeszła do lustra. Jej dwa warkocze związane barwnymi wstążkami układały się na karku w bukiety kamelii. Między brwiami błyszczała płytką złotą precyzyjnie przycięta na kształt cykady. Policzki były lekko upudrowane bladą czerwieńią. Usta pośrodku musnięte cynobrem, jak dwa płatki kwiatu śliwy. Zarumieniła się, patrząc na siebie. Zakryła twarz rękami, osunęła się na dywan. Miała już czternaście lat, właśnie oficjalnie przyniesiono jej wiadomość o jej kobiecym szczęściu.

Zasięgnięto porady horoskopów, przypieczętowano zaręczyny. Swatką była ciotka, wżeniona w wysoce szlacheckiej krwi ród Wang. Młoda Panna poślubi wnuka Wang, spadkobiercę tytułów przodków i rozległej posiadłości, w której na wiosnę zakwitały słynne szkarłatne piwonie.

Zaraz po zaręczynach ciotka nakłoniła ją do odbycia pielgrzymki. Nawet ojciec, człowiek tak bardzo aspołeczny, został zmuszony do przyłączenia się do orszaku. Po dwóch dniach podróży statkiem rzucono kotwicę i wszyscy piechotą udali się do klasztoru. Tam zapalono kadzidła i przekazano mnichom dary, później zaś rodzina urządziła piknik nad wodą, pod kwitnącymi gruszami; drugi klan przyjechał do nich kolasą. Były przywitania i pokłony, po czym członkowie obu rodzin rozsiedli się po dwóch stronach alejki. Rozbrzmiała muzyka, pojawiła się grupa tancerek. Z wdziękiem poruszały rękami w udrapowanych, długich malowanych we wzory rękawach. W lśniącej smudze słońca ręce wyginały się, wiły i wirowały.

Podawano rozmaite dania, lecz Młoda Panna niewiele jadła. Nieustannie się rumieniła. Trzymała opuszczoną głowę, nie ważyła się podnieść wzroku, wbitego w wegetariańskie potrawy podane w naczyniach z laki. Za murem tancerek znajdował się jej narzeczony.

Po odbyciu pielgrzymki poczuła, że staje się „kobietą”. Obracała się przed lustrem, zastanawiała się, czy jest urodziwa. Wieczorem, gdy szła spać, ukazywała jej się twarz narzeczonego, migająca poprzez rękawy tancerek. Jego dzieciinne policzki, różowe wargi znowu wywoływały u niej rumieńce i mocniejsze bicie serca. Czuła niepokój na myśl, że będą dzielić łożę.

Nadchodziły dary mające przynieść szczęście. Rodzina Wang przysłała sztabki złota w kształcie kopyt, bele jedwabiu, kaczk i gęsi. Posag przygotowany przez rodziców wystawiony był w sali, do której przychodzili krewni, by go oglądać i dorzucać jeszcze inne dary. Młoda Panna schowała się w swoim pokoju, ale do jej uszu dobiegały echa zachwyków. Małe kuzyneczki przeliczały pościel, zasłony, suknie, płaszcze, naczynia, meble i użalały się, że nie są jeszcze zaręczone.

Gdy zapadła noc, wymknęła się z pokoju. Z lampką w ręce błądziła między meblami z cennego drewna i otwartymi kuframi pełnymi pościeli, dywanów, naczyń stołowych. Suknie wiszące na wieszakach miały rękawy rozłożyste jak motyle skrzydła, dół rozpostarty jak wachlarz. Piwonie, ptaki, drzewa, obłoki, góry i morza były wyhaftowane drobnym ścięciem i obwiedzione złotą nicią. Dostrzegła leżącą na stoliku cytrę w kształcie liścia bananowca, o korpusie z czarno-purpurowej, spękanej laki. Serce zabiło jej mocniej. Rozpoznała najcenniejszy przedmiot z rodzinnej kolekcji, ten, który Mama Liu wyjmowała z szafy i starannie wycierała, jak noworodka. Położyła rękę na cytrze.

„Dziękuję, Ojczel!” wyszeptała. Łzy napłynęły jej do oczu. Jako mężatka nie będzie mogła towarzyszyć mu w wyprawach na targ, wybierać kamieni i drewnianych kołków! Nie będzie mogła pomagać mu w szukaniu narzędzi, które ciągle gubił, ani pilnować pieca, żeby zawsze miał grzane wino, ani grać na flecie poprzecznym, kiedy on grał na cytrze.

Cytra miała siedem jedwabnych strun, świeżo założonych. Kiedy je musnęła, instrument wydał dźwięk niski, pojedynczy,

tak jakby ktoś dmuchnął w róg barbarzyński. Cytra należała do wielkiej poetki Cai Yan, która żyła prawie dwieście lat wcześniej, w czasach dynastii Han. Jej ojciec Cai Yong, słynny poeta, mistrz kaligrafii, cytrzysta, miał wśród swoich uczniów mężczyzn, którzy zostali później wojskowymi dygnitarzami i panami chińskiego imperium. Kiedy dynastia Han upadła, nadszedł czas podziału i krwawych konfliktów. Cai Yong zmarł w więzieniu. Koczownicze plemię splądrowało stolicę dynastii Han. Pani Cai Yan została uprowadzona na północno-zachodnie stepy. Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata. Żyła w lodowatym wietrze, przez dwanaście lat pijała mleko jaka, urodziła dwoje dzieci przywódcy plemienia. Kiedy generał Cao Cao, uczeń jej ojca, został nowym władcą Chin, ofiarował nomadom powóz pełen złota i białego jaspisu, aby ją wykupić. Cai Yan musiała opuścić dzieci i wrócić do Chińczyków. Skomponowała osiemnaście suit na cytrę, w nastroju fletu nomadów, pozostawiła też zbiór poematów, w których zawarła swój smutek i ból.

Młoda Panna płakała z radości i ze smutku. Jej marzenia i tęsknoty napełniały serce, na zmianę, ciepłem i chłodem. Nie wiedziała nic o życiu, a zwłaszcza o tym, że na horyzoncie gromadzą się chmury i że wkrótce ma wybuchnąć wojna.

Nie wiedziała, że taoistyczny mnich o imieniu Sun En ogłosił swoje boskie posłannictwo i wezwał pod broń armię przeciwko cesarzowi z Wschodniej Dynastii Jin. Na jego wezwanie, skierowane do wszystkich wyznawców taoizmu, powstało osiem regionów. Na drogach wyrosły bariery; rzeki pełne były statków wojennych; oddziały uzbrojonych jeźdźców galopowały przez pola, ścigając rebeliantów. Dwór cesarski wysłał swoich generałów, którzy zwerbowali przestępców i powołali bandytów dla poskromienia burzycieli. Obie te siły ścierały się na brzegach południowej części rzeki Jangcy.

Pewnej nocy Młoda Panna została obudzona przez swoją matkę. Cesarska armia posuwała się w stronę ich ziem. Mordowała, rabowała i paliła wszystko po drodze. Rodzina musiała natychmiast wyjechać i schronić się za wysokimi murami miasta, strzeżonymi przez funkcjonariuszy independentystów. O świcie Młoda Panna wsiadła na statek. Mocno trzymała w ramionach futerał zawierający cytrę pani Cai Yan; zostawiała za sobą jedwabną pościel i suknię ślubną. Statek podniósł kotwicę i zatopił się w porannej mgle. Nagle przyszła jej do głowy myśl, że cytra być może przeniesie na nią nieszczęsny los byłej właścicielki.

Cienie żołnierzy chwiały się na murach. Wkoło rozlegały się dźwięki bębnow, rogów i wojenne okrzyki. Cesarska armia ze swymi brutalnymi wojownikami wyłaniała się jak nawała drapieźników i otaczała miasto. Z nieba spadały gorejące pociski, kanały płonęły. Siódmego dnia nagle zapadła cisza, gdy słońce skryło się za blanki murów. Noc była tak spokojna, że aż budziła strach. Młoda Panna nie mogła zmrużyć oka. Wstała, wzięła cytrę i położyła się, obejmując ją rękami.

Kiedy słońce rzuciło swój złocisty woal na okna, na kanałach rozeszła się pogłoska: żołnierze gubernatora zdradzili swego pana. Ścięli mu głowę, a miasto poddali armii cesarskiej. Drzwi pokoju Młodej Panny otworzyły się gwałtownie. Brat kazał jej udać się do sali Buddy. W rodzinnym sanktuarium było czarno od ludzi. Wszyscy członkowie klanu zbrali się tu na modły. Osunęła się na dywan, obok matki.

Nie potrafiła skupić myśli na psalmodii, wzrokiem szukała ojca. Nie odnajdując go w tłumie, przesunęła się w stronę okna. Przez okienne okratowanie dostrzegła go pośrodku dziedzińca, z mieczem w ręku, w otoczeniu uzbrojonych pachółków. Groźne odgłosy, pomruki dochodziły od strony kanału i roznosiły się wokół domu. Nagle główna brama zadrzała i rozleciała się na tysiące kawałków. Wymachujący lancami i szablami mężczyźni wpadli do wnętrza, wydając dzikie okrzyki. Panna za-

mknęła oczy i zatkała sobie uszy. Kiedy uniosła powieki, ujrzała ojca, który zachwiał się i upadł na wznak.

- Ojczy!
- Zostań tutaj!

Matka złapała ją za skraj sukni. Panna w przyptływie jakiejś demonicznej siły wyrwała się i wydostała z sali, pobiegła korytarzem, nie zważając na odgłos kroków. Słyszała, jak tłuka się wazy, przewracają meble, rozdzierają zasłony, ale nie odczuwała najmniejszego strachu.

Wbiegła grupa żołnierzy. Szabla błysnęła w powietrzu, wleciała kępka włosów. Onemiała ze strachu przymknęła oczy, cofnęła się na lewą stronę i wpadła na ścianę. Ściana poruszyła się i chwyciła ją za ramiona. Otworzyła oczy, przerażona, zobaczyła niskiego wzrostu oficera o ogorzałej twarzy. Pod czarną przyłbicą ozdobioną pomarańczowymi piórami błyszcząły źrenice. Popatrzył na nią, odepchnął, kazał ją zabrać, ale nie obchodzić się z nią brutalnie.

Zamknięto ją w pokoju, wtuliła się w kąt i przytknęła ucho do ściany. Zgiełk trochę ucichł, ale najmniejszy szmer sprawiał, że drżała ze strachu. Późnym popołudniem drzwi się otworzyły. Weszła matka, za nią żołnierze. Powiedziała, że kapitan regimentu ubolewa z powodu śmierci ojca, chce naprawić pomyłkę żołnierzy, postanowił więc poślubić jego córkę. Pochyliła głowę, nie powiedziała ani słowa. Matka powstrzymała szloch i poszła przygotowywać sypialnię godową. Młoda Panna poprosiła o ciepłą kąpiel. To było jej jedyne życzenie. Kapitan przekonał ją, że to niepotrzebne.

Ukryła swą nagość pod prześcieradłem. Pokój był tak ciemny, że straciła poczucie czasu. Dochodziło do niej zawroty głowy; miała wrażenie, że leży w trumnie i że opłakują jej śmierć. Drzwi otworzyły się na oścież, jakaś postać szła w jej stronę ze świeczką w ręku. Mężczyzna rozebrał się, zdmuchnął świeczkę i uniół prześcieradło.

Dwie ciężkie i twarde dłonie chwyciły jej dziewczęce piersi. Nie ważyła się jęknąć ani oddychać. Drżała na całym ciele, zeszywniała. Nagle poczuła zimne kolana między swoimi nogami.

- Mamo!

Wydała przeciągły krzyk.

Tuż przed świtem ze szczytu murów ktoś zadał w róg. Mężczyzna, który został jej mężem, obudził się. Do pokoju wniesiono dwie wielkie miednice. Wszystko ją bolało, jednak wstała i pośpiesznie się ubrała, aby dopełnić obowiązku małżonki. Po cichu przechyliła głowę mężczyzny na swoje uda i rozwiązała węzeł z włosów, nieładnie pachnący. Długie sprężyste włosy wpadły do miednicy, wydzielając woń potu, błota, krwi i inne nieznanne jej zapachy. Długo je nacierała pieniającą się korą, masowała owłosioną skórę, chochlą polewała wodą jego ciało i ręcznikiem szorowała plecy. Miała opuszczony wzrok, unikała patrzenia na mięśnie i blizny. Patrzyła na swoje ręce, które wydawały się bardzo blade na ciele mężczyzny naznaczonym czarnymi plamami.

Posadziła go przed toaletką z lustrem i czesała wyżęte już włosy. Ukradkiem rzucała okiem na jego twarz. Bez przyłbicy był dla niej nie do rozpoznania. Możliwe, że to ten sam mężczyzna, na którego wpadła w korytarzu. On także przyglądał jej się w lustrze. Odwróciła się.

- Odtąd twoja rodzina jest pod moją opieką - powiedział. To były pierwsze słowa, jakie od wczoraj do niej skierował.

- Weź swoje rzeczy. Wyjeżdżamy.

Ścisnęło jej się gardło, tak bardzo, że aż poczuła mdłości.

- To ty mnie wybrałaś - powiedział do lustra.

Spośród wszystkich cennych przedmiotów, będących w posiadaniu rodziny, zabrała ze sobą tylko siedmiostrunową cytrę pani Cai Yan. Wsiadła do powozu, płacząc i ściskając w ramionach instrument.

Muł zwolnił. Młoda Matka odróżnia teraz odgłos innych powozów, które przewożą kobiety i żywność. Wiatr trzaska drzwiczkami i dmucha w jej nozdrza wonią deszczu. Tak jak cytra, na której grał ojciec, wiatr lamentuje i mrczy.

Słychać szum deszczu. Krople spadające na obicie dachu przypominają jej pomruk mandoliny o czterech strunach, ukochanego instrumentu Dziadka. Młoda Matka zatyka uszy. Tego wieczora zmarli powrócili na ziemię. Siedząc na chmurkach, jej dziadek i ojciec grają w duecie na swoich ulubionych instrumentach. Zapowiadają urodziny czy śmierć?

Seria skurczów wywołuje u niej charkot. Powóz się zatrzymuje. Żołnierz uchyla drzwiczki. Bez słowa wyciąga ją ze środka i niesie, jak worek ryżu. Chciałaby otworzyć sobie brzuch obiema rękami. Deszcz rozpryskuje się na jej twarzy wykrzywionej bólem i wpada do ust. Spija go, by uspokoić nerwy. Żołnierz jednym kopnięciem zamyka drzwiczki. Osacza ją jakiś odrażający zapach. Żołnierz kładzie ją w stodole na kopie słomy i odchodzi. Młoda Matka czołga się po omacku. Dysząc, ściąga bieliznę i rozkłada nogi. Czuje rwanie w udach. Mdleje.

Kiedy otwiera oczy, dostrzega w ciemności krzątające się kobiety i bawoły, które porykują.

- Gdzie jesteśmy...? - pyta.

Jedna z kobiet kładzie jej rękę na ustach.

Słychać rytmiczne metaliczne odgłosy. Przyłożywszy oko do szczeliny w murze, widzi, że deszcz przestał padać. Liczne pochodnie falują w ciemnościach, żołnierze walczą na szable. Powracają skurcze. Powstrzymuje krzyk. Kobiety rzucają się na nią, zasłaniają jej usta strzępami ze swych sukni. Jej pierś unosi się hałaśliwie, ciało pływa w pocie. Krzyki mężczyzn są coraz bliższe. Z całych sił wgrzyza się w kulę tkaniny wepchniętą jej w usta. Szumi jej w uszach. Słyszy tylko własne serce, które bije coraz szybciej, a potem wali, raz, dwa, trzy uderzenia... To jej

dziecko spieszy się do życia z taką samą zaciekłością, z jaką żołnierze dążą do śmierci.

Nagle drzwi otwierają się na oścież, wpada żołnierz. Jest zbuczony krwią od stóp do głów, ma rozszalałe spojrzenie. Jak pijany zatacza się, unosi pochodnię i wymachuje szablą, ciągle jeszcze ociekającą krwią. Kobiety krzyczą. Młoda Matka zamyka oczy. Kiedy je otwiera, widzi, że żołnierz odrzucił szablę i drży na całym ciele. Z gardzieli wystaje mu strzała, która utkwiała w karku. Jego członki gwałtownie dygoczą, wiele razy usiłuje się podnieść. Każdy jego ruch przejmuje strachem obecne tu kobiety. Przytulone do siebie płaczą, potem wpadają w popłoch. Od pochodni rzuconej przez żołnierza zajęła się słoma.

Młoda Matka nie czuje już członków swego ciała. Skurcze brzucha ustały. Popada w odrętwienie. Unosi się w powietrzu i czuje silny zapach. Czy to wrogowie, którzy splądrowali wioskę? Chce jej się pić. Ale nie ma już siły poruszyć wargami. Otaczają ją czarne słupy strzelające smugami w niebo.

Ze wszystkich stron słyszy okrzyki:

- Wody z kadzi!
- ...Wiadro!
- Daj mi twoją suknię...
- Obudź ją!
- Ojej, ona krwawi!
- Wychodzi główka...
- Ostrożnie... Ciągnij!
- Nie rusza się...
- Podłóż rękę pod szyję... Ostrożnie...!
- Nie umieraj...! Oddychaj...
- Przyj... przyjm!
- Pomasuj jej brzuch...

Umrzeć? Żyć? Dla niej to obojętne. Przytłacza ją smutek, lecz uśmiecha się. Przystaje walczyć. Ogarnięta łagodnym ciepłem wznosi się ku innemu światu, lepszemu.



Ptaki na drzewach nic sobie nie robią z wojny i radośnie śpiewają. Młoda Matka porusza ciężkimi powiekami, w końcu je unosi. Podają jej pomarszczone dziecko, zawinięte w skrawki tkaniny z sukni. Wtedy dociera do niej, że śpiew ptaków to w rzeczywistości płacz dziecka, które wydała na świat.

Świt wpada do obory i rozlewa się jak mleczna rzeka. Matka jest zdziwiona, że smutek, ból i strach zniknęły po przebudzeniu. Życie ukazuje jej wreszcie szczęście kobiety. Subtelne, rozedrgane uczucie, w niczym niepodobne do tego, co dotychczas przeżywała. Jak filiżanka herbaty po długiej konnej przejażdżce, jak pierwszy wiosenny kwiat znaleziony przy drodze. Błogi spokój pieści jej policzki i rozluźnia udęczone ciało.

Dwa

## *Rok 581, dynastia Chen*

Słońce wstaje nad miastem Jing Ko, nad czarną, pokrytą laką tablicą z napisem „Brama Rzeki”. Światło przebija chmury i rzuca smugi na dzielnicę targową. Z roku na rok żywność drożeje, klienci przypuszczają atak na stragany. Drepczą, prychają i nie znajdują nic odpowiedniego na swą kieszeń. Zawiedzeni błąkają się po ulicach, rzucając szydercze komentarze. Potem wszyscy jednocześnie nacierają na handlarza, który postanawia obniżyć ceny. Robi się coraz głośniejsze, ręce unoszą się w górę. Popychanki i kłótnie. W jednej chwili wydzierają sobie owoce i warzywa, wśród wrzasków i bijatyki.

Młody lutnik idzie środkiem ulicy. Jest wyprostowany, maszeruje, na nic nie patrząc. Ma ciemny turban na głowie, ubrany jest w stary kaftan, którego kolor stał się już nieokreślony, chwiejnie stawia swe długie nogi, zachowując wyprężony tors i lekko zgarbione plecy. Wygłodniali, spieszący się mężczyźni omijają go, ale nie potracają. Może widząc cytę, którą niesie na plecach, zdają sobie sprawę, że on żyje muzyką, a do przyjścia na targ zmusza go nieustanna walka o przetrwanie. Być może dostrzegają w jego postawie zmęczenie i zubożenie człowieka, który niczego nie posiada, i dlatego wolą go ominąć, by nie zarazić się jego brakiem szczęścia i ubóstwem.

Wiatr głaszcze go po twarzy i nawiewa do uszu nieprzerwanego strumienia dźwięków. Chłopak unosi wzrok. Miasto, pokryte

domami o najeżonych, szarych i brunatnoczerwonych dachach, podobne jest do drapieżnej ryby złowionej w Morzu Żółtym. Gwar tłumu, hurkot straganów, brzęk dzbanów, szcęk tasek, jazgot kur i kaczek, wszystko to rozbrzmiewa, miesza się i rozprasza, tworząc powolną muzykę, która wkręca się w czaszkę i pełza w piersi. Młody lutnik kiwa głową dla podkreślenia rytmu.

- Sheng Feng, nie mówisz mi dzień dobry?

Muzyka cichnie. Chłopak się odwraca.

Wielki Liu, antykwariusz, stoi przed swoim sklepem i macha do niego ręką.

- Chodź, zapraszam na filiżankę herbaty!

Waha się chwilę, po czym idzie w jego stronę.

- Mówiłem ci już tysiąc razy, kiedy przybywasz do miasta, wstępuj do mnie. Zawsze czeka na ciebie herbata. Chodź! Chodź! Szybko, wejdź.

Idzie za Wielkim Liu, wchodzi po schodach. Dwie służące unoszą jedwabną zasłonę, wołając:

- Witamy szanownego pana!

Przekraczając próg, Shen Feng czuje, że spojrzenie służących przenosi się dyskretnie na jego zabłocone boty. Poprzedniego dnia w górach padał deszcz. Aby dotrzeć do miasta rano, drogę odbył nocą. Gdy szedł przez las, tak bardzo był zasłuchany w kumkanie żab i zgrzytanie owadów, że kilkakrotnie poślizgnął się w ciemnościach.

W salonie na podłodze leży cynobrowy dywan z jedwabiu i wełny. Wielki Liu wskazuje fotel z haftowanymi poduszkami:

- Usiądź.

Na werandzie Shen Feng zdejmuje boty. Jego dziurawe skarpetki nie uchodzą uwagi obu dziewcząt. Po cichu stroją sobie z niego żarty. Wielki Liu udaje, że nie widzi tego wszystkiego. Każe podać herbatę. Gdy Shen Feng już się rozsiadł, wykrzykuje:

- Shen Feng, pokaż mi to чудо! Jak to się nazywa?

Nie czekając na odpowiedź, antykwariusz chwytając instrument, rozwiązuje sznurki i wyjmując go z pokrowca. Zbliża cytrę do światła, obraca w rękach, by lepiej przyjrzeć się jej formie i barwie.

- „Przepływające fale” - czyta na odwrocie górnej płyty pudła rezonansowego.

Kładzie sobie cytrę na kolanach, postukuje w nią środkowym palcem.

Shen Feng poczuł ukłucie w sercu, gdy Wielki Liu położył swe pulchne ręce na cytrze. Zawsze odczuwa wstręt, gdy ktoś dotyka jego cytry. Odwraca wzrok i skupia się na herbacie, którą właśnie podano.

Nie pytając o pozwolenie, antykwariusz naciąga po kolei wszystkie siedem strun i zaczyna grać.

Po chwili wykrzykuje:

- Co za czystość! Jaka głębia! To wyjątkowe. Shen Feng, jesteś lepszym lutnikiem niż twój mistrz!

Młody człowiek sący herbatę i nie odpowiada. Wielki Liu unosi filiżankę, namyśla się przez chwilę, po czym przybiera litościwy ton:

- Jak się miewa stary lutnik? Od dawna już nie widziałem go w mieście. Czy jest chory?

- Mój mistrz czuje się dobrze, dziękuję.

- Sheng Feng, jestem starym przyjacielem twojego mistrza, znam go od czasów poprzedniej dynastii. Nie powinienesz mnie okłamywać. Jak to się dzieje, że ostatnimi czasy wszystkie cytry są robione twoimi rękami? Twój mistrz postanowił poświęcić się rozmowom z magami?

- Jest coraz mniej zamówień. Wystarczy moja praca.

Wielki Liu uśmiecha się drwiąco.

- Mówiłem twojemu mistrzowi! Ale on mnie nigdy nie słucha! Na Północy królestwa barbarzyńskie ciągle toczą ze sobą

walki. Tutaj u nas szaleje wojna domowa. Po obu stronach rzeki Jangcy amok wojny mąci ludziom w uszach i otumania umysły. Wysoko urodzeni nie kształcą już swych dzieci, biedacy umierają z głodu albo zaciągają się do wojska. Nikt nie ma czasu na podtrzymywanie tradycji rytuałów i studiowanie muzyki. Kiedyś przyjmowałem ludzi świątłych, ze szlchetnych rodów Równiny Środka. A teraz przez mój próg przewija się pospolity tłum ludzi z torbami pełnymi złota. Kupują i więcej już nie wracają. Dlatego, że w następnym roku zostają ścięci! Teraz rozumiesz, dlaczego nie masz zamówień. Świat zmierza ku zagładzie. Sheng Feng, co o tym sądzisz?

Młody lutnik nic nie sądzi, nie wygłasza komentarzy. Ten nędzny świat podobny jest do zniszczonych botów z baraniej skóry, które wkłada do wyjścia; stan świata jest mu obojętny. Ma zamiar już sobie pójść, ale antykwariusz go powstrzymuje:

- Zanim wyjdiesz, posłuchaj, co ci powiem. Twój mistrz jest stary. Tym gorzej, że mnie nie posłuchał. Ale ty jesteś młody i powinienes pomyśleć o swojej przyszłości. Nie chcesz mieć pięknej małżonki, która da ci dużo dzieci? Dziewcząt nie pociąga życie w górach. A żeby mieć obok siebie jędrny i płodny brzuszek, trzeba wydać sporo pieniędzy. Trzeba zapłacić pośrednikom, potem teściom. Bez pieniędzy dostaniesz co najwyżej zezowatą albo kulawą, albo wariatkę... Albo w ogóle nic, zważywszy że cena kobiet rośnie z każdą kolejną wojną...

Badawcze spojrzenie Wielkiego Liu sprawiło, że Shen Feng rumieni się aż po uszy. Ma wrażenie, że antykwariusz odgaduje jego nocne rojenia. Nalewa sobie jeszcze herbaty, by ukryć zażenowanie. Jednak głos antykwariusza brzęczy dalej:

- Dzisiaj nikt już nie potrafi słuchać muzyki. Zanika sztuka gry na cytrze, ale nie prestiż posiadania instrumentu. Nowobogaccy gubernatorzy i dworscy urzędnicy, którzy kiedyś byli zwykłymi lokajami, księżniczki, które kiedyś harowały w polu,

teraz szaleją za starociami ocalałymi ze wszystkich przeszłych wojen. Wszyscy marzą o starej cytrze leżącej na stoliku, by dodać sobie wyrafinowanej, szlacheckiej powagi. Kiedy kupują, lubią sobie nawzajem podbijać cenę. Bo najbogatsi i najmniejsi wykupują najdroższe instrumenty. Przed ośmioma miesiącami sprzedałem jedną cytrę z okresu Trzech Królestw\*, która według legendy należała do generała Zhou Yu z królestwa Wu. Zgadnij, jaka była końcowa cena...

Twarz Wielkiego Liu marszczy się jak kamelia. Przybliży się i szepcze:

- Ni mniej, ni więcej, tylko sto liangów" czystego złota.

Wielki Liu wstaje, idzie za parawan zdobiony piękną kaligrafią z inkrustacji macią perłową, po chwili wychodzi, trzymając w ręku drewniany, lakowany purpurowy futerał, ozdobiony złotymi kwiatkami. Klęka, delikatnie kładzie go na dywanie, wyciąga pęk kluczy przypięty do pasa, wybiera jeden i otwiera kłódkę. Unosi przedmiot owinięty w kilka warstw postrzępionej tkaniny. Starannie odwija, odsłania pokrowiec z bambusowej maty, częściowo się rozpadający, i wyjmuje pokrytą kurzem cytrę, której jeden róg jest uszkodzony.

- Cudo, prawda? Autentyczna! Proszę, dotknij! - skrzeczy Wielki Liu, kładąc cytrę na kolanach młodego lutnika.

Shen Feng dmucha na instrument, aby oczyścić go z kurzu, rękawem wyciera fragment powierzchni. Na pierwszy rzut oka rozpoznaje cytrę, której lakier, nieładnie postarzały, ma spękania w kształcie rybnich łusek. Podnosi ją do światła, obraca. Z tyłu nazwisko, wyryte w stylu złotych bębenków, jest częściowo zatarte. Wyciąga rękę, przypatruje się z pewnej odległości. Choć instrument został wyrzeźbiony w kształcie najpopularniejszego dla czasów epoki Han, nie ma ani tak charakterystycznej

\* Okres Trzech Królestw: lata 208-280.

\*\* Chińska miara: 20 liangów = 1 kg.

lekkości, ani wdzięku. Bez słowa oddaje instrument Wielkiemu Liu.

- Przypatrz jej się dobrze. Taką piękność spotyka się tylko raz w życiu. To arcydzieło prześwietnej dynastii Han. Jakież to cud, że zdołała uniknąć zniszczenia podczas grabieży nomadów i ocaleć z wojennej pożogi! Czy wiesz, do kogo należała? Do pani Cai Yan, autorki *Poematów żalu i złości* i *Osiemnastu suit na cytrę w stylu fletu wędrowców*. Nie chcesz wypróbować dźwięku? A może chcesz, żebym zaraz ją nastroił?

- Nie, nie trzeba - odpowiada Shen Feng. - Rzekoma cytra Han wydałaby dźwięki bezbarwne: była przeznaczona do dekoracji stołu albo do powieszenia na ścianie, a nie dla muzyka. Dziękuję za herbatę. Pozwolę sobie już pójść.

Antykwariuszowi rzednie mina. Przenosi spojrzenie z cytry na młodego lutnika. Nagle wybucha śmiechem.

- No dobrze. Jest fałszywa! Chciałem przetestować twoje oczy! Mistrz powiedział mi, że wychował geniusza. Myślałem, że się przechwala. Ale on nie skłamał! Shen Feng, potrzebuję cię, a ty potrzebujesz mnie. Chcę, żebyś zrobił cytrę dynastii Han, tak aby nie było żadnych wątpliwości. Oddam ci jedną czwartą zysków.

Shen Feng znowu się kłania i wstaje.

- Proszę wybaczyć, muszę już iść.

Antykwariusz zrywa się na równe nogi pomimo swojej wagi, znika za parawanem i prawie natychmiast wraca.

- Proszę, to prezent. Nuty *Osiemnastu suit na cytrę w stylu fletu wędrowców*. Uwaga, zostały skopiowane z rękopisu znalezionej w bibliotece Dworu Królestwa Wu. Spośród wszystkich istniejących wersji ta uchodzi za najbardziej autentyczną.

Shen Feng wzbrania się, ale jego ręce same wyciągają się w stronę zwoju. Niemal wrywa go antykwariuszowi i składa głęboki ukłon.



- Nie dziękuj - mówi Wielki Liu rozpromieniony. - Pomyśl o mojej propozycji. Zarobimy mnóstwo pieniędzy.

Wpatruje się w twarz młodego lutnika, jaśniej radością i mówi:

- Pani Cai Yan, córka wielkiego poety Cai Yonga, była wychowywana przez koczowników. Przez dwanaście lat żyła na północnym wietrze, pośród koni i owiec; skomponowała osiemnaście suit na cytrę, aby wyrazić swój smutek i tęsknoty. Została wykupiona od Barbarzyńców przez generała Cao Cao, za powóz pełen złota i pereł. Moim zdaniem cytra, której używała, sprzedałaby się za nie mniej niż dwieście liangów czystego złota. No dobrze... ale mam lepszą historię... Kiedy Cai Yan powróciła na Równinę Środka, podarowała swą cytrę Cao Zhi, drugiemu synowi generała. Cao Zhi, poeta tak samo sławny jak jego ojciec Cao Cao, został zamordowany przez swego brata Cao Pei, zazdrosnego o jego talent. Cao Pei zagarnął dla siebie tron, obalił dynastię Han i założył dynastię Wei. Później ta cytra była częścią dworskiej kolekcji cesarza. Niestety, podczas ostatniego najazdu Barbarzyńców została skradzioną przez pałacową służącą, która uciekła, gdy tylko Dwór przekroczył rzekę Jangcy. Około stu lat później ja, Liu, odnalazłem cytrę na strychu u jednego z wieśniaków. Dlaczego twierdzę, że należała do pani Cai Yan? Słuchaj, Shen Feng, weź sobie to do serca, bo na odwrocie jest wyryte jej nazwisko, które...

Wielki Liu milknie, kaszle, po czym mówi dalej, zacierając rękę:

- „Flet wędrowcy"! Z tego rodzaju nazwą sprzedam ją za trzysta liangów złota! Powiedzmy, że muszę odłożyć jedną czwartą zysku dla pośredników, tobie oddam czwartą część tego, co zostanie, to dużo złotych monet. Będiesz mógł za to kupić dom w mieście dla siebie i dla mistrza, otoczyć się służącymi i lokajami, pozwolić sobie na piękny ślub.

Shen Feng waha się chwilę, po czym oddaje nuty antykwariuszowi.

- Nie mogę. Mój mistrz i ja nie jesteśmy szalbierzami. Nie możemy szargać naszych nazwisk podobnymi praktykami.

Antykwariusz dalej się uśmiecha, lecz na jego twarzy pojawia się grymas.

- Zachowaj te nuty. Twój gest mnie upokarza! Nawet jeśli nie zrobisz dla mnie tej cytry, zachowaj prezent ode mnie! To dla muzyki.

Już na progu sklepu unosi prawą rękę, by zakryć usta, i szepcze:

- Nikomu ani słowa. To tajemnica. I wracaj szybko. Nie bądź głupi. W twoim wieku już czas na założenie rodziny. Mistrz bardzo się ucieszy z wnuków!

Dwie młode służące nachylają się i unoszą zasłonę, wołając:

- Do widzenia, szanowny panie!

Shen Feng wychodzi na ulicę, Wielki Liu idzie za nim.

- Jeszcze jeden sekret: Starożytni nie zanotowali w kronikach dynastii Han kształtu czy charakterystycznych szczegółów cytr należących do pani Cai Yan. Masz pełną swobodę...

Shen Feng znowu jest na ulicy, w zgiełku. Dotyka piersi. Ma tam zwój nut, przyciśnięty do serca. Tak jakby obudził się z jakiegoś chaotycznego, bezbarwnego snu, ogarnęło go dziwne poczucie radości i smutku, zniechęcenia i nadziei.

Głosy pulsują, zderzają się, nawołują i sobie odpowiadają. Wędrowni handlarze wychwalają zalety garnków, glinianych naczyń, tkanin, żywności i dmuchają we flety dla przyciągnięcia uwagi. Sklepy zatrudniają chłopców, młokosów o przenikliwych głosach, którzy przynęcają przechodniów. Wędrowni mnisi przemierzają miasto, potrząsając dzwoneczkami z brązu. Na jednym z rogów skrzyżowania aptekarze fikają koziołki w rytm bębenków albo walczą na szable, podczas gdy ich dzieci

uderzają w gong z brązu i wymieniają efekty działania leczniczych ziół, które wskrzeszają zmarłych, a dotkniętym niemocą przywracają męskość. Wszystkie te dźwięki wypełniają mu uszy. Tak jak dojrzałe owoce, wyciskane niewidzialną ręką, zamieniają się w cienką strużkę wonnego likieru.

Shen Feng nie zna prawdziwych kobiet. W wiosce w górach Siła Północy kobiety podobne są do mężczyzn. Często bywają bardziej krzepkie niż oni, idą do pracy w polu z dziećmi uwiązanymi na plecach. Przed drzwiami domu zarzynają zające i oskubują bażanty w kałuży krwi. Kiedy wybuchają sąsiedzkie spory, ubliżają sobie i walczą. Gdy mężczyźni ranią się, spadając ze stromego brzegu, albo padają ofiarą dzikiej zwierzyny, to kobiety biorą łuk i topór. Wdowy tak samo potrafią polować, rąbać drzewa, wyprawić się do miasta, aby sprzedać jarzyny i dziczyznę.

Jako chłopiec bawił się z dziewczynkami z wioski, urządzali zawody, kto dalej zrobi siusiu. Jedyłą stwierdzoną różnicą było to, że chłopcy mogą rysować na murze, a dziewczynki tylko na ziemi. Od wiosny do późnojesiennych dni wszyscy mieszkańcy wioski prali bieliznę i kapali się pod wodospadem strumienia. Nagie kobiety mają po dwa worki opadające na klatkę piersiową, nadzy mężczyźni - po trzy między nogami.

Od pewnego czasu młody lutnik czuje łaskotanie dziwnym odczuciem, które budzi w nim jakiś niepokój, gdy pozostaje zbyt długo w wiosce, u boku swego starzejącego się mistrza. Gdy tylko może, spieszy do miasta, z sercem przepełnionym radością. Tam, pławiąc się w tłumie przechodniów, spostrzega, że miejskie ożywienie i uliczna wrzawa nie zaspokajają jego pragnienia. Wręcz przeciwnie, czynią go jeszcze bardziej niespokojnym, w oczekiwaniu na coś nieokreślonego, nieznanego.

Wiatr przywiewa do jego nozdrzy rozkoszny zapach. Nie jest to woń kwiatu ani aromat owoców. Rozgląda się wkoło i widzi

cudowne zjawisko. Ona jedzie na oślicy, za nią idą dwie małe służące, które niosą pakunki. Ubrana jest w różowy żakiet haftowany w motylki i bawełnianą tunikę w kolorze błękitno-miodowym, na głowie ma szeroki słomkowy kapelusz. Długa woalka z białego muślinu zasłania ją, dla zamazania rysów. Kiedy przejeżdża strefę światła słonecznego, jej twarz nagle się rozjaśnia, ukazując zgrabny nosek, krągłe usta, wdzięcznie wysuniętą szyję.

Młody lutnik wie o niej wzrokiem, bez mrugnięcia. Ona porusza się łagodnie na grzbiecie oślicy. W rytm truchtu unosi się i opada. Wraz z rytmicznym ruchem ciała jej długie rękawy unoszą się i odsłaniają kolejne warstwy spodnich tunik, pod tuniką wyjściową. Shen Feng przyspiesza kroku, wyprzedza ją, po czym odwraca się, chcąc lepiej się przyjrzeć. Wjeżdża w strefę cienia. Jej twarz skrywa się za fałdami woalki. On jednak ma wrażenie, że ukryta za niewzruszoną białą patrzy mu prosto w oczy i zdaje się cicho mówić: „Kobieta”.

Kobieta!

Lutnik rumieni się, odwraca twarz i daje nura w tłum. Spozna ramion i głów patrzy, jak ona się oddala. Ona także jedzie środkiem ulicy. W słońcu jej postać zmniejsza się i znika w świetle na zawsze niedostępnym.

To wielka kurtyzana, która udaje się na przyjęcie.

Sklep Lu Si przylega do wieży dzwonnicy. Przed wejściem małpa zawzięcie iska psa. Pod klatką z ptakami przeciąga się szary kot, miauczy, wypręża grzbiet w kabłąk, kiedy Shen Feng koło niego przechodzi.

Lu Si, sprzedawca instrumentów, pochodzi z nieszlacheckiego rodu wywodzącego się z Południa. Jego przodkowie zostali jednak uszlachceni, gdy byli doradcami na dworze królestwa Wu w czasach Trzech Królestw. Kiedy królestwo Wei zaanektowało królestwo Wu po osiemdziesięciu latach nieprzerwanych wojen, rodzina Lu Si straciła cały majątek, nie tracąc historii związanej

ze swoim nazwiskiem. Od tego czasu boczna linia, z której wywodzi się Lu Si, nie ma już dostępu do władzy. On sam zachował jednak kontakty z nowymi władcami z uwagi na estymę, jaką obdarzają jego przodków.

Elokwentny, niestrudzony, może opowiadać dzieje wszystkich królestw, które usadowiły się na południe od rzeki Jangcy. Jego zdolności krasomówcze i znajomość historii Południa pozwalają mu zarabiać na życie. Aby sprzedać swoje instrumenty, udaje się do klientów, ozdabiając ich przyjęcia uczonymi rozmowami. Wylicza książęce intrygi, układy i zrywania sojuszków pomiędzy przywódcami. Wymachując miotełką z włosia do kurzu, potrafi opisywać spiski, potajemne negocjacje i podboje wojskowe. Najpiękniejszą jego opowieścią jest opis bitwy o Czerwone Klify\*, w której brali udział jego przodkowie. Kupowanie instrumentu od Lu Si to także zapoznanie się z duchami minionych królestw.

Shen Feng wchodzi na górę. Przesuwane drzwi są szeroko otwarte, kotara z kolorowej bawełny uniesiona. Wewnątrz, na posadzce z czarnego drewna hongmu, na stolikach z wdzięcznie wygiętymi nogami, wystawiono kilka instrumentów muzycznych. Na tle obrazu przedstawiającego pejzaż stoi wysoki wazon z gałązką żółtej forsycji.

Shen Feng pociąga za sznurek dzwonka i przyklęka na ganuku. Lu Si co prawda nie należy do klanów Wysokich Progów Równiny Środka, pochodzi z uszlachconych „niższych sfer”, lecz dumny jest ze swej pozycji ofiarowanej przez władcę wojowniczego królestwa Wu i nie cierpi, gdy pariasi traktują go jak równego sobie. Zawsze wymagał, żeby lutnicy pozostawali przed wejściem.

\* Bitwa miała miejsce na rzece Jangcy w listopadzie 208 r. p.n.e. pomiędzy możnowładcą z Północy Cao Cao i jego armią liczącą 200 tysięcy żołnierzy a koalicją możnowładcy Liu Pei, przyszłego króla Shu, z Sun Quan, przyszłym królem Wu.

W głębi sali przesuwa się ścienna płyta i wyłania się wysoka postać. Dla zaakcentowania szlachectwa twarz Lu Si jest upudrowana na biało, oczy podkreślone czarną kreską. W szerokiej udrapowanej tunice z szerokimi rękawami przemieszcza się, jakby płynął. W ręku trzyma łądygę z białego jadeitu, zakończoną włosiem. To miotełka do kurzu, przedmiot bardzo popularny wśród wysoko urodzonych.

Shen Feng kłania się z pokorą.

Rozlega się nosowy głos Lu Si:

- Wstań, Shen Feng. Gdzie jest twoja cytra?

Shen Feng kładzie ją przy wejściu do sali i wraca, by usiąść na schodach.

- Jakie nosi imię?

- „Przepływające fale”.

Lu Si bierze instrument, stawia na stoliku. Wyjmuje z futerału i stroi. Słychać powolną, elegancką melodię.

- Rezonans jest miękki, lekkie echo. Tony wysokie uciekają w stronę niskich, jak odbicie białych mew, ślizgających się na ciemnych falach. Piękne. Bardzo piękne... Ale...

Głos Lu Si krąży w powietrzu. Skubiąc strunę, wzdycha, mówi tak, jakby śpiewał:

- Na północ od rzeki Jangcy, w królestwie Zhou, pewien generał chińskiego pochodzenia miał córkę, która została królową Barbarzyńców. Po śmierci króla kazał zmienić jego testament, na tronie umieścił swojego wnuka, a sam ogłosił się regentem. Królewscy książęta, bracia zmarłego króla, zwalczali go, nie chcieli widzieć go na Dworze. Ale czyż Yang Jian, mający silne poparcie małżonki, córki generała wywodzącego się ze słynnego klanu Gu Du o barbarzyńskim rodowodzie, sam nie wywołał owej potyczki jednego na pięciu, aby zostać niekwestionowanym panem królestwa Zhou? Gdyby pięciu braci uzyskało przewagę, zdetronizowaliby wnuka Yang Jiana, a jeden z nich zostałby władcą na jego miejscu. Yang Jian, przebiegły strateg

i bezlitosny wojownik, wykorzystał niesnaski pomiędzy pięcioma braćmi. Jednocześnie zwalczał ich i podburzał przeciw sobie nawzajem. Yang Jian wyszedł z tego zwycięsko, usunął z tronu wnuka i założył nową dynastię zwaną Sui. Gdy został królem, dążył do podbicia Południa, aby scalić Chiny. Ja, Lu Si, którego przodkowie pili wodę z rzeki Jangcy, zanim przybyli tam Chińczycy, muszę bronić niezawisłości Południa. Nie jeżdżę już na Północ, by sprzedawać instrumenty, tylu tam złoczyńców...

Lu Si podnosi się, przechodzi przez salę recepcyjną, znika za ścienną zasłoną, po chwili wraca.

- Na Południu dynastia Chen zmierza ku upadkowi. Nasz władca zaniedbuje sprawy polityczne, oddaje się wyrafinowanym igraszkom duszy i zmysłów. Spędza czas na komponowaniu muzyki, aby pojednać swoje konkubiny. Zebrał je wszystkie w orkiestrze, którą sam prowadzi, żeby nauczyły się przyjaźni i harmonii. Podczas ostatniego święta Księżyca tysiąc piękności śpiewało chórem muzykę, którą on skomponował. Zamówił u mnie dwieście mandolin, trzysta fletów, pięćset bębnow i pięćset tamburynów. Pałac nie interesuje się cytrą, bo na cytrze gra się samotnie. Musisz zmienić fach. Bardzo potrzebuję pracowników do robienia mandolin. Aha, Shen Feng, weź tę sakiewkę. Wiem, że jeśli nie przyjmę twojej cytry, stary lutnik i ty nie będziecie mieli co jeść i stare kości twojego mistrza tego nie przetrzymają. Ale wiedz, że nie mam czasu na szukanie kupca, który by ją kupił.

Lu Si zamilkł, na jego twarzy zagościł cierpki uśmiech.

- Cytra jest źródłem muzyki, chlubą mędrców. Przez te wszystkie lata sprzedawałem je, jedna za drugą, po dziesięć razy chodząc do klientów, z którymi siedziałem, rozmawiałem, wyjaśniałem, odkrywałem tajemnicę feniksa, dawałem lekcje. Żaden z moich sprzedawców nie umie tego wszystkiego! Zrujnowałyby moją reputację. Teraz muszę zająć się kaprysem cesarskim, bo jeśli nie, stracę tę głowę, którą jeszcze noszę na ramionach.

Przyjdź do mnie za dwanaście księżyców. Może wtedy będę miał dla ciebie zamówienie.

Zupełnie zbity z tropu Shen Feng bez słowa bierze sakiewkę, którą tamten mu podaje. Lu Si jest uczciwym handlarzem. Ale w tej chwili Shen Feng wolałby usłyszeć z jego ust jakieś kłamstwo. Wychodzi, rzucając ostatnie spojrzenie na „Przepływające fale”. Na stoliku lśni jej zgrabna sylwetka. Ma wdzięczny kształt, emanuje z niej spokój. Przez dwa lata obrabiał drewno, potem przez sześć miesięcy rzeźbił korpus. Gładził ją, głąskał, polerował. Wybrał dla niej kształt, nadał język jej milczeniu. Ona także miała swoje wymagania, nieustannie domagała się, by wysmuklił jej linie, zaokrąglił kontury. Zmieniał się jej rezonans, wymykała mu się, kaprysiła, zaskakiwała go. Jej humory jednak zawsze okazywały się słuszne. Prowadziła go, dzień po dniu, do wnętrza swego brzucha, odkrywała przed nim wszystkie swoje włókienka, wszystkie drobinki, wszystkie zalety i niedoskonałości brzmienia. Zmieniał się jej zapach. Pachniała drzewem, narzędziami, klejem, laką, potem, deszczem... aż do dnia, gdy rozbudziła się do słodkiej woni życia. I to była chwila, w której musieli się rozstać.

Shen Feng kłania się pokornie przed wyjściem, po czym wycofuje się na kolanach. Lu Si odwzajemnia ukłon, lekko pochylając głowę. Handlarz instrumentami nie wie, że ten pełen uszanowania ukłon jest przeznaczony dla cytry „Przepływające fale”, którą jej lutnik pozdrawia po raz ostatni. Shen Feng wstaje i schodzi na dół. Małpa, wyczuwając jego zasmucenie, łapie się za brzuch i wykrzywia się do niego. On odycha głęboko, przechodzi przez podwórko i biegiem rusza na ulicę.

Rzuca okiem w stronę nieba. Słońce wskazuje południe. Zazwyczaj, gdy przybywa do miasta, po sprzedaniu instrumentu Lu Si spotyka się z Zhu Bao i jego towarzystwem w restauracji Pomyślny Wiatr. Bawi się beztrąsko, zamawia wołowinę w gru-



bej soli i wznosi toasty. Gdy trzeba uregulować rachunek, banda Zhu Bao nigdy nie płaci. Shen Feng z radością rzuca na stół swoje sapeki. Monety z brązu podskakują, toczą się, dźwięczą: tworzą muzykę materialnego świata.

Shen Feng idzie środkiem ulicy, ściskając w ręce sakiewkę. Jeśli zajdzie do Pomyślnego Wiatru, zarobione pieniądze nie wystarczą na życie dla niego i dla mistrza przez dwanaście księżyców. Wkłada sakiewkę do wewnętrznej kieszonki za pasem. Burczy mu w brzuchu, ale ma tak ściśnięte gardło, że nie chce mu się jeść. Przypomina sobie, że wędrowny handlarz sprzedaje trzy kubki wina za jedną monetę. Postanawia go odnaleźć.

Skoro Lu Si nie ma czasu na zajmowanie się sprzedażą cytry, trzeba poszukać innego handlarza. Na wschodzie, przy miejskich murach jest wiele sklepów. Prowadzone są przez rodziny, które wytwarzają, wypożyczają, sprzedają instrumenty muzyczne i organizują zespoły muzyków na śluby i pogrzeby. Shen Feng nic nie wskóra, na pewno nie będą zainteresowani cytrą. Kto zechce kupić instrument, na którym się gra dla przyjemności bycia samemu, którego wolny rytm i melancholijny dźwięk nie pasują do świątecznego nastroju? A może znaleźć jakoś adresy wykształconych ludzi, mieszkających w mieście, i zapukać do ich drzwi? Shen Feng nie jest rozmowny. Nie potrafi zaczepić nieznanego i zaprzyjaźnić się z nim po jednej szklaneczce wina. Może wyszukać jakieś miejsce na targowisku, rozłożyć na ziemi matę i sprzedawać cytrę, tak jak inni sprzedają mięso i warzywa? To byłoby najgorsze poniżenie dla lutnika.

Z drugiej zaś strony trudno wyżyć z samej godności, musi więc znaleźć jakiś sposób, by wrócić do wioski z pieniędzmi.

Ma przed oczami swego mistrza niosącego na plecach cytrę, idącego przed nim wielkimi krokami. Był wątłym chłopcem, musiał więc podbiegać i podskakiwać, by za nim nadażyć. W tamtym czasie dynastia Liang nie była jeszcze unicestwiona

i zastąpiona dynastią Chen. Mieszkali w Jian Kang, cesarskiej stolicy. Ubrani w lniane tuniki z długimi rękawami, prasowane gorącym żelazem, z łatwością przechodzili przez mury, które otaczały dziedzińce cesarskich ministrów i sekretarzy. Stawali przed bramami pokrytymi brązem, strzeżonymi przez żołnierzy. Przychodzili po nich lokaje, wprowadzali do środka, wskazywali schodki, na których mogli usiąść, tuż przed wejściem, i z pewnej odległości pokłonić się władcom. Mistrz wyjmował z futerału cytrę, grał jakąś melodię i podawał instrument intendentowi, ten zaś zanosił go do sali recepcyjnej. Po krótkiej chwili ciszy dostojnicy lub ich małżonki także wydobywali dźwięki cytry.

W mieście Jiang Kang po sprzedaniu cytry mistrz udawał się do pawilonu Kwiatów, wchodził na piętro wraz z młodą dziewczyną, której udzielał lekcji gry, a opuszczał pawilon dopiero po zapadnięciu zmroku. Aby jakoś wynagrodzić Shen Fengowi długie czekanie na schodach, zabierał go potem do restauracji, zamawiał obfity posiłek, zachęcał do picia. Tak więc Shen Feng w bardzo wczesnym wieku oswoił się z alkoholem. Po lekcji z dziewczętami mistrz był zwykle w doskonałym humorze. Wyglądały mu się zmarszczki na twarzy, policzki nabierały koloru. Opowiadał rozmaite historie, aby rozweselić Shen Fenga, który nie przestawał ziewać:

„Był kiedyś bóg Fu Xi. Zaraz po przyjściu na świat zaczął rosnać na wietrze i przez jeden dzień stał się olbrzymem, który miał głowę człowieka i ciało smoka. Zauważył, że wokół niego ludzie ubrani w zwierzęce skóry żywią się krwią. Nauczył ich krzesać ogień i nie przeżuwać surowego mięsa. Wzorując się na strukturze pajęczyn, wymyślił sieć i nauczył ich łowić ryby. Obserwował gwiazdy, dokładnie przyglądał się Ziemi, stworzył osiem trygramów, aby ludzie mogli notować sprawy codzienne i upływający czas. Pewnego dnia, podczas przechadzki w górach, Fu Xi ujrzał barwne obłoki zstępujące z nie-

ba. Gdy zmrużył oczy, dojrzał w ich poświęceniu dwa ogromne ptaki z długimi ogonami, przystrojone tysiącem migoczących błysków. Rozpoznał feniksy. Para ptaków usiadła na drzewie, a po chwili inne ptaki nadleciały ze wszystkich stron, by głosić ich chwałę. Kiedy feniksy odleciały, Fu Xi ściął owo drzewo, wybrał kawałek, który wydawał dźwięk nie za jasny i niezbyt matowy, przez siedemdziesiąt dwie godziny moczył go w kryształowo czystym źródle, potem wysuszył i przerobił na instrument odtwarzający głos feniksa. Wsłuchiwał się w wiatry wiejące z ośmiu stron i wymyślił osiem nut solfeżu. Wezwał ludzi i powiedział: «Ociosalem ten kawałek drzewa, przemieniłem go w cytrę. Jest długi na trzy czy, sześć cun, pięć fen\*, co odpowiada trzystu sześćdziesięciu pięciu dniom roku, i szeroki na sześć cun», a to stanowi Niebo, Ziemię, południe, północ, wschód, zachód, sześć części świata. Powierzchnia instrumentu jest zaokrąglona jak sklepienie niebieskie, podstawa płaska jak Ziemia. Lewa strona jest szeroka i symbolizuje Jezioro, część prawa jest wąska, symbolizuje Źródło. Jezioro mierzy osiem cun, bo napełnia je osiem wiatrów Ziemi. Źródło mierzy cztery cun, bo symbolizuje cztery pory...». Widzisz, Shen Feng, cytra nie jest instrumentem muzycznym. To dar niebios..."

W południowym słońcu ulice są tylko czarnymi plamami i białymi liniami. Shen Feng błąka się bez wyraźnego celu, znowu prześladowuje go głos mistrza:

„Cytra została stworzona przez Fu Xi, aby ludzie odróżniali się od dzikich zwierząt. Stosując rytm, dyscyplinę oddychania, kontrolę emocji, człowiek wznosi się ponad wszystkie prymitywne stworzenia i zbliża się do bogów. Lutnicy nie są zwykłymi ludźmi. Mamy świętą misję”.

\* Prawie 1,28 m.

\*\* 21,48 cm.

Tymczasem Hou Jing, generał wygnany z Północy, zwrócił się przeciwko cesarzowi z dynastii Liang, który ofiarował mu schronienie. Kiedy ten w więzieniu umarł z głodu, a jego dynastia upadła, eleganckie pawilony spłonęły, a ludzie, którzy grali na cytrze, zginęli w pożodze wojny domowej.

Jeśli ludzie nie znają już cytry, wzdycha Shen Feng, to znaczy, że powrócą do stanu dzikiego i znowu będą zwierzętami, które nawzajem się zabijają. Oddaje się takim rozważaniom, gdy nagle dostaje cios pięścią w plecy. Odwraca się z drżeniem.

- Wszędzie mam oczy i uszy... Gdy tylko postawiłeś stopę w mieście, od razu wiedziałem, że jesteś. Czekałem na ciebie w Pomyślnym Wietrze...

Zdyszany Zhu Bao wyciera czoło i oburza się:

- Co ty tu robisz? Dlaczego nie przyszedłeś?

Shen Feng coś bełkocze, nie wie, jak zacząć wyjaśnienia. Zhu Bao mówi dalej:

- Jedzenie już zamówione. Powiedziałem im, żeby zaczęli, i poszedłem cię szukać... Tylko nie mów, że już jadłeś.

Shen Feng odpowiada, że nie jadł.

Zhu Bao łapie go za rękaw.

- No to chodź ze mną. Idziemy do Zielonego Pola! Wiedziałem rano, że mają pstrągi.

Czerwieniąc się aż po uszy, Shen Feng mówi, że woli zupę z kluskami.

Zhu Bao zgaduje:

- Kłopoty pieniężne? Ja zapraszam! Chodź. Zresztą muszę z tobą omówić pewną sprawę.

Dwadzieścia lat wcześniej Dwór dynastii Liang zwerbował po dwóch mężczyzn z każdej rodziny, by powiększyć armię na wojnę z Barbarzyńcami z Północy; niewielu powróciło do domu. Zhu Bao wychowywał się na ulicy z innymi sierotami. Złodzieje, rekieterzy i awanturnicy żyją w bandach i prześla-

dują miejską biedotę. Restauracja Pomyślny Wiatr jest ich kwaterą główną.

Przez pierwsze lata, zaraz po tym, jak Shen Feng i jego mistrz osiedli w górach Siła Północy, banda rzucała w nich kamieniami, gdy tylko ujrzała ich w mieście, choćby z daleka. Kiedy stary lutnik zniknął w pawilonie Kwiatów, otaczali Shen Fenga i pięściami dawali mu naukę. Shen Feng mężnie walczył, nigdy nie prosił o litość. Jego odwaga spodobała się Zhu Bao, który był ich przywódcą, i kiedy się dowiedział, że Shen Feng jest sierotą, wziął go pod opiekę.

Restauracja Zielone Pole jest chatą wspartą na czterech pniach drzew. Pora posiłku już minęła, sala jest więc opustoszała, restaurator ucina sobie poobiednią drzemkę na macie pośrodku sali. Zhu Bao daje mu silnego kopniaka w bok.

- Obudź się, stary obwiesiu. Daj nam pić i jeść!

Starszy mężczyzna z włosami wysmarowanymi tłuszczem zrywa się, wytrzeszczając oczy.

- Biedaczysko jest całkiem głuchy - wyjaśnia Zhu Bao.

- Chcemy pstragów, dużych i dobrze wypieczonych! - krzyczy.

Unosi ręce i rysuje w powietrzu rybę, a potem gestem pokazuje pieczenie.

Restaurator kiwa głową i znika w kuchni urządzonej za zasłoną.

Zhu Bao ciągnie Shen Fenga w stronę stolika. Obserwuje ulicę i przechodniów, głaszcze się po świeżo zapuszczonej bródce i mówi cicho:

- Shen Feng, myślałeś już o tym, by się wzbogacić?

- Nie.

- Pomyślałeś już, co byś zrobił, gdybyś miał dwa kufry pełne sapeków?

- Nigdy.

- Czy wyobrażałeś sobie, że kiedyś nie będziesz poruszał się pieszo, lecz na koniu, nie będziesz spał na cuchnącym

sienniku, ale na pachnącym posłaniu wyściełanym grubą warstwą puchu? Czy marzyłeś kiedykolwiek o tym, żeby mieć zawsze pełne kieszenie po dobrze zakrapianym posiłku?

- Nie.

Zhu Bao zerka na niego.

- Dlaczego?

Młody lutnik odpowiada:

- Ludzie źle urodzeni, jak ty i ja, nigdy nie będą bogaci. Nie warto o tym marzyć. Jeśli ktoś chce być bogaty, tym bardziej będzie cierpiał z powodu biedy. Jeśli nie myśli o bogactwie, nie myśli również o tym, że jest biedny.

- Wszyscy filozofowie to nieudane twory natury!

Zhou Bao gestykuje.

- Dowiodę, że jesteś głupcem!

Gdy Zhu Bao orientuje się, że mówi zbyt głośno, zasłania usta dłonią i patrząc na ulicę, cedzi każde cicho szeptane słowo:

- Jutro będziesz bogaty.

Shen Feng wybucha śmiechem.

- Wyjaśnij to!

Zhu Bao drwiąco mruży oczy.

- Nie jesteś zainteresowany pieniędzmi, ale na pewno interesuje cię szczęście. Shen Feng, czy marzyłeś kiedyś o tym, by poleżeć sobie w domu na tarasie: żona tka, a ty trzymasz za rękę swojego synka i uczysz go chodzić?

Shen Feng przyjmuje słowa Zhu Bao jak cios pięścią w klatkę piersiową. Odwraca się w stronę ulicy i obserwuje przechodniów.

- Mam teraz kłopoty... Nie ma co marzyć. Jakoś sobie poradzę.

- Ja też mam kłopoty - ciągnie Zhu Bao. - Ale moje kłopoty otworzyły mi oczy i przyniosły szczęście.

- Szczęście? Gdzie je znalazłeś?

- He, he...

Zhu Bao drapie się po bródce, śmieje się i nie odpowiada. Po chwili milczenia mówi:

- Grobowiec, odkryłem cesarski grobowiec w górach Siła Północy. Otwieramy go, bierzemy skarb i jesteśmy bogaci i szczęśliwi... Można to zrobić dziś wieczorem. Co o tym sądzisz?

Od czasów dynastii Han plądrowanie grobowców stało się powszechnym zwyczajem. Aby wypłacić żołd armii, wojskowi gubernatorzy otwierali tumulusy cesarzy i sławnych dostojników i wynosili skarby, które były złożone razem ze zmarłymi w ich miejscu wiecznego spoczynku. Generał Cao Cao osobiście doglądał otwierania grobów i liczenia cennych przedmiotów, jako zdobyczy wojennych. Idąc za jego przykładem, żołnierze plądrowali zdobyte krainy, nigdy też nie pomijali ich zasobnych podziemi.

Shen Feng uśmiecha się ze zniechęceniem.

- Słyszałem, że na północy, tak jak i na południu od rzeki Jangcy, ani jeden grobowiec nie został oszczędzony, nawet cesarze profanują groby władców z obalonych dynastii, aby powyciągać wszystko, co pozwoli im wznosić nowe pałace. Więc nie wierz w to, co ci byle kto opowiada...

Zhu Bao mu przerywa:

- To nie jest byle kto...

Milknie, bo wchodzi restaurator; stawia na stole dzban wina i dwie wyszczerbione czarki.

- Shen Feng, napijmy się!

Kiepskie wino drapie w język i łaskocze gardło młodego lutnika. Po dwóch porcjach wypitych jedna po drugiej nerwy zaczynają się rozluźniać. Obok niego Zhu Bao nie przestaje perorować:

- Biedacy umierają w zadowoleniu, bo gdy są już martwi, nie odczuwają zimna ani głodu. Natomiast królowie i szlachetnie urodzeni, przyzwyczajeni do ogrzewanych pawilonów,

jedwabnej pościeli i pięciu posiłków dziennie, boją się, że im tego zabraknie w krainie Cieni. Co więcej, za życia byli niedobrzy, zabierają więc ze sobą to, czym mogą przekupić strażników piekieł, aby ci ich nie torturowali. W dobrze wyposażonym grobowcu można znaleźć dosłownie wszystko: zboże, olej, pościel, ubrania, klejnoty, złote naczynia i skrzynie pełne sapeków.

- Łupieżcy grobów to często ich budownicy - mówi Shen Feng. - Przekazują sobie informacje z ojca na syna. Na podstawie miejsca i kształtu tumulusa potrafią rozszyfrować obliczenia astronomiczne, prawa wiatru i wody i odtworzyć początkowe plany, sporządzone przez architektów według reguł geomancji. Potrafią ominąć meandry podziemnych korytarzy, skalnych bram okutych żelazem, najeżonych iglicami i trucizną, i trafić dokładnie do miejsca, gdzie zaczyna się korytarz prowadzący do głównej komory grobowej, zawierającej skarb. Bez całej tej wiedzy ludzie, którzy na ślepo chcą próbować szczęścia, wystawiają swoje życie na niebezpieczeństwo.

Ale Zhu Bao go nie słucha.

- Ciebie i mnie, gdy umrzemy, zawiną w słomianą matę i wrzucą do dołu. Pod ziemią nasze ciała zaczną się rozkładać i zgniją. Do krainy Cieni wejdziemy w łąchmanach, w strzępach. Królowie i królowe natomiast wszystko wcześniej przewidzieli. Ich tumulusy są bardziej okazałe niż wzgórze. Każą wznosić wysokie stele, na których wyrte są opowieści z ich życia: gdy pojawiają się wśród zmarłych, chcą, by ich rozpoznało i czczono. Przed złożeniem do trumny ich ciała są obmywane, skrapiane, namaszczone wonnymi olejami. Ich wnętrzości wypełnia się roślinami leczniczymi, a usta perłami. Mają na sobie złote korony i jaspisowe tuniki, leżą w złotych sarkofagach, otoczeni pełnymi kufkami, dzięki którym moglibyśmy się bardzo wzbogacić: złote misy, złote naczynia do palenia kadzi-deł, złote pantofle wyszywane perłami, szable ze złotymi uchwy-



tamł zdobionymi rubinami i szmaragdami, paski ze złotymi kłami... Pierwszy lepszy z tych drobiazgów pozwoliłby nam żyć w dostatku.

Restaurator wnosi talerz z pstrągami pieczonymi na ruszcie.

Zhu Bao milknie na chwilę, po czym mówi dalej, jedząc po kawałku:

- Zanim umrę, chcę zasmakować wygodnego życia: jeść mięso przy każdym posiłku i móc kupić dzieciom buty. Ty nie?

- Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą - odzywa się młody lutnik - czy sądzisz, że da się otworzyć cesarski grobowiec dwoma kilofami i czterema rękami? Generał Xang Yu chciał zbeczczyć grób cesarza Shi Huang Di\*. Dziesięć tysięcy żołnierzy kopało, a znaleźli tylko gliniane figury, a nie cesarski grobowiec. Podobno dla ochrony przed grabieżą cesarz Shi Huang kazał wybudować podziemne królestwo, które ciągnęło się przez sto li, a jego sarkofag z górskiego kryształu pływał w rzece rtęci. Wszyscy, którzy wchodzili do jego pośmiertnej komory, umierali zatruci. Za życia władcy przebywali w Zakazanym Mieście, po śmierci ich groby są pełne pułapek. Kiedy wysadza się kamienne bramy, na twarz spada deszcz strzał albo fontanna trucizny. Można połamać nogi w szybie albo zabłądzić w tunelach, które nagle się zapadają. Niektóre groby znajdują się we wnękach wypełnionych piaskiem. Gdy łupieżcy schodzą do grobu, wali się na nich piasek i umierają uduszeni.

- Skąd znasz te wszystkie historie? - pyta Zhu Bao.

Shen Feng nie odpowiada. Żuje kawałek pstrąga i wyciąga z ust grubą ość. Obiecał mistrzowi, że nigdy nie będzie wspominał obcym o przyjacielach, którzy kursują po rzece.

\*Cesarz Shi Huang Di, zwany pierwszym cesarzem (259-210 p.n.e.), zjednoczył Chiny w roku 221 p.n.e.

Przypomina sobie, że stromo spadającą drogą, im tylko znana, schodzili kiedyś wraz z mistrzem w stronę brzegu Jangcy. Mogliby czekać wiele dni, aż czarne plamki barek ukażą się na horyzoncie. Pomachali więc trzy razy rękami, od dołu do góry. Dżonki natychmiast podpłynęły i zacumowały. Rybacy zaprosili ich do środka i dzielili się z nimi jedzeniem.

Tak jak stary lutnik, rybacy ci mieli kilka ścieżek życia. Siłą zaciągnięci do wojska, walczyli pod różnymi chorągwiami na Północy i na Południu. Kiedy ich armie zostały rozgromione, uciekając przed wrogami i własnymi oddziałami, znaleźli bezpieczne schronienie na rzece Jangcy. Uzbrojeni w szable i łuki z ich przeszłego życia wojskowego napadali na statki handlowe, przemycali między Północą a Południem wszystko to, co zabronione, w tym i zdobycze łupieżców grobów.

Piraci z rzeki Jangcy żyli bez kobiet. Mieli wychudłe twarze, wymizerowane ciała, niektórzy nosili na twarzy ślad gorącego żelaza, co jest piętnem skazańca, inni mieli na ramionach tatuaze-fetysze swych koczowniczych plemion. Ścigani przez władze Północy i Południa, rzadko kiedy opuszczali swe łodzie, przemieszczali się całymi bandami. Mistrz leczył ich chorych, w zamian piraci dawali mu deski wrywane ze starych trumien.

Wysokiej jakości cytra zrobiona jest z drewna jodłowego, tungowca albo co najmniej pięćsetletniego phoebe bournei. Z powodu nieustannych wojen wyniszczających miasta, a także zwyczaju nowych dygnitarzy, którzy wnosili swe pałace na ruinach dawnych, było coraz mniej starych drzew, bo jedynie ich rozrośnięte pnie nadają się na wysokie kolumny lub solidne belki stropowe. Lutnicy korzystają więc z trumien wykradanych z bogatych grobowców, bo książęta i wielcy panowie zapewniali sobie najlepsze, kilkusetletnie drzewa, takie, które nie zgniją pod ziemią. Jeśli zsumować długość życia drzewa i lata, przez które trumna pozostawała pod ziemią, lutnicy dostawali doskonały materiał na cytry.

Piraci nie mieli pojęcia o zawodzie lutnika, więc naśmiewali się z mistrza. Gdy chcieli napędzić strachu Shen Fengowi, opowiadali makabryczne historie o łupieżcach-upiorach. Z wstrzeszczonymi oczami, nastawionymi uszami Shen Feng wstrzymał oddech, aby nie uronić ani słowa.

„...Po gwałtownej nocnej burzy Stary Li słyszy jakieś huki. Wychodzi z chaty i widzi, że oberwała się duża część wysokiego zbocza. W tym miejscu wyłania się wspaniały pałac, w którym między młodymi kobietami leży bogato ubrany mężczyzna. Stary Li podchodzi bliżej, żeby ich powitać. Nagle ciało rozpada się, ubranie zamienia się w strzępy. Zostają tylko szkielety. Ten zmarły musiał być kimś bardzo ważnym! Poświęcono nawet jego konkubiny. Zostały pochowane żywcem wokół jego trumny...

...Tego wieczora syn Sun postanawia przejść przez cmentarz, bo to najkrótsza droga do domu. Księżyc świeci wysoko. Śnieg skrzy się i chrzęści pod stopami. Ze sztyletem w ręce Li bez przeszkód przechodzi obok grobów. Kiedy już minął cmentarz, z ulgą chowa sztylet za pasem. Niedaleko jego wioski rośnie topolowy las. Przechodząc tamtędy, słyszy głos młodej dziewczyny: «Zanieś mnie...! Zanieś mnie...!». Li unosi głowę. Na gałęzi siedzi ubrana na czerwono dziewczyna. «Weź mnie na plecy... - błaga. - Proszę, ponieś mnie». W okolicy jest sporo wilków, Li myśli więc, że dziewczyna boi się iść sama w nocy. Zdejmuje ją z drzewa i bierze na plecy. Jednak po chwili orientuje się, że dziewczyna staje się coraz cięższa i chłodzi mu plecy. Nogi zaczynają mu się trząść, pot zamarza na czole. Pada na ziemię na skraju wioski. Nazajutrz odnajdują go nieżywego w śniegu, plecy ma przywalone grobowym kamieniem..."

Powrót do domu był ciężki. Shen Feng i jego mistrz musieli wspinać się do wioski z trumiennymi deskami przywiązanymi sznurkami do pleców. Upadali i podnosili się. Stary lutnik wołał, by Shen Feng nie zniszczył sobie rąk, jakże cennych dla zawodu,

który wykonują. Ramiona spływały im krwią. Deski były ciężkie, wydzielały mdlący zapach. Shen Feng miał wrażenie, że niesie trupy, a one przekazują mu niewysłowione cierpienia zmarłych...

Nagle Zhu Bao wykrzykuje:

- Szczęście czeka na mnie w grocie. Łatwo ją otworzyć!

Shen Feng odpowiada ze zniechęceniem:

- Wiesz, że więcej jest atrap niż prawdziwych grobów?

- Chodź tu bliżej, wszystko ci opowiem. Zobaczysz, że mam rację.

Zhu Bao przyciąga Shen Fenga do siebie, podczas gdy restaurator stawia na stole kolejny talerz pstrągów. Zhu czeka, aż ten zniknie za zasłoną, po czym szepcze Fengowi do ucha:

- Mniszki z klasztoru Wielkiej Litości znają tajemnicę.

- Wielkiej Litości? Znam je.

Nieopodal miasta Jing Ko, w górach Siła Północy, naprzeciw wzniesienia, na którym mieszka Shen Feng, na samym szczycie stoi klasztor Wielkiej Litości. Kiedyś był głównym celem kobiecych pielgrzymek buddyjskich. Kobiety pokonywały trzy tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć stopni, aby dotrzeć do wielkiej sali modlitw, gdzie mieszkają trzej buddowie panujący nad Przeszłością, Teraźniejszością i Przyszłością. Po upadku dynastii Liang, wraz z nadejściem dynastii Chen, taoizm przyćmił buddyzm, a klasztor Wielkiej Litości stracił swoje ofiarodawczynię. Świątynie zaczęły popadać w ruinę. Gdy Shen Feng był małym chłopcem, wraz z dziećmi z wioski chodził wykradać warzywa z przyklasztornego ogrodu. Kiedy mniszki to widziały, groźnie wymachiwały bambusową miotłą i wtedy dzieci rozpierzchały się jak chmara wróbli.

- Na ich cmentarzu jest grobowiec cesarzowej z dynastii Song\*.

\* Dynastia Song: lata 420-479.

- Znam ten cmentarz. Nie widziałem tam żadnego okazałego tumulusa ani steli posypanej złotem. Gdyby w okolicy był jakiś cesarski grób, w mojej wiosce mówiono by o tym. Ludzie już by go splądrowali. Nie trzeba wierzyć w to, co gadają na ulicy.

Zhu Bao ożywia się.

- Chodź ze mną. Zobaczysz, że to prawda.

Shen Feng potrząsa głową.

- Profanacja grobu to ciężka zbrodnia. Za plądrowanie cmentarza klasztornego grozi natychmiastowa kara śmierci. Nie idę tam.

- Nie bój się! Mam pewne źródło, Shen Feng, skarb jest w zasięgu ręki. Chodź ze mną.

- Grabieżcy odwiedzili już wszystkie słynne grobowce w tym regionie, dlaczego mieliby pominąć właśnie ten?

- A cóż ty możesz wiedzieć, że tak mówisz?

Zhu Bao milknie. Shen Feng także. Wieje wiatr, unosząc wir kurzu na ulicy. Słońce wpada do chaty, robi piruet i wypada. Młoda muszka lata po sali. Włochata, szara, zbliża się ostrożnie, siada i zacierając łapki, posuwa się w stronę talerza z rybami.

Zhu Bao ciężko stawia czarękę z winem na stół. Przerażona mucha odlatuje.

- Czy znasz Słowo Uspokojenia?

- Nie rozmawiam z mniszkami...

- Słowo Uspokojenia została znaleziona pewnego dnia przy wejściu do Świątyni Wielkiej Litości. Miała kilka dni. Mniszki wzięły ją do siebie, a ona nigdy nie dowiedziała się, kim są jej rodzice ani dlaczego ją porzucili. Poznałem ją kilka lat temu, kiedy przyszła do miasta prosić o datki na klasztor. Czerwieniła się, gdy prosiłem ją, żeby odstąpiła mi trochę oboli. Zaintrygowała mnie ta twarz, tak zmieniająca kolor, starałem się być na jej drodze zawsze wtedy, gdy szła do miasta. A potem...

Zhu Bao milknie. Pije.

- Co zrobiłeś?

Zhu Bao opuszcza głowę.

- Pobiłeś ją?

- Nie, nie, nie...

Zhu Bao bierze czarkę i unosi ją do ust. Potem wyciera usta wierzchem rękawa.

- Jest w ciąży.

- A to dopiero!

Shen Feng drgnął.

- Nosi moje dziecko.

- Zgwałciłeś mniszkę!

- To nie jest tak, jak myślisz! Chcę ją poślubić i zabrać gdzieś indziej. Ona chce za mną pójść na koniec świata.

- Porwać mniszkę? Jak możesz myśleć o czymś tak niedorzecznym! Gdzie się ukryjecie? Tutaj, z twoimi ludźmi, ledwo ci się udaje, ale przynajmniej jadasz za darmo w restauracjach. Gdzie indziej będziesz mógł tylko zebrać. Czy można założyć rodzinę, kiedy się nie ma niczego?

Oczy Zhu Bao błyszczą. Zaciska zęby i syczy:

- No właśnie! Uspokojenie zna tajemnicę klasztoru. Cesarzowa z dynastii Song została pochowana w klasztorze Wielkiej Litości. A Uspokojenie, jej przełożona i przełożona jej przełożonej, cała ta linia, zajmuje się sprzątaniem cmentarza. To, czego się od niej dowiedziałem, to tajemnica, której wyjawienie jest karane śmiercią na mocy prawa klasztornego. Teraz już wiesz, więc musisz ze mną tam pójść.

- Jeśli nas nakryją, wszyscy zostaniemy skazani.

- Tak czy inaczej, Uspokojenie nie może pozostać w Wielkiej Litości. Ostatnim razem gdy wykryto ciężarną mniszkę, pobito ją na śmierć. To takie głupie prawo klasztorne. Ona musi ze mną uciec. Za dwa miesiące nie będzie mogła już ukrywać brzucha. Zabijają ją.

- Nie zgadzam się...

- Tylko tobie mogę ufać! Moi ludzie są mi posłuszni, ale to zwykle łobuziaki, gotowe zdradzić. Ty, ty jesteś mi bratem, masz poczucie lojalności i honoru. Dlatego właśnie proponuję, żebyś mi pomógł, a zostaniesz wynagrodzony. Uspokojenie ma klucze od cmentarza, otworzy nam bramę i zamknie za nami. Tego wieczora nikt nie będzie nas niepokoił. Pójdziesz?

Shen Feng zastanawia się.

- Mam złe przeczucie. Nie podoba mi się ten pomysł z wchodzeniem do grobowca. Musimy znaleźć jakieś inne rozwiązanie dla ciebie i dla Uspokojenia.

Zhu Bao unosi się, wali pięścią w stół i wykrzykuje:

- Boisz się umarłych? Umarli są nieżywi i powinni pomagać żyjącym w bytowaniu.

Widząc, że Shen Feng nie reaguje, sztywnieje.

- Przez te wszystkie lata, gdybym cię nie chronił, twój mistrz i ty bylibyście okradani, a nawet mogliście stracić życie! Nigdy nie żądałem pieniędzy w zamian. Masz dług wobec mnie. Zwrócisz mi go dzisiaj wieczorem!

Zaczyna wiać wiatr.

Cynobrowe słońce toczy się po grzbietach gór.

Ścieżka wije się przez las. To droga, którą chodzą tylko łanie i mieszkańcy gór. Poprzedniego dnia padał deszcz, dlatego strumienie wody toczą się przez trawy, zanim wpadną do wąwozów. Wiatr wprawia w drżenie drzewa. Ich szelest miesza się ze szmerem wodospadów i głosami ptaków podnieconych zapadaniem zmroku. Zhu Bao nie jest przyzwyczajony do wchodzenia pod górę, szybko się męczy. Stęka, potyka się i miota przekleństwami. Stawia nogę w błocie i pada w kałużę. Jest cały w zwiedłych liściach. Shen Feng podaje mu rękę. Nie zwracając uwagi na jego utyskiwanie i zniewagi, zmusza go do wstania i przyspieszenia kroku. Muszą dotrzeć do szczytu, stanąć pod murem

klasztoru jeszcze przed zmierzchem, bo kiedy słońce się chowa, tygrysy wychodzą na polowanie.

Zachodzące słońce strzela snopami iskier. Obłoki rozjaśniają się blaskiem, zabarwiają się, po czym gasną. Z głębi doliny, jak wzbierająca rzeka, wyłania się ciemność i po kawałku pochłania las. Ptaki przestają śpiewać. Wiatr cichnie. W miarę jak pejzaż staje się przymglony i ciemny, pogłębia się złowieszczą cisza.

- Biegiem! - krzyczy Shen Feng.

Zdyszany Zhu Bao lekko kuleje, ale usiłuje iść dalej.

Nad skałami rysuje się czarna linia, która wędruje dalej, ponad drzewami. Mury klasztoru podobne są do węża grożącego atakiem.

- Oto Wielka Litość. Pospiesz się! Las staje się coraz bardziej niebezpieczny.

Ponaglając Zhu Bao, Shen Feng biegnie w stronę cmentarza leżącego na tyłach klasztoru. Drewniana brama jest zamknięta od wewnątrz. Uspokojenie powinna po nich przyjść. Jednak Shen Feng woli przeskoczyć mur, by schronić się przed dzikimi zwierzętami. Wspina się na drzewo, skąd sięga szczytu muru. Zhu Bao, gdy tylko zeskakuje na ziemię cmentarza, pada wyczerpany. Nagle się zrywa. Po drugiej stronie muru słychać groźne szczekanie psa; zaraz potem przybiega cała zgraja.

- Cholera! Molosy tybetańskie. Taki rozszarpuje człowieka na strzępy w kilka sekund!

Zapada noc. Szczekanie cichnie. Rozlega się coraz głośniejsze charczenie, oddechy, trzaski i świsty zwierząt i owadów, niewidocznych dla ich oczu. Chociaż wiatr wieje lekko, ogromne bambusy głośno skrzypią. Ich niepokojące ruchy sprawiają, że jeszcze bardziej złowrogi wydaje się bezruch grobowych stel. Shen Feng wie jednak, że chronią go bambusy. Ich nieustanny szum osłabia słuch psów.

Czerwone światło porusza się w mroku, sunie zarośniętą drzewami alejką cmentarną, zatrzymuje się. Zhu Bao i Shen



Feng chowają się za nagrobek. Zhu Bao rzuca kamień. Czerwone światło migocze.

- Kto tam jest? - pyta kobieta.

- Chodź, to Uspokojenie - mówi Zhu Bao do Shen Fenga.

Szara postać, zarysowana na czarnych cieniach bambusów, unosi światło.

- To ja - mruczy Zhu Bao. - Shen Feng to mój brat. Przyszedł mi pomóc.

Shen Feng nigdy jeszcze nie był w takiej bliskości mniszki. Pochyla głowę, serce mu kołacze. Czerwona latarnia oświetla dół jej tuniki, ukazując czarne pantofelki i białe skarpetki.

- Chodźmy - mówi bez przywitania.

Obaj mężczyźni ruszają za nią. Idzie spokojnym krokiem. Lampa oświetla wąską drogę okoloną stelami i tumulusami. Drobną postać porusza się płynnie w ciemnej tunice. Pomiędzy czarnym czepkiem, zakrywającym ogoloną głowę, a szarym kołnierzem, widać kwadracik bieli jej karku.

Zatrzymuje się i odwraca do nich. Jej owalna twarz o białych policzkach zaskakuje Shen Fenga, bo wyobrażał sobie istotę diaboliczną o nieodpartym wdzięku. Jest zdziwiony jej regularnymi rysami, jeszcze młodzieńczymi. Jej brwi, oczy i usta są nieznacznie ciemniejsze niż biała cera. Pod czarnym czepkiem czoło wydaje się szerokie; twarz ma wyraz prostoduszności kogoś, kto wzrastał z dala od wszystkiego, za wysokimi murami. Shen Feng rumieni się. Jego spojrzenie pada na sznur drewnianych koralików na szyi mniszki, potem na jej brzuch.

- Chodźcie - mówi. - To tutaj.

Na krańcu cmentarza wznosi się skalista ściana, pokryta trawą i pnącymi roślinami. Cały klasztor przylega do tego wysokiego szczytu.

- Daj mi lampę - mówi Zhu, wysuwając się naprzód.

Migotliwe światło rozjaśnia bujną roślinność. Bambusy wyrosły aż do podstawy skalnej ściany porośniętej gęstymi krzewami.

- A gdzie jest grobowiec? - pyta Zhu Bao, zniecierpliwiony.  
- Z tyłu. To jest grotę, do której wejście zostało zamurowane i zasłonięte po złożeniu w niej trumny.

- Jesteś pewna, że w środku jest grób? - mruczy Zhu Bao.  
Wsuwa rękę w liście i szuka. Nagle rzuca przekleństwo. Trzyma w palcach ropuchę. Z obrzydzeniem ciska ją daleko od siebie.

- Narzędzia są schowane pod tym drzewem, położyłam też świece - mówi mniszka obojętnym głosem. - Zaczynajcie od razu. Macie tylko jedną noc.

W świetle lampy widać, że jej twarz nie wyraża najmniejszej emocji. Wygląda, jakby wyszła z grobu.

Shen Feng nie wyczuwa w jej głosie ani wstydu, ani żalu, ani niepokoju. Ten spokój, brak jakiegokolwiek uczucia, wzbudza w nim dreszcz.

- To mają być narzędzia? - marudzi Zhu Bao zduszonym głosem.

Wyciągnął z krzaków dwa kilofy, dwie pogrzebowe łopaty, pusty worek i dwa sierpy ogrodnicze.

- Jak mam otworzyć ten grób? - pyta. - Potrzebujemy siekier, żeby ściąć bambusy, i młotków do wyważenia drzwi, które są w głębi!

- Nie trzeba wyważać drzwi, są uzbrojone - odpowiada spokojnie mniszka.

- Ona ma rację - odzywa się Shen Feng. - Groby dostojników często są zabezpieczone miotaczem strzał albo woreczkami z trucizną.

- Wiesz, jak je otworzyć? - pyta Zhu Bao. - Masz klucz?  
Powiew wiatru chwieje lampą. Twarz Uspokoienia rozjaśnia się, pochmurnieje, potem znowu się rozjaśnia. Mniszka tupie czubkiem stopy.

- Kopcie - mówi, tak jakby zastanawiała się nad zbrodnią, jaką Zhu Bao ma dla niej popełnić. - Pod drzwiami trzeba

wykopać tunel, który zaprowadzi was prosto do komory grobowej. W ten sposób - dodaje - nie pozostawicie śladów.

Zhu Bao bez słowa podwija rękawy, zaciera ręce i chwytą łopatę.

Gęsty obłok zasłania księżyc. Szum dochodzący z doliny staje się jazgotem zawodzeń. To wiatr huczy w bambusach. Bez księżycowego światła tumulusy wydają się większe. Okrywają cmentarz swoimi śmiertelnymi cieniami i wysyłają powiewy lodowatego powietrza. Purpurowe światło przyciąga owady, które rozbijają się o lampę.

Shen Feng ma gęsią skórkę. Przestaje kopać, prostuje się. Obok niego zwykle gadatliwy Zhu Bao ciągle zaciska zęby i nie podnosi głowy. Zamienił kilof na łopatę, odrzuca wykopaną ziemię. Shen Feng pluje na dłoń, aby zmniejszyć uczucie parzenia. Nagle ze szczytu skały dochodzi odgłos kaszlu. Zhu Bao wyskakuje z dziury, wymachując łopatą.

Dwa kroki dalej skalista ściana patrzy na nich w milczeniu. Pokryta bluszczem, podobna jest do pomarszczonej twarzy ze złośliwym uśmiechem. Czy ma w sobie skarb, czy demona, który ocknie się pod ciosami kilofa i łopaty? Shen Feng słyszy oddechy. Nagle ktoś zaczyna się śmiać.

- Pokaż się, tchórze! - woła głucho Zhu Bao.

Śmiech staje się pomrukiem niewyraźnych złorzeczeń.

- Do licha! To duch czy demon jakiś? - mruczy Zhu Bao, szcękając zębami.

- Wychodź stamtąd!

Shen Feng podnosi grudki ziemi i rzuca je w stronę miejsca, z którego dochodzą odgłosy. Drzewa zaczynają drżeć. Dwa cienie prześlizgują się po gałęziach i uciekają na wierzchołek.

- Małpy! - mówi Zhu Bao i spluwa na ziemię. - Ale napędziły mi strachu! Przysięgam, po tym dzisiejszym wieczorze na cmentarzu znajdę się dopiero po śmierci.

Gdzieś w ciemnościach ptak pohukuje, a potem chichocze, jakby z nich drwił. Shen Feng przeciera ociekające potem czoło, przeczesując spojrzeniem okolicę. W pobliżu, przy kępcie bambusów, dostrzega sylwetkę podobną do postaci Uspokojenia, odwróconą plecami. Wygląda, jakby stała na czatach, jednocześnie spoglądając w niebo.

Głośny ryk wstrząsa ciemnością nocy.

- Co to takiego?

Zhu Bao drży; znowu unosi łopatę.

- Tygrys - odpowiada Shen Feng.

Zhu Bao spluwa na ziemię.

- Skończmy wreszcie z tym grobem! Mówię ci, teraz żałuję, że zrobiłem dziecko tej mniszce. Ona mnie zabije, zanim się z nią ożeni!

Shen Feng spogląda w stronę Uspokojenia. Mniszka stoi w bezruchu. Jest obojętna wobec ich strachu i trudu. Wydaje się nastawiona na przekroczenie wszelkich zakazów tego padołu ziemskiego, na sprzeciwienie się prawom buddyjskim, nakłaniając Zhu Bao do splądrowania grobowca świątobliwej cesarzowej. Czy to właśnie jest kobieta, tunel, dzięki któremu można trafić w nicość albo zdobyć bogactwo?

Leżąc na brzuchu, Shen Feng kopie łopatą. Zhu Bao wysypuje gruz do przyniesionego przez mniszkę worka, a wysypuje przy wyjściu z tunelu.

- Jesteś pewien, że idziemy w dobrym kierunku? - pyta Zhu Bao, czołgając się. - A raczej, jesteś pewien, że kopujemy w dobrym miejscu?

- Niczego nie jestem pewien! - odpowiada Shen Feng.

W kontakcie z ziemią jego pot zamienia się w błoto. Od czasu do czasu musi się zatrzymać, żeby wytrzeć oczy i usta.

Znowu słyszy głos Zhu Bao:

- A co zrobimy, jeśli ziemia zapadnie się nam na głowę?

- Może być jeszcze gorzej - odpowiada lutnik, splunawszy.
- Ziemia może się zawalić i zepchnąć nas do dołu z piaskiem... Odgarnij ten kopiec ziemi. Przeszkadza mi oddychać.

Zhu Bao odczołguje się, po chwili wraca.

- Jakiś pomarańczowy cień kilka razy przeskoczył mi przed oczami. Chyba miałem spotkanie z duchem.

- Nie przejmuj się. Nie trzeba go nawet nazywać. Wystarczy pomyśleć, żeby przyszedł cię straszyc.

Kiedy Shen Feng i jego mistrz wracali z deskami ze starych trumien, zostawiali je na powietrzu przez cały dzień, aby się wywietrzyły. Wieczorem wnosili je do domu i umieszczali pod siennikami. Sypiali na owych deskach odnalezionych w królestwie umarłych, bo musieli przywrócić je do życia, obdarzyć witalnym tchnieniem świata żywych. Na początku Shen Feng miewał nocne koszmary. We śnie spotykał nieznanymi w dziwnych ubraniach. Nie wiedział, czy to zmarli przychodzą do niego w odwiedziny, czy on podróżuje w ich, przeszłym już, czasie. Mistrz powtarzał mu, że tak czy owak nie należy odpowiadać na ich pytania ani na ich zaproszenia.

Zabrzączał głos Zhu Bao:

- Shen Feng, nie wyglądasz na kogoś, kto boi się duchów.
- Bać się? Mój mistrz coraz bardziej upodabnia się do ducha. Przyzwyczaiłem się...

Mniszka Uspokojenie zostawiła im małe, używane świece. Prawdopodobnie skradła je z ołtarza trzech buddów. Dla oszczędności Shen Feng pali tylko jedną. Dwadzieścia stóp pod ziemią wyraźnie czuć odór pleśni. Posuwa się do przodu na czworakach, duszą go podmuchy rozgrzanego powietrza. Słabe światło świecy rzuca drgający cień na ścianę. Shen Feng wydrapuje i kopie. Grudy ziemi wlatują i opadają. Shen nie czuje już ramion, drżą mu ręce. Ale jest za późno, by się wycofać. Razem z Zhu Bao za daleko już się wkopali, za głęboko; nie mają już siły, żeby zrezygnować. Zapach ziemi i monotonne drapanie

wywołują w Shen Fengu senność. Zamykają mu się oczy, musi bardzo się starać, by były otwarte. Ogarnia go smutek, jak przypływ morza. Jeśli umrze w tym grobowcu, kto zaopiekuje się jego mistrzem? W jaki sposób dzban wypełni się świeżą wodą, przez kogo dom zostanie zaopatrzony w chrust, a garnek w ryż?

Przed dwoma laty ręce starego lutnika zaczęły drżeć, nie mógł utrzymać narzędzi do rzeźbienia. Na początku, przekonany, że to złowróżbny urok jakiegoś ducha, który w ślad za swoją trumną wśliznął się do świata żywych, popijał napary z ziół, mające, jak mawiał, magiczne działanie. Z czasem dolegliwość się pogłębiała. Pewnej nocy ogarnęła pierś. Po obudzeniu mistrz nie mógł już poruszać językiem. Od tego dnia nieustannie jest w złym humorze, zjada posiłki w milczeniu, zasypia przy ogniu, na swoim sienniku. Gdy Shen Feng do niego mówi, udaje, że jest głuchy. Niekiedy znika w górach na całe dni, wraca z zapadniętymi policzkami, w zabrudzonym ubraniu. Myśliwi przemierzający las opowiadają, że sypia w grotach i że zaprzyjaźnił się z małpami i z gwiazdami.

Od czasu gdy nieszczęście nawiedziło ich dom, Shen Feng także znika, gdy ogarnia go poczucie rozpacz. Odwrotnie niż mistrz, idzie do miasta, włóczy się z bandą Zhu Bao i wędruje po gwarnych uliczkach targowych. Słońce, pot, wino, rozmowy sprzedawców, rejwach paradujących żołnierzy sprawiają, że rodzi się w jego sercu tęskna melodia, dzięki której zapomina o swym strapieniu.

Zhu Bao wraca i ciągnie go za nogę. Cały jest w błocie, spocony, z błyszczącymi oczami; gdy mówi, zęby mu szczękają.

- Jeśli umrę, ożeń się z Uspokojeniem i ukryj ją u siebie w domu, dobrze?

- Żarty! Nie umrzesz!

Zhu Bao potrząsa głową.

- Teraz żałuję, że cię nie posłuchałem. Nie damy rady.

- Przerwijmy natychmiast.

- Nie! - krzyczy Zhu Bao.

Po chwili milczenia wraca i powtarza:

- Jesteś pewien, że kopaliśmy w dobrym kierunku?

- Nie wiem.

Ciągnąc swój ładunek, Zhu Bao wije się i czołga do tyłu.

- Shen Feng, jesteś mi bratem, nawet po śmierci będę ci wyrażał wdzięczność! Kiedy wejdziemy do grobowca, możesz brać wszystko, co ci się spodoba!

- Zobaczymy. Nie potrzebuję tego tak jak ty.

Zhu Bao pełźnie do wyjścia.

- Mam jedno pytanie - mówi Shen Feng. - I chciałbym poznać odpowiedź, zanim umrę.

- Co takiego?

Shen Feng się rumieni. Zhu Bao mruczy z irytacją:

- Mów! Nikt nie słyszy!

Młody lutnik waha się chwilę, w końcu pyta:

- Jak to jest z kobietą?

Zhu Bao wybucha śmiechem. Tak bardzo się śmieje, że wciąga do ust ziemię i zanosi się kaszlem.

- Cha, cha, z kobietą...! Kiedy... kiedy już weźmiesz swoją część... skarbu, pójdziesz odwiedzić Rubin z pawilonu... Lo-tos. Ona ci wszystko wytłumaczy!

- Nie o to mi chodzi. Co to takiego kobieta?

Zhu Bao robi minę jakby się zastanawiał. Nagle znajduje odpowiedź:

- Jest wilgotna i ciepła. Kładziesz się, wchodzisz w nią i drażysz, drażysz, drażysz. W pewnej chwili, nagle, płoniesz i... He, he, robisz dziecko!

Zadowolony z siebie Zhu Bao wycofuje się, nucąc:

Szkarłatny kwiat otwiera się szeroko, otwiera szeroko,

Dżdżownica pełźnie, pełźnie, pełźnie do miodu,

Aj, aj, braciszku, spokojnie, jeśli kwiat się nagle zamknie,  
Aj, aj, braciszku, zostaniesz w środku i nie ujrzysz już matki...

Zhu Bao znika w ciemnościach. Shen Feng znowu bierze łopatę i kopie. Opada na niego grad ziemi. Wyciera twarz wierzchem ręki. Zhu Bao nie odpowiedział na jego pytanie. Może było źle sformułowane. Czy przeznaczone mu jest nigdy nie poznać kobiety? Jego ręce, oczy, uszy, oddech, brzuch, policzki, jego dnie i noce mają należeć wyłącznie do cytry? Czy dlatego urodził się sierotą, dlatego stary lutnik jest jego jedynym przewodnikiem w życiu?

Shen Feng był małym chłopcem, gdy mistrz postanowił rozwinąć jego słuch muzyczny.

„Muzyka jest wszędzie, wszystkie żywioły mają własną melodię, mawiał. Dźwięki świata dzielą się na trzy kategorie. Chaotyczny szum natury staje się harmonijny, jeśli przymknąć uszy zewnętrzne i otworzyć uszy wewnętrzne. Słysząc wtedy muzykę zmysłów i muzykę pamięci. A jeśli przymknąć uszy wewnętrzne i nasłuchiwać naskórką, można usłyszeć muzykę niebiańską i ziemską, muzykę Słońca, Ziemi i gwiazd. A gdyby wyłączyć wszelki słuch i słuchać umysłem, można wychwycić muzykę inteligencji, muzykę bogów, która odbywa podróż wiatrem i światłem, przenika noc i przechodzi przez mury, melodia wszelkiego życia”.

Wskazując góry, mistrz pytał:

„Ile jest drzew w lesie?”.

Mały Shen Feng liczył na palcach i gubił się w tym.

Mistrz pytał wtedy:

„Ile jest kamieni na brzegu rzeki?”.

Shen Feng poruszał kamień czubkiem buta, ale nie potrafił odpowiedzieć.

Mistrz ciągnął dalej:

„Ile jest fal w rzece?”.



Shen Feng usiłował liczyć, ale nie potrafił dotrzeć do końca.

„Nieskończony jest nasz świat. Nieskończone są dźwięki cytry”.

Na brzegu rzeki wznosił się wzgórek z otoczków. Z daleka podobne były do grupy stojących ludzi, przyglądających się falam.

„Te kamienie kiedyś były skałami w górnym odcinku rzeki - mówił mistrz. - Wysmagane przez strumienie, gładzone przez nieustające fale, utraciły swoją ostrość, nierówne krawędzie. Przy każdym wezbraniu wody są popychane dalej, w dół rzeki. W tym powolnym osuwaniu szukają się wzajem, przywierają do siebie i układają się w stos, żeby razem stawić opór prądom”.

Idąc za swoim mistrzem, Shen Feng wszedł na stos kamieni. Kiedy słońce przedarło się przez mgłę, niewyraźne cienie przeciwnego brzegu wydłużały się i stawały się stromymi falezami. Niezliczone ptaki kłębiły się przy szczelinach i skalnych uskokach. Mistrz stał bez ruchu, rozkładał ramiona. Shen Feng robił to samo. Głęboko oddychał, wyobrażał sobie, że podnosi żelazną kulkę i wznosi ją do nieba. Mistrz unosił wtedy lewą rękę, zginał prawą nogę i zachowując równowagę, stał na lewej. Shen Feng robił to samo. Żelazna kulka powiększała się, toczyła po jego ramionach i wokół głowy. Stawała się dużą kulą napełnioną zbawiennym powietrzem, które przenikało jego ciało i dzieliło się na dwie strugi ciepłego płynu w każdej z nóg.

Rozlegał się głos mistrza:

„Cytra jest górą, rzeką, niebem, ziemią, obłokiem, statkiem, skałą. Cytra jest całym światem; świat jest cytrą. Grający na cytrze jest dźwiękiem świata. Oddychaj głęboko... wydychaj...”

Nagle mistrz przyspieszał ruchy, wyciągał lewą rękę i ciął powietrze prawą. Stojąc na prawej nodze, unosił lewą aż na wysokość głowy i wykonywał całą serię kopniaków w powietrzu. Pomimo chwiejących się nóg, Shen Feng go naśladował.

„Cytra nie jest przywilejem mędrców, mawiał jego mistrz. Cytra jest także sztuką walki, rozpaczą i śmiercią. Shen Feng, uczę cię sztuki walki, aby wyostrzyć przenikliwość twojego umysłu”.

Mistrz kręcił się przed nim w kółko, coraz bardziej zwalnając swoje ruchy. Jego głos rozbrzmiewał dalej:

„Na początku świat był zaledwie wirem. Przyczajony w jego środku bóg Pan Gu drzemał w chaotycznych ciemnościach przez osiemnaście tysięcy lat. Pewnego dnia obudził się, przeciągnął i odepchnął gęste powietrze rękami i nogami. Lekka materia wleciała w górę i utworzyła niebo. Materia ciężka zeszła niżej i stała się ziemią. Bóg Pan Gu wstał i wziął niebo na swoje ramiona. Rósł jeden czang\* dziennie przez osiemnaście tysięcy lat, aby w końcu niebo oddzieliło się od ziemi i nigdy się z nią nie stykało. Kiedy ziemia stwardniała, a niebo wyschło, Pan Gu położył się na ziemi i umarł z wyczerpania. Z jego lewego oka powstało słońce, z prawego księżyc. Jego ciało i krew stały się górami, rzekami, lasami i skałami”.

Shen Feng poczuł przypływ energii. Kula powietrza, którą trzymał w rękach, powiększała się i unosiła go ku niebiosom.

Mistrz mówił dalej:

„Opuszczaj się powoli na pięty. Pod piętami masz ziemię. Ziemia ciągnie się w nieskończoność. Ty jesteś nieskończonością. A teraz otwórz tors, zamknij uszy i słuchaj muzyki koniuszkami włosów. Ona nie rezonuje, ale oświeci cię. To muzyka inteligencji...”

Przy wejściu do tunelu, który się wydłużył i wznosił, Shen Feng czuje, że przeszywa go lodowate, ostre zimno. Zatrzymuje się, nad świecą rozgrzewa zeszywniałe palce, przypatruje się swoim dłoniom, szerokim, czerwonym, pokrytym odciskami.

\* Jeden czang = 3 metry.

Łupieżcy drażą w ziemi, aby kraść skarby, lutnicy drażą w drzewie, aby pustce nadać życie, muzykę.

Muzyka! Z podkopu dochodzi melodyjny szmer. Nie dowierając, Shen Feng nasłuchuje przez chwilę, po czym zaczyna rozdrapywać grunt. Gęsto spadają grudy ziemi. Nie jest to już świeża ziemia, lecz twarda masa, która przeradza się w proch. Shen Feng ostrożnie zmienia narzędzie i kopie czubkiem kilofa. Cicha, tęskna melodia staje się coraz głośniejsza, w miarę jak drobinki, podobne do popiołu, opadają z górnej części ściany.

Shen Feng zatrzymuje się.

- Słyszysz tę muzykę? - pyta towarzysza zajętego zbieraniem gruzu.

- Co? Jaką muzykę?

- Nie, nic - odpowiada Shen Feng.

Słysząc tak, jakby gdzieś w górze zespół muzyków dawał koncert instrumentów strunowych. Gdy kopie w tym kierunku, słyszy jeszcze wyraźniej. Jest całkiem inna niż muzyka, której słuchał dotychczas. Dźwięki stukają z wyrazistością i jasnością pereł. Chwilami są tak od siebie oderwane, że przypominają śpiew cudzoziemki.

Muzyka grzmi. Płyną dźwięki. Ich niskie, tęskne echo pieści ręce i nogi, wywołuje dreszcz radości. Shen Feng przyspiesza ruchy kilofa, coraz szybciej uderza w ziemię. Muzyka go przenika, wpełza pod czoło, przywołuje:

- Chodź do mnie, chodź!

Nagle deszcz piasku i pyłu opada z góry, muzyka milknie. Nad głową ukazuje się dziura. Shen Feng wyciąga rękę, przybliża świecę, a drugą ręką kilkoma ciosami kilofa poszerza otwór. Bucha mu w twarz silny odór. Dzika bestia przybyła z piekła skacze na niego i gryzie go w twarz. Gaśnie świeca, zdmuchnięta przez mdlący powiew. Dusząc się, Shen Feng rozdziera tunikę na piersi; stopy ryją ziemię, a on zwija się, żeby wydać krzyk.

Jednak nie dobywa żadnego dźwięku. Kuli się i traci przytomność.

- Shen Feng, Shen Feng!

Z trudem otwiera oczy. Ciężą mu powieki. Szumi w uszach, kręci się w głowie. Chce się poruszyć, ale nie ma siły. Próbuje przypomnieć sobie, co się wydarzyło, ale nic nie przychodzi mu do głowy.

Słyszy, jak ktoś ciągle do niego mówi, potrząsając za nogę. Głos jest pełen przerażenia:

- Umarłeś, Shen Feng...? Nie możesz umrzeć...! Obudź się!  
Głos słabnie.

Shen Feng powoli odzyskuje świadomość; prawdopodobnie dotknął grobu i zatruty go trupie wyziewy. Zaciska szczękę i unosi rękę, ciężką jak góra. Po omacku wyciąga swój parciany pas, moczy go uryną i przykładą na nos i usta. Kiedy przestaje huczeć w uszach, palce odnajdują w ciemności świecę, a w kieszeni krzemień. Wykrzesane iskry natychmiast pochłania ciemność. Shen Feng czeka dłuższą chwilę, zanim ponowi próbę. Światło świecy, słabe jak młody groszek, przekazuje mu energię życia. Czołga się do tyłu w stronę Zhu Bao. Potrząsa nim, budzi go i podaje koniec pasa, by przyłożył do nosa. Pomagając sobie nawzajem, docierają tyłem do wyjścia z tunelu.

Zrywają maski z twarzy i kładą się obok siebie. Leżąc na plecach, ze skrzyżowanymi rękami, patrzą w niebo. Noc jest jasna. Po drugiej stronie muru cicho dźwięczą dzwonki przy bramie. Zaczyna szczekać pies, po chwili milknie. Kołyszają się bambusy. Poprzez ich listowie gwiazdy migocą na niebie, zapowiadając słoneczny dzień. Jaka to pora roku? Shen Fengowi wszystko się poplątało. Bambusy są zielone przez okrągły rok. W tych górach kwitną co sześćdziesiąt lat. Wydaje się, że teraz ziemia drży, deszcz lub słońce wyniszczają świat, a wyczerpane kwitnieniem bambusy żółkną, tracą liście, schną.

Zhu Bao trąca go łokciem.

- Masz jakiś pomysł? Jeśli nie znajdziemy skarbu, co zrobimy, żeby się wzbogacić?

Shen Feng odpowiada ze znużeniem:

- Słyszałem, że kupcy jedwabni, niezadowoleni ze sprzedaży swego towaru władcom z Południa, zapuszczają się do barbarzyńskich królestw, pomimo wojny i rzecznego piractwa. Nie bojąc się ani zmęczenia, ani niebezpieczeństw, najodważniejsi wymieniają konie na wielbłądy, przejeżdżają pustynię Północnego Zachodu, by dostarczać jedwab zachodnim księżętom o kocich oczach. Jedwab jest atrybutem wysoko urodzonych i możnych, zaś pieniądze nędzników i chciwców. W mieście znajdziesz na pewno kupca, który zechce wysłać cię na Północ, abyś pilnował karawany. Ale co z Uspokojeniem... trzeba będzie przebrać ją za mężczyznę, żeby mogła opuścić Południe. Za rzeką Jangcy, u Barbarzyńców, będziecie wolni.

Zhu Bao wzdycha:

- Podobno na Północy od października do kwietnia akwilon przewraca konie i ścina lodem choraągwie, które sztywnieją jak żelazna blacha. Tam bardzo łatwo stracić uszy i nos. Północ nie jest dla nas, my przecież nie wiemy, co to zima.

Shen Feng waha się chwilę.

- Diabeł cię opętał! Na ulicach w Jing Ko jest pełno dziewczyn. Jak znalazłeś tę zakonnice z gór?

Zhu Bao uśmiecha się cierpko.

- Diabeł? To Budda! Dziewczyny uganiają się za mną, że bym im dawał pieniądze. Odchodzą, gdy spotykają kogoś bogatszego. Uspokojenie daje mi radość. Bez niej robię byle co, żeby tylko zarobić parę monet, które natychmiast wydaję, sam nie wiem na co. Z nią jestem czystym, dobrym mężczyzną, chronię ją i rozśmieszam. Kiedy jej blada twarz nabiera rumieńców, zapominam o ulicy, hałasie, kurzu, pocie; dostrzegam blask czystej Ziemi.

Shen Feng milczy. W głębi duszy zazdrości Zhu Bao. On także chciałby, żeby jakaś kobieta pozwoliła mu zapomnieć o chorobie mistrza, o nędznym życiu, pozwoliła dojrzeć światłość Buddy! Czy przyjdzie do niego, kiedy już zdobędzie część skarbu?

Zhu Bao schodzi pierwszy, Shen Feng tuż za nim. Obaj mają maski nasiąknięte uryną. Migotliwy płomień świecy pokazuje, że w tunelu krąży powietrze. Shen Feng popycha Zhu Bao z tyłu, żeby przedostał się do otworu. Po chwili wahania Shen Feng także wsuwa głowę. Nie widzi nic oprócz gęstej mgły. Wpycha tam kilofy i łopaty, zamyka oczy i wciska się do środka.

Kiedy rozchyła powieki, widzi świetlną aureolę, w której unosi się kurz. Przysuwa bliżej świecę. Przed nim wznosi się słup. Złożona z drobinek, unoszących się i opadających, coraz to wyrzuca w ciemność ogniki. Gdy Shen Feng posuwa się do przodu, świeca zostawia w mroku mieniący się ślad. Słup cofa się, po czym rozpościera kilka ramion, które wiją się i oplatają Shen Fenga, tak jakby chciały wyrwać mu z rąk świecę.

Nieopodal Zhu Bao wydaje okrzyk przerażenia. W środku tumanu kurzu ukazuje się mężczyzna w białej draperii. Shen Feng szeroko otwiera oczy. Mężczyzna okazuje się postumentem wyrzeźbionym w alabastrze; na nim spoczywa sarkofag.

Shen Feng łopata bada ziemię, zanim postawi nogę; obchodzi grobowiec dookoła. Przeciwnie niż groby bogatych rodzin, wyposażane w prawdziwy podziemny pałac, składający się z wielu pomieszczeń, które mają imitować przepych z czasów, gdy zmarły był jeszcze pośród żywych, ten tutaj ma tylko jedną okrągłą komorę grobową; Shen Feng nie widzi żadnej steli z nazwiskiem nieboszczki, opisem jej pochodzenia czy życia. Na chińskiej ziemi, na Północy, tak jak i na Południu, żywi wnoszą zmarłym stele. Dla jednych jest to upamiętnienie pracowitego

życia, dla innych gloryfikacja żywota nieprzeciętnego. Od największych nędzarzy do cesarza - wszyscy mają prawo do drewnianej lub marmurowej steli z zapisem ich biografii, skreślonej zwykłym czarnym tuszem czy wygrawerowanej złotym proszkiem.

Brak steli wcale nie umniejsza znaczenia grobu, myśli młody lutnik. Pragnęli zapewne ukryć tożsamość tej osoby, może dlatego, że została wygnana ze Dworu, albo dlatego, że chcieli oszczędzić jej w przyszłości infamii z powodu splądrowania grobu. W obu przypadkach chodzi niechybnie o wysoko postawioną osobę.

Gdy Shen Feng przybliży świecę, ściany grobowca zaczynają błyszczeć, ukazując freski o pełnych wdzięku rysunkach, podzielanych złotem. Wizerunki dwóch mitycznych bestii, zielonego smoka i białego tygrysa, strażników cesarzy i cesarzowych, potwierdzają to, co mówił Zhu Bao. Namalowane na ścianie wschodniej i zachodniej, poprzedzają dwa orszaki składające się z pieszych i konnych żołnierzy, urzędników w czepkach mędrców, służących i pokojówek niosących misy, miotełki do ścierania kurzu, wachlarze, serwety, rośliny, wszystkie codzienne akcesoria luksusowego życia, nieznanego młodemu lutnikowi, potem jeszcze mnóstwo ptaków, kotów, małą, psów i oswojonych lampartów. Powozy pełne żołnierzy uzbrojonych we włócznie i strzały otaczają dwie karety z zasuniętymi zasłonkami haftowanymi złotą nicią, zdobione smokami, ailinami\* i feniksami. Sama uroda dostojników ubranych w brokaty wystarczy, by zasugerować rangę ich władcy. Serce Shen Fenga zabiło mocniej. Być może stoi właśnie w grobowcu samego cesarza z dynastii Song! Dla zmylenia grobowych łupieżców z przyszłych pokoleń wielcy tego świata wznoszą często kilka fałszywych tumulusów, a potem pochowani zostają w innych, niewyróżniających się

\* Mityczne zwierzę o ciele konia pokrytym rybimi łuskami i rogach jelenia.

miejscach, wraz ze swymi drogocennymi skarbami. Cmentarz mniszek na szczycie oddalonego pagórka jest idealnym miejscem do przechowywania takiej tajemnicy!

Zhu Bao wchodzi na cokół i bada ręką sarkofag. Shen Feng jeszcze raz szybko okrąża komorę. Pod ścianami nie ma ani dzbanów pełnych zboża, ani waz z klejnotami, ani glinianych figurek przedstawiających służbę i wierzchowce, naczynia i kuchenny piec, ani kufrów z książkami, obrazów, ubrań noszonych przez zmarłego. Czyżby miał to być taki grobowiec atrapa?

Siedząc okrakiem na trumnie, Zhu Bao niecierpliwi się:

- Szybko, pomóż mi przesunąć pokrywę. Niedługo zrobi się jasno!

Przysuwając świecę, Shen Feng dostrzega sarkofag o kształcie prostym, lecz majestatycznym. Po przetarciu rękawem naróża widzi czarne lakowane drewno. Uderza pięścią. Rozlega się seria jasnych, donośnych dźwięków. Rozpoznaje pień wyjątkowego gatunku.

Shen Feng podaje narzędzia Zhu Bao i także się wspina. Obaj stukają w boczne ścianki, w szczelinę między pokrywą a trumną. Wylatują drobinki pyłu, skrzac się wokół świec. Wkrótce pokrywa ustępuje. Przesuwają ją, podkładając narzędzia jak dźwignie. Z obawy by nie roztrzaskała się o ziemię, Shen Feng zeskakuje i zdejmuje ją rękami.

Z sarkofagu wydobywa się obłok pyłu, w tej samej chwili jakiś zapach - pomimo maski na twarzy - dociera do nozdrzy Shen Fenga. Wchodzi na postument i pochyła się. Jednocześnie, wraz z Zhu Bao, przybliżają świece. Drobinki pyłu wirują, potem się rozpraszają jak malutkie owady o barwnych skrzydełkach. Ukazuje się kobieta jak żywa, promieniejąca radością i młodością. Na jej twarzy w kształcie księżyca zarysowują się karminowe policzki i delikatnej budowy nos. Powieki półprzymknięte, czoło pozbawione wszelkich zmarszczek - to osoba niespotykanej piękności, mimo że ma na sobie czarny czepek



i szare odzienie mniszki. Ręce złożone na piersi, na ustach uśmiech - wydaje się, że kobieta zaraz się obudzi.

Zhu Bao pada na kolana, składa ręce, pochyla się w pokłonie i szepcze:

- Wasza Wysokość, proszę mi wybaczyć. Pozwól, że pożyczę sobie trochę pieniędzy, tyle żeby starczyło na utrzymanie żony i dziecka. Ciebie już nie ma, więc nie potrzebujesz. A tutaj jest za dużo nędzy i cierpienia...

Shen Feng przypomina sobie: mówiono mu kiedyś, że ciała świętych mogą długo przetrwać. Jednak trudno uwierzyć, że ta kobieta zmarła trzy dynastie temu. A poza tym, gdzie jest skarb? Ręka Shen Fenga drży, ze świecy skapuje kropla wosku, który rozpryskuje się na czole kobiety. Skóra pęka, rozpada się na strzępy, odkrywając czaszkę. W mgnieniu oka tunika się rozdziera, odsłania białe piersi, które zapadają się i otwierają na pękające żebra. Kiedy Zhu Bao kończy swą inkantację i unosi głowę, są już tylko kości i kupka pyłu. Lodowaty wiatr smaga Shen Fenga od przodu, przeszywa mu pierś niczym ostrze miecza. Zhu Bao wskazuje do sarkofagu i szpera. Po zetknięciu z jego rękami czaszka rozsypuje się, rozpada się szkielet, kości się rozkruszają. Spomiędzy jego palców wlatują mieniające się drobinki pyłu. Shen Feng obserwuje ten barbarzyński postęp, po czym odwraca głowę.

- Gdzie jest skarb? Skarb!

Pokrzykując, Zhu Bao chwytą kilof i wali w dno trumny. Pod jego ciężkimi ciosami sarkofag szybko pęka i rozpada się. Szpic kilofa trafia w alabastrowy postument, krzesając iskry. Zhu Bao, nie znalazłszy żadnego przedmiotu, zeskakuje na ziemię. Wali kilofem w ścianę w poszukiwaniu ukrytych drzwi, które prowadziłyby do skarbcza. Widząc, że przepiękne freski znikają pod gwałtownymi ciosami Zhu Bao, Shen Feng żałuje, że przyszedł tu za przyjacielem i stał się współnikiem jego grabieży. Zhu Bao ryje teraz w ziemi.

Shen Feng, zirytowany, łapie Zhu Bao za ramiona i krzyczy:

- Zaraz będzie świtać! Idziemy stąd.

Zhu Bao wrzeszczy:

- Uspokojenie nie kłamała! Szkielet nie ma żadnego klejnotu na szyi ani pereł w ustach, nie trzyma w rękach jadeitów. To tylko służąca, jej pani leży gdzieś dalej!

- Idziemy stąd! - odpowiada Shen Feng, wściekły. - Jeśli psy nas wyczują, a mniszki złapią, niechybnie zginiemy.

- Mam to w nosie! Nie opuszczę tego miejsca, dopóki nie znajdę skarbu. Puść mnie!

Zhu Bao odpycha go łokciem i dalej kopie.

- Ja wracam - mówi Sheng Feng. - Chodź ze mną.

- Idź sobie! Zostaw mnie w spokoju!

Shen Feng nalega:

- Chodź. Wyjdźmy stąd.

Zhu Bao rzuca się na niego i powala na ziemię.

- Znikaj stąd, tchórze! Nie chcę cię już oglądać!

Kiedy Shen Feng zaczyna schodzić do tunelu, słyszy z tyłu:

- Poczekaj!

Zhu Bao pada na ziemię, przy ścianie. Ubrudzony błotem i kurzem podobny jest do zdychającego szczura. Młody lutnik siada obok niego. Chińczycy wchodzą do świata Ciemności z co najmniej jednym przedmiotem do nich należącym. Nawet mnisi chowani są ze swoim sznurem modlitewnym. Zhu Bao zapewne ma rację. Zwłoki są substytutem, te prawdziwe znajdują się w innym miejscu, być może wcale nie na tym cmentarzu. Z obawy, by jego tumulus nie został zbezczeszczone, ciało sprofanowane, a pamięć skalana, bez możliwości wymierzenia zemsty, generał Cao Cao kazał wznieść siedemdziesiąt dwa grobowce dla zmylenia swoich wrogów i grabieżców. Spojrzenie Shen Fenga omiata całe pomieszczenie i zatrzymuje się na leżącej na ziemi pokrywie sarkofagu. Skoro ta grota zawiera zwykły substytut, po co było obdarzać fałszywą cesarzową trumną zro-

bioną z tysiącletniego drzewa, ustawioną na postumencie z alabastru pokrytego płaskorzeźbą tak kunsztownie wypracowaną? Po co te freski obramowane złotem, przedstawiające przepych cesarskiej podróży ku niebiosom? Dlaczego nie umieszczono tu przedmiotów pochówkowych o mniejszej wartości, aby zaspokoić zwyczajnych grabieżców, by odeszli i więcej nie węszyli?

Buddo, gdzie twoje miłosierdzie, o którym mówią, że jest nieskończone...? Uspokojenie nie może umrzeć... - jęczy Zhu Bao.

Shen Feng wstaje, prostuje się i przypomina sobie, że antykwariusz Wielki Liu proponował mu zrobienie podrobionej starej cytry.

- Pomóż mi wsunąć pokrywę sarkofagu do tunelu - mówi.
- Nic nie jest warta, chyba tylko na rozpałkę! Trudno! Pójdę mordować samotnych wędrowców i zabierać im sakiewki.
- Podnieś pokrywę, mówię ci.
- Daj spokój. Jestem wykończony.

Shen Feng jest więc zmuszony udzielić paru wyjaśnień:

- Bierz! Cytra zrobiona z tego starego drewna będzie warta mnóstwo pieniędzy. To wystarczy, byś mógł opuścić miasto razem z Uspokojeniem...

Na zewnątrz gwiazdy zbladły. Na wschodzie skaliste szczyty zaczynają się czerwienić.

Shen Feng i Zhu Bao w pośpiechu zasypują wejście do tunelu, pokonują cmentarny mur i schodzą z gór ulubioną ścieżką łani.

Shen Feng wielkimi krokami zbiega ze zbocza. Zhu Bao potykając się, idzie za nim, milczący, przygnębiony ze zmęczenia i rozpacz. Zanim słońce usadowiło się wysoko na niebie, oni są już nad jeziorem w dolinie. Wskakują do wody; grudy ziemi, które mają na ubraniach i we włosach, wirują i odpływają. Nagle pośrodku błotnistej wody Zhu Bao wypręża się na całą swą wysokość.

- Shen Feng! Shen Feng! - krzyczy, zapominając o zmyciu błota z twarzy. - Ile czasu potrzebujesz na zrobienie cytry?

- Dwa lata na przygotowanie drewna i sześć miesięcy na modelowanie. Dlaczego pytasz?

- Zapomnij o moim pytaniu! Łajdaku, ale mnie wykiwałeś!

Zhu Bao wielkimi krokami wychodzi z jeziora. Bez jednego słowa, nie oglądając się za siebie, wkłada buty z cholewami, rusza biegiem i znika w lesie.

Słońce wygląda przez kwadrat nieba obrysowany drzewami i rzuca grad strzał na jezioro. Shen Feng znajduje się pośrodku błękitnych i żółtych płomieni.

Trzy

## ***Rok 401, Wschodnia Dynastia Jin***

Wojsko stacjonowało nad rzeką. Kobiety rozpały ognisko. W dużym garnku gotuje się zupa zbożowa. Starzy żołnierze i ranni siedzą z kobietami i je zaczepiają. Mocno trzymając dziecko w ramionach, Młoda Matka oddala się od tłumu i idzie w stronę rzeki.

Słońce jak z czerwonej laki schodzi na zachód. Ptaki pikują w fale, potem wzbijają się do nieba, gdzie tworzą chmary czarnych plam w połowie wysokości stromego brzegu. Uczępione górskich zboczy wioski powoli znikają w czerwieniejącej mgle.

Młoda Matka kładzie się na trawie i rozpina tunikę. Dziecko chwyta pierś. To mała dziewczynka, z rysów twarzy podobna do ojca. Po urodzeniu była skurczona i pomarszczona jak staruszka. Młoda Matka myślała, że jest wcieleniem boga, który zszedł na ziemię, by zapowiedzieć karę. Jednak od pewnego czasu czaszka dziecka zaczęła się zaokrąglać, skóra stała się gładka, oczy błyszczą; dziewczynka podobna jest do małego kotka. Przywykła do wojskowego marszu, rzadko płacze, nie marszczy brwi, kiedy grzmią bębny i świszczą strzały.

Dziewczynka nosi nazwisko swojego ojca, Liu. Młoda Matka nie nadała jej jeszcze imienia. W kręgach Wysokich Progów nie wybiera się imienia dla dziecka. Wszystkie imiona, posegregowane według pokoleń, zostały już wyznaczone przez odległych przodków i zapisane w księdze każdej rodziny. Dlatego też,

kiedy Wysokie Progi się spotykają, rozpoznają boczne linie i pokrewieństwa, witają się ukłonami przypisanymi ich pozycji. Nie znając rodowej księgi męża, Młoda Matka nie może przecież wybrać na chybił trafił imienia dla swojej córeczki.

Chociaż pierś jest mała i płaska, niemowlę chwyta ją i ssie żarłocznie, jakby to był napęczniały od soku owoc. Młoda Matka przypatruje się drobnej twarzązeczce dziecka; niepokoi się o przyszły, niewesoły los dziewczynki. Małżonek nie jest szlachetnie urodzony, tak więc z mocy prawa dziedziczenia jego córka jest plebejuską. Nigdy nie będzie miała wysoko urodzonego męża i nigdy nie założy jedwabnej sukni.

Niemowlę trzyma się jej jak mały pajęczek, otacza ją delikatną pachnącą pajęczynką. Dziewczynka przestała ssać, teraz otwiera bezzębne usteczka, na których są jeszcze krople mleka. Młoda Matka trzyma ją za ramionka i bawi się z nią, klepiąc po plecach. „Wymieszać mleko” to metoda podpatrzona u innych matek, które uważają, że najedzone dziecko nie powinno od razu zasypiać.

Młoda Matka pieści ją i mówi do niej. Dziecko ożywia się, ciągnie ją za włosy, gryzie w policzek, tupie na brzuchu, potyka się na udzie. Matka nazywa ją różnymi imionami, jakie tylko przyjdą jej do głowy: wróbelek, świerszczyk, wężyk, muszka, komarzątko. Bo tak jak te wszystkie psotne stworzonka, córeczka gniecie jej suknię, burzy kok, plami śliną ramię, rozmazuje ją na twarzy.

Tunika Młodej Matki zsuwa się z ramienia, odsłaniając wychudzoną rękę i sterczące żebra. Nad rzeką Jangcy krąży śmierć, wkraczając nieraz pomiędzy żywych. Sadowi się w ich ciałach, które jeszcze oddychają, przypomina, że życie jest zdradzieckie.

Matka jeszcze mocniej przytula dziecko do siebie.

Kampania wojskowa trwa w nieskończoność. W każdej chwili matka i córka mogą zostać zabite albo paść ofiarą epi-

demii, które się szerzą w regionach wyniszczonych przez wojnę. Zaopatrzenie w żywność jest często wstrzymywane. Młoda Matka w ciągu dnia je tylko zupeł zbożową. Wypadają jej włosy. Paznokcie pękają. Skóra staje się sucha. Kończy jej się pokarm. Mleko jest jedynym dostępnym pożywieniem. Mleko jest jedynym dobrem, jakie posiada.

Nie nadaje imienia córce, bo każdego dnia bóg Piekieł zabiera życie tym, których nazwisko i imię pokazuje się w Księdze Zmarłych. Kiedy demony przychodzą do ludzi, aby zgasić ich vitalne tchnienie i porwać ich dusze, zostawiają w spokoju tych, którzy nie figurują jeszcze w Księdze. Bez imienia córeczka nie istnieje. Jest jakby martwa. Pozostaje w cieniu ludzi, którzy noszą to samo nazwisko. Dlatego nie boi się strzał ani wojowników, dlatego uśmiecha się do płomieni, do zwłok, do chorych porzuconych na drodze, gdzie mają powoli sparszywieć.

Dziecko zasypia. Młoda Matka wzdycha. Kładzie się w trawie, zwracając twarz ku rzece. Kilka miesięcy wcześniej nie mogłaby usiąść ani w tak okropnym miejscu, ani na ziemi, bo od razu pokryłaby się krostami. A teraz, ubrana w podarte i poplamione krwią ubranie, leży tuż obok odchodów. Może jeść brudnymi rękami, nieprzyjemny zapach gorzkiej wody nie wywołuje u niej torsji. Od starych żołnierzy nauczyła się zbierać dzikie owoce, rozkopywać ziemię palcami w poszukiwaniu jadalnych korzeni. Aby jej córka przeżyła, ona sama stała się dzikim zwierzęciem.

Z policzkiem przy ziemi, zdruzgotana ze zmęczenia, Młoda Matka drzemie. Poprzez smukłe pędy dzikich traw widać lśniące wody rzeki. Leci ku niej czarny motyl.

- Zatańcz dla mnie - szepcze do niego.

Motyl trzepocze skrzydełkami i porusza czułkami.

Lekki wiatr głaszcze ją po twarzy. Słychać melodię graną na cytrze. Czy to dusza jej ojca przybywa do niej w odwiedzinach?



Prostuje nogi, stopy sięgają do rzeki. Jest martwa! Martwa stała się ziemią wymytą przez deszcz, wyszorowaną wiatrem, porośniętą falującymi trawami. Nie odczuwa już ani żalu, ani strachu. Jest szczęśliwa jak motyl, który żyje tak długo, ile trwa najpiękniejsza pora roku.

Unosi powieki. W oddali, na wodzie rozchodzą się ciemne wstęgi. Podnosi się, wsparta na ręce. Wtedy dostrzega statki płynące od strony górnego odcinka rzeki; zbliżają się, przepływają przed nią. Bez zbroi ani przyłbic, żołnierze i oficerowie o rozwianych włosach, opatuleni brudnymi tunikami, stoją zgromadzeni na rufie. Dokąd płyną? Do jakiej armii należą? Ukazuje się wielki pięciomasztowy statek. Młoda Matka chwyta dziecko, zrywa się i ucieka w stronę obozowiska.

Wokół ogniska starzy żołnierze ustawiają się przed kobietami i unoszą łuki ze strzałami na cięciwie. Statek zarzuca kotwicę. Schodzą z niego mężczyźni, stają w szyku na brzegu i rozpościerają chorągiew na wietrze, wołając chórem:

- Komendant Liu! Komendant Liu rozkazuje wam opuścić broń!

Starzy żołnierze rozpoznają napis „Liu” wyhaftowany pośrodku chorągwi, więc opuszczają broń. Jedna z kobiet odwraca się do Młodej Matki.

- Winszuję ci! Twój mąż wrócił!

Nie może uwierzyć własnym uszom. Kiedy mąż ją opuścił, był tylko kapitanem. Myślała, że zginął, a on został komendantem. Straciła już nadzieję na spotkanie, dlatego to niespodziewane pojawienie się ją obezwładnia. Kiedy wychodzi z odrętwienia i szuka w obozowisku lusterka, aby się uczesać, on staje przed nią i olśniewa wspaniałością swojej zbroi.

Przeszywające spojrzenie spod przyłbicy wprawia ją w zażenowanie. Wstydząc się swego nędznego wyglądu, kładzie dłonie na potarganych włosach i opuszcza głowę. Chciałaby zapaść się pod ziemię.

On chce podejść bliżej, ona się cofa. On wrywa jej dziecko. Podrzucona w górę dziewczynka wybucha śmiechem.

- Idziemy stąd! - rozkazuje.

- Chwileczkę.

Młoda Matka biegnie do swego powozu, bierze tobołek, z którego spada długi sznur. Podnosi go. Sznur ma siedem węzłów. Siedmiokrotnie już księżyc był w pełni, a ona nie otrzymała żadnej wiadomości.

Rozlega się donośny głos małżonka:

- Zostaw te rzeczy. Chodź.

Ona ociera łzy. W tobołku są skrawki tkanin, które zbierała, by kobiety uszyły płaszczyk dla córeczki. Sznurka używa jako paska z myślą, że któregoś dnia posłuży jej za stryczek do zawiśnięcia na drzewie.

- Zostaw wszystko. Pospiesz się. Natychmiast odpływamy.

Nie ma odwagi sprzeciwić się mężowi, zostawia więc bagaż i posłusznie idzie za nim.

On sunie przodem wielkimi krokami; ona za nim drobi kroczyki. Żołnierze rozstępują się przed nimi. On wchodzi na statek. Prowadzi ją do przestronnej kabiny i mówi, żeby się odprężyła. Ona staje do niego tyłem, rozpina tunikę i daje pierś dziecku. Kiedy się odwraca, jego już nie ma.

Dzień ciemnieje; srebrzyste refleksy fal muskają ścianę, tworząc ruchomą kaligrafię. Żołnierze przychodzą zapalić lampy olejowe, przynoszą jedzenie. Potrawy są skromne, ale wydają się jej przepyszne, bo od dawna nie miała w ustach prawdziwego posiłku. Mocno przytula córeczkę, pieści ją. Ma tak skurczony żołądek, że z trudem udaje jej się przełykać. Po kolacji prosi o balię do kąpieli. Przynoszą też gliniany dzban pełen ciepłej wody i chochlę. Dają tunikę o męskim kroju, z garderoby męża.

Dziwi ją czystość ubrania, wdycha zapach swojego mężczyzny. Leży na macie i zasypia w oczekiwaniu na niego. On wraca

późno w nocy, budzi ją odgłos jego kroków. Kładzie dziecko na posłaniu i pospiesznie wstaje. Chce rozpuścić kok i pomóc mu się rozebrać. On ją powstrzymuje, daje niewielkie lusterko z brązu i przysuwa lampę olejową. Ona ze wstydem patrzy na swoje odbicie. Oczy wydają się przesadnie duże na twarzy, w której widać tylko zapadnięte policzki i spiczastą drobną brodę. Na czole blizna: któregoś dnia, biegnąc do powozu, potknęła się i głową uderzyła o kamień. Z tyłu, za nią, cień małżonka staje się coraz większy. Unosi ręce i wsuwa jej we włosy złotego feniksa o skrzydłach lśniących od białych pereł.

Nie chce się rozebrać z obawy, że mąż ujrzy jej wychudłe ciało. Nie chce, by ją pieścił, żeby tylko nie odkrył kościstych boków, chudych bioder. On nie nalega, kładzie się obok niej, opiera głowę w zgięciu jej ramienia. Jego umięśniona noga, leżąca na jej wątłych nóżkach, nie pozwala się poruszyć. Śpi snem głębokim, a ona ma wrażenie, że w jego oddechu słyszy świst strzał.

Ona leży z otwartymi oczami. Jest prawie zadowolona. Obecność małżonka przepędziła czającą się w niej śmierć. Przytulając ją, przekazuje jej część pewności siebie i siły wojownika, który posługuje się śmiercią jak bronią. Młoda Matka myśli o swojej rodzinie, o której nie ma żadnych wieści, i o mężczyźnie, który kiedyś był jej narzeczoną. Wydaje jej się, że zostali na nabrzeżu. Kiedy statek jej życia oddala się od stałej ziemi i wypływa na szerokie wody rzeki, ich postaci zmniejszają się i znikają.

Rozgwar żołnierzy przeszywa ciszę nocy. Podnoszą kotwicę i stawiają żagle. Wkrótce kajuta wypełnia się szumem fal. Dokąd zmierza statek? Dokąd płyną? Po każdym ich kolejnym spotkaniu mąż zabiera ją gdzie indziej, zawsze dalej, niż ona sobie wyobraża. Dlaczego ona? Dlaczego los chce, aby byli związani ze sobą? Dlaczego przy nim nie odczuwa już smutku, chociaż to on pogrążył jej życie w smutku? Mąż coś mruczy

i odwraca się. Przykładając nieśmiało policzek do jego pleców, słyszy bicie serca. Jedną ręką szuka dziecka, znajduje je obok poduszki. Nareszcie przychodzi sen. Modli się, by nie nastąpił dzień. Przytulona do męża, trzyma za rączkę córkę i śni o niekończącej się podróży statkiem. Unoszą się, bujają, kołyszą na rzece Jangcy, daleko od zaplugawionych brzegów.

Noc zarzuca czarny woal na okropieństwa.

Noc skrywa rany i wściekłość.

Noc jest schronieniem dla niewinnych.

Żagle opuszczone. Statek zarzuca kotwicę. Idąc za mężem, Młoda Matka wysiada z dzieckiem na rękę. Na brzegu wita ich stojące w szeregu wojsko. Małżonek wskakuje na karego konia, paradnie przystrojonego. Młodą Matkę prowadzą w stronę karety udekorowanej białymi proporcami z napisem „Liu”, wyhaftowanym szkarłatnymi literami. Jej mąż ostrogą uderza konia, który rusza galopem. Eskortowana przez jeźdźców konnych kareta wjeżdża na wyboistą drogę.

Po wielu godzinach wstrząsów i nagłych hamowań Młoda Matka słyszy rozkazujący głos małżonka:

- Podnieś zasłonę.

Siedząc na koniu, Liu szpicrutą wskazuje roztaczający się widok.

- Należy do ciebie. Pilnuj go za mnie.

Młoda Matka wystawia głowę i widzi zrujnowane miasto. Wysokie mury obronne mają wyłomy, tak jakby ziemia się zatrzęsła i gwałtowna nawałnica spadła na ten kraj. Nad główną bramą, naprędce odnowioną, wisi nowiutka tablica z czarnego lakowanego drewna. Na niej złociste wypukłe litery: „Jing Ko, Brama Rzeki”.

- Od czasów Trzech Królestw miasto Jing Ko uchodzi za nie do zdobycia - mówi małżonek. - Schowane za wysokimi murami nie chciało przystąpić do walki, krnąbrny gubernator

zamierzał przedłużyć oblężenie, które miało mnie wyczerpać. Po otoczeniu ich kazałem zbudować zaporę na rzece Jangcy. Poczekalem na porę deszczową i otworzyłem śluzę. Gigantyczna fala powylały wszystkie bramy dla moich żołnierzy, którzy wpłynęli tam okrętem.

Ulice miasta przedstawiają obraz nędzy i rozpacz. Pośród drewnianego rumowiska wzniesiono namioty, a nieliczne już domy stoją na słupach zarośniętych grzybem i błotem. Ulice się zwężają, stają się długim, niedawno wybrukowanym zaułkiem. Tłumek robotników z nagimi torsami przenosi skalne bloki, wali w ziemię małymi młotami. Żołnierze smagają ich pejcami. Robotnicy natychmiast się rozstępują przed małżonkami i padają na kolana. Pochylając się twarzą do ziemi, wystawiają w stronę Młodej Matki swe wychudłe, ogorzałe plecy z wystającymi kośćmi kręgosłupów.

Przed orszakiem wyrasta okazała brama. Na drewnianej pokrytej laką tablicy figuruje napis: „Rezydencja gubernatora”. Witający ich żołnierze są tak samo wychudzeni jak robotnicy. Prowadzą Młodą Matkę na tyły rozległej posiadłości, gdzie zdewastowane ogrody otaczają na wprost zrujnowane pawilony.

- Dzięki wyjątkowemu położeniu Jing Ko kontroluje całą żeglugę na rzece Jangcy - wyjaśnia małżonek, który za nią przyszedł. - Sun Quan\* swego czasu ufortyfikował miasto, co pozwoliło odeprzeć najazd generała Cao Cao i jego sprzymierzeńców z Północy. Bez tego miasta nie mógłby założyć dynastii Wu.

Po raz pierwszy dostrzega, że jej mąż nie jest zwykłym wojakowym. Ma ambicje, jakiś tajemny cel. Opuszcza więc głowę i nie ma odwagi wypowiedzieć jakiegokolwiek komentarza.

- Tutaj zaczyna się moja wojna! - mówi Liu, tupiąc nogą.

\* Sun Quan (182-252) został pierwszym cesarzem z dynastii Wu na początku okresu Trzech Królestw.

Odpywa po zapadnięciu zmroku. Ona nie ma odwagi spytać, dokąd się udaje. Z córeczką przy piersi urządza się w ruinach. Powódź zalała pola i zniszczyła spichlerze, przynosząc głód i epidemie. Przyszyczona do spania pod gołym niebem i do niedojadania, Młoda Matka nie skarży się na prymitywne warunki niegodne jej pozycji. Żołnierze zaczęli odbudowywać rezydencję. Pawilon został rozebrany, odsłoniło się tajemne wejście, które prowadzi do podziemnego labiryntu usłanego zwłokami kobiet. Konkubiny z dawnych czasów schroniły się tutaj, by uniknąć masakry. Uroda jest przebiegłością i inteligencją. Przez Jing Ko przetoczyło się tyle wojen, tylu gubernatorów miało tutaj rezydencje, że nie wiadomo, do jakiej epoki i do jakich mężczyzn te kobiety należały.

Młoda Matka zrywa się ze snu w środku nocy. Do uszu dochodzą przywiane przez wiatr zawodzenia. Po omacku szuka tłuściutkiej nóżki dziecka. Potrząsa nią tak długo, aż córeczka zaczyna płakać. Krzyk dziecka ją uspokaja. Obie są przy życiu.

Tej jesieni Młoda Matka sama obchodziła swoje siedemnaste urodziny.

Znowu ma dach nad głową i mur chroniący przed spojrzeciami. Jej pokój jest wyłożony matą podbitą grubym włosiem. Młoda Matka kładzie się w jedwabnej pościeli i zadowolona zasypia. We śnie przeżywa swe dawne czasy. Przygotowywano się do wielkiego przyjęcia urodzinowego pewnej cioci babci. Na tę okazję ciotki, wujowie i kuzyni stroili się jak na turniej elegancji. Dobry gust wyraża się w noszeniu gładkich tunik, nałożonych jedna na drugą, i doborze barwy o delikatnych odcieniach. Styl przejawia się w rzadkich klejnotach, których wzory i barwy podkreślają oryginalność fryzury. Finezja mierzy się przyjemną wonią, jaką roztaczają długie rękawy. Członkowie jej klanu zbierali wonne zioła, balsamiczne drzewa, piżmo i inne substancje aromatyczne. Piękno musi być odbierane przez pięć

zmysłów. Tak jak mędrcy cyzelują poezję, jej wysoko urodzeni krewni rozcierali, ugniatali, destylowali, aby sporządzić żywicę o ulatniającym się zapachu. Położona na srebrnej płytce, która lekko grzała się od rozżarzonego węgla z drzewa sandałowego, aromatyczna żywica wypalała się w spirale, wzlatające poprzez kratkę kadzielnicy. Cztery służące trzymały rozciągniętą, wywróconą na lewą stronę tunikę i przesuwały ją w dymie tak długo, aż podszewka przesiąknęła zapachem żywicy.

Goście o twarzach upudrowanych na biało i ustach pomalowanych na karminowo przychodzili z prezentami i życzeniami długiego życia. Unosząc się na wysokich koturnach sandałów, dzwonili kółkami z jadeitu przyczepionymi do jedwabnego paska. W rękę trzymali wachlarze z piór rzadkich ptaków albo miotełki z uchwytem z jadeitu. Nad stawem, w zdobionej sali recepcyjnej, mężczyźni rozmawiali o metafizyce żywiołów; w pawilonie na piętrze kobiety słuchały operetki i podziwiały światło księżyca. Każdy gość kaligrafował jeden wers na bambusowej tabliczce, zaimprovizowane strofy rymowały się, łączyły i tworzyły jeden okolicznościowy poemat... Po obudzeniu wzrok Młodej Matki znowu pada na ogromny plac budowy, gdzie wzlataje kurz i rozlega się huk młotów i kilofów.

Cesarska armia zmusiła do odwrotu taoistycznych buntowników. Na rzece Jangcy jej mąż aż po Ocean Wschodni ścigał Sun Ena, przywódcę, nawiedzonego guru. Osaczony na wyspie, gdy utracił już wszystkich wyznawców, Sun En zabił się, skacząc z wysokiego brzegu. Po tym zwycięstwie, oprócz tytułu gubernatora wojskowego, małżonek otrzymał nominację na admirała. W ciągu dwóch lat wojny z buntownikami z pozycji anonimowego podoficera wspiał się wysoko w hierarchii wojskowej i teraz zalicza się do najbardziej wpływowych gubernatorów.

Młoda Matka ukrywa swą dumę i radość. Wojna się skończyła, w nocy nie nawiedzają jej już zmary! Mąż wróci i nie

odjedzie już w zbroi. Będą mieli spokojne życie i dzieci. Otworzą dom dla filozofów, poetów, malarzy i muzyków. Śmiechy, koncerty nie przestaną rozbrzmiewać w ogrodach rezydencji.

Każdego dnia Młoda Matka każe służącej czekać u bram miasta na powrót małżonka. Wybaczy mu, że przed posiłkami nie myje rąk ani nie płucze ust! Zapomni o jego prostackim sposobie siadania, o jego głośniejszej mowie, jaką kiedyś słyszała tylko z ust kucharzy! Nie będzie odczuwać wstydu na myśl, że on nie umie przeczytać dawnego tekstu i że robi błędy ortograficzne!

Dzięki modłom wznoszonym do Buddy małżonek powrócił, a wraz z nim tłum doradców i oficerów. Mimo nowej rangi, która pozwala mu ubierać się w brokaty i jedwabie, admirał Liu ciągle nosi swój stary bawełniany przydzwiek i skórzane zniszczone buciory. Dalej mówi do żołnierzy tak, jakby zwracał się do braci. Mężczyzna bez manier, przygniata żonę w łóżu. Ona rumieni się na myśl, że odtąd są już jednym pnem, jednym życiem. On powtarza, że tym razem musi mieć syna.

Pewnego ranka po obudzeniu widzi, że mąż poprosił o przyniesienie zbroi i ubiera się do wyjazdu. Zapominając o swej nieśmiałości, zatrzymuje go:

- Zostań. Potrzebujesz odpoczynku. Wojna się skończyła!
- Niedługo wrócę - obiecuje. - Wojna się nie skończyła. Nie wszyscy wyznawcy Sun Ena zostali pokonani. Rozpowszechniają pogłoski, że ich mistrz stał się Nieśmiertelny. W jego boskim imieniu dalej nas szarpia.

Młoda Matka nie ma odwagi nalegać, milknie i odprowadza go, czeka, aż wskoczy na konia, po czym żegna go, składając głęboki ukłon. On chwytając cugle i odjeżdża ze swoją chorągwią i gwardią, nie spojrzawszy w jej stronę.

Pokoje i korytarze znowu są puste! Haftowane pantofle z zadartymi noskami lekko suną po podłodze; Młoda Matka błąka się po rezydencji, która znowu pogrążyła się w ciszy. Cienkimi



palcami bierze filiżankę herbaty i unosi ją do ust. Wącha aromat, wypija łyk i wypluwa do małej spluwaczki. Wyciąga rękę po drugą filiżankę. Pierwsza herbatka, napar z liści, służy do wypłukania zębów i przygotowania podniebienia; druga, roztarta na proszek i zmieszana z palonymi migdałami, jest do picia. Pod nieobecność małżonka zasłony falują ospale; opary żywicy krążą w powietrzu, lecz nigdy nie sięgają wysokiego sufitu.

Chwasty zostały wyrwane, zaczynają rosnać kwiaty. Bambusy, niedawno zasadzone, wyciągają się wysoko ku niebu. Młoda Matka siada na werandzie i próbuje grać na cytrze, którą niedawno kupiła. Złociste promienie skaczą po jedwabnych strunach, wślizgują się między palce.

Rozbrzmiewają głębokie tony, powracają ponure dni: wywieziona przez wojowników, mocno przyciska do siebie cytrę pani Cai Yan, ma bowiem wrażenie, że instrument ją chroni, wiodąc jednocześnie ku tragicznemu przeznaczeniu, takiemu jakie spotkało dawną właścicielkę... Jej brzuch powiększał się i stopniowo zajmował miejsce cytry trzymanej w ramionach. W nocy, gdy zaczęła rodzić, armia wpadła w pułapkę zastawioną przez buntowników; rodzącą umieszczono w bezpiecznym schronieniu, w oborze. Nazajutrz, po bitwie, nie zastała już ani wozu, ani żołnierza, który jej towarzyszył.

Cytra, która wiele razy była wydarta wojnie, w końcu została porwana przez wojnę. Młoda Matka ma wrażenie, że córka jest jej wcieleniem.

Tak jak ludzie, przedmioty też mają jakieś życie, jakąś drogę, myśli. Niektóre w cudowny sposób unikają zagłady, pokonują meandry przypadku i powracają do świata żywych; inne ulegają unicestwieniu i znikają bez śladu. Wojna pochłonęła jej dzieciństwo, jej przeszłość. W zamian dała męczyznę i dziecko.

## *Rok 403*

Przyjechały bryły skalne wyłowione z dna Jeziora Wiecznego. Stojąc na werandzie, za lekką przezroczystą zasłoną, Młoda Matka kieruje robotnikami, którzy muszą je rozmieścić wokół stawu, zgodnie z jej rysunkiem. Powstaje miniaturowa góra. Po odpowiednim ustawieniu nierównych krawędzi skał tworzy się grotta i przejście pozwalające dotrzeć na szczyt.

- Pan Liu jest w mieście!

Służba biegnie na przywitanie pana. Młoda Matka wpada w popłoch. Nie spodziewała się tak szybkiego powrotu. W pośpiechu poprawia kok przed lustrem i przylepia jedwabny żółty kwiatek\* na górnej części policzka. On już przyszedł, stoi pośrodku zwałów ziemi i gruzu, ze zmarszczonymi brwiami, zaciętym wyrazem twarzy. Żona pochyla się w głębokim ukłonie, z mocnym biciem serca. Boi się, czy mąż nie zbeszta jej za taki bałagan.

Unosi głowę, bada jego wyraz twarzy i chce przedstawić mu swoje wyjaśnienia. Niewrażliwy na jej policzki, szkarłatne z zakłopotania, mówi:

- Przygotuj kolację dla jedenastu osób, w twoim pawilonie. Jest jak ogłuszona.

\* Moda tej epoki: kobiety z arystokracji wycinają z jedwabiu maleńkie kwiatki, które przylepiają na policzki lub na czoło.

- Zależy mi na tym, żeby to się odbyło w tajemnicy - dodaje i odchodzi.

Wraca po zmierzchu, wprowadza gości wejściem dla służby. Latarnie słabo oświetlają werandę, widać chwiejne cienie, pawilon się ożywia. Zza rozsuwanych drzwi Młoda Matka czuwa nad służącymi, które roznoszą wino i jedzenie.

Po wymianie grzeczności zaczyna się rozmowa. Słyszy głos męża:

- Wykorzystując nieobecność generałów zajętych ściganiem taoistycznych buntowników, gubernator Heng Xuan przeprowadził zamach stanu i uwięził cesarza Jina. W imieniu cesarza wezwał mnie do stolicy. Co o tym myślicie? Mam tam jechać?

Natychmiast rozlega się głos:

- Gubernator Heng Xuan dąży do zdobycia tronu cesarskiego. Potrzebuje poparcia gubernatorów. Admirał Liu pokroił bunt z taktem i determinacją. Na wszystkich liniach frontu wzdłuż rzeki Jangcy jego zwycięstwa były decydujące. Heng Xuan nie lekceważy autorytetu admirała. Nie chce mieć pana przeciwko sobie, zaprasza więc, by wy badać pańskie zamiary. Powinien pan wygzekwować od niego terytorium i wysokie stanowisko na Dworze.

Ktoś replikuje:

- Admirał Liu nie może być wytykany palcem przez potomność! Nie może zdradzić cesarza Jina, nie może przysięgać wierności uzurpatorowi.

Inny głos ironizuje:

- Heng Xuan chce ogłosić się cesarzem i założyć nową dynastię, która będzie nosiła jego imię. Nikt nie wątpi w jego intencje. Uważa admirała Liu raczej za rywala niż za sprzymierzeńca. Moim zdaniem zaprasza admirała do stolicy Jian Kang, aby zastawić na niego pułapkę. Zniewolił cesarza, więc może teraz bez przeszkód wydać dekret i zatrzymać admirała, gdy ten stawi się na audiencji.

Teraz grzmi jakiś młodszy głos:

- Żeby weliminować swoich rywali, Heng Xuan może wezwać ich na Dwór, zaprosić na przyjęcie i podać zatrute wino! Heng Xuan jest żmija i ta żmija okradła ze zwycięstwa wszystkich gubernatorów, którzy pokonali buntowników. Admirał Liu musi wypowiedzieć mu wojnę. Gubernatorzy zrobią to samo!

Ta opinia poparta jest aprobatą starszego mężczyzny:

- Od czasu wielkiego najazdu Barbarzyńców dynastie chińskie podupadają, a kolejni cesarzowie nie wywiązują się z niebiańskiego mandatu. Przed Heng Xuanem inni gubernatorzy także walczyli o najwyższe przywództwo i wszyscy mieli ambicję, by zapoczątkować dynastię. Admirał Liu ma postawę Tygrysa, a sposób postrzegania Smoka. Jego myśli i czyny wyróżniają go spośród zwykłych funkcjonariuszy państwowych. Nie powinien być wiernopoddańczy...

W tej chwili jej mąż zabiera głos i spiesznie zamyka dyskusję:

- Gubernator Heng Xuan marzy o odzyskaniu Północy i ponownym zjednoczeniu Chin. Potrzebuje mnie, aby zrealizować ten niełatwy cel. Zabije mnie dopiero wtedy, gdy przepędzę Barbarzyńców i odzyskam Równinę Środka, matecznik naszych przodków. A na razie mam jeszcze przed sobą trochę czasu.

Ktoś z zebranych protestuje:

- Heng Xuan jest przebiegły i podstępny. Dzisiaj potrzebuje admirała po to, by dać nauczkę gubernatorom, którzy nie uznają jego rządów. Jutro, gdy już uchwyci władzę mocną ręką, wyeliminuje pana admirała. Podbój Północy jest obietnicą, którą się posługuje, by zdobyć sojusze na Południu.

- Admirał Liu powinien wnieść swoją własną chorągiew i ogłosić się niezależnym...!

Małżonek znowu przerwał, podnosząc głos:

- Panowie, wino orzeźwia. Pijcie!

Młoda Matka słyszy, jak mężczyźni łapczywie opróżniają czarki. Małżonek mówi dalej:

- Wojownicy, pijmy jeszcze! Niech to wino na zawsze przypieczętuje nasze braterstwo! Moja żona od swego ojca przejęła sztukę grania na cytrze. Poproszę ją, by swą muzyką towarzyszyła naszej wypitce...

Małżonka, która tańczy i wykonuje muzykę podczas przyjęcia, to rzadki honor czyniony przez gospodarza dla gości. Jednak Młoda Matka jest zbyt nieśmiała i za bardzo wzburzona, żeby zechciała się pokazać. Dlaczego jej mąż przerwał dyskusję? Dlaczego chce użyć muzyki, by narzucić milczenie? Nie rozumie ambicji mężczyzn i ich wściekłego pędu do wywoływania wojny. W gronie tych brutalnych wojowników, którzy rozmawiają o zdradzie i spiskach, ilu jest takich, którzy potrafią docenić wysublimowane dźwięki cytry? Niewrażliwy na jej humory małżonek nalega, potem usilnie prosi. Aby z jej powodu nie stracił twarzy, w końcu zgadza się zagrać jeden utwór.

Idzie do swego pokoju, zdejmuje haftowaną suknię i nakłada czarną tunikę. Zapala kadzidła, myje ręce, zamyka oczy i modli się. Na jej prośbę służące ustawiły na werandzie parawan z cienkiej tkaniny; Młoda Matka kryje się za nim, by mężczyźni nie mogli jej widzieć. Na jej skinienie głową służące rozsuwają drzwi, a ona ukłonem wita gości.

Wiatr porusza trenem tuniki. Młoda Matka naciąga struny cytry, postanawia zagrać wojownikom Balladę Świętego Grobu. Wskazujący palec lewej ręki przyciska dwie wyższe struny; prawa ręka muska siedem strun, wydobywając dźwięk z każdej po kolei. Płyną nuty...

W młodości poeta Ji Kang\* studiował fenomen pełni i próżni, zgłębiał tajemnicę drogi kosmicznej poprzez subtelną grę

\* Ji Kang (223-262) był poetą, filozofem i muzykiem.

na cytrze. Podróżował po całych Chinach, odwiedzał wszystkie świątynie taoistyczne. W górach Niebiański Taras, na wybrzeżu Oceanu Wschodniego, odbył pielgrzymkę na szczyt, na którym taoistyczny eremita, zwany Ten-który-żyje-na-górze-nad-rzeką, odnalazł Drogę i spotkał niebiańskich Nieśmiertelnych. Dom mistrza stał obok grobowca dawnej kapłanki, tak więc rezydencję żywego i zmarłej łączył jeden dach. W ten sposób taoistyczny mistrz pozostawia późniejszym pokoleniom przesłanie, znak, że życie i śmierć dzieli od siebie jedynie ściana.

Kiedy zapadła noc i ukazał się księżyc, miriady srebrzystych rozbłysków wynurzały się z oceanu, rozświetlając oddalone wysepki. Słysząc było melodię graną na cytrze. Idąc za dźwiękami muzyki, Ji Kang podążył w stronę piaszczystego brzegu i znalazł tam szalę z gałęzi. Powstrzymując oddech, nasłuchiwał przy wejściu. Muzyka ucichła, pojawiła się kobieta. Zaprosiła go do środka, zaproponowała herbatę. Powiedziała, że była kapłanką w górach. Chociaż żywy i martwy nie idą tą samą drogą, miał wrażenie, że spotyka przyjaciółkę, kochankę. Uspokajani przez plusk fal rozmawiali o prawach boskich, o ziemskich wartościach, o tajemnicy reinkarnacji, o rymach w poezji, rytmach w muzyce, technikach w malarstwie i grze w go. Świt rozjaśniał okna, zapowiadając, że noc dobiega kresu, a słońce zaraz wychylić z oceanu. Nie wiedzieli, czy żywy i zmarła jeszcze się spotkają, płakali rzewnymi łzami, nie mogli się rozstać.

„Tak bardzo lubisz cytrę, powiedziała kapłanka, nauczę cię więc Ballady Świętego Grobu, melodii pochodzącej z wyższej sfery, tam, gdzie zamieszkują bogowie. Proszę, nie dziel się nią ze zwykłymi ludźmi”.

Koniuszkiem wskazującego palca lewej ręki Młoda Matka muska struny, jednocześnie szarpie je palcem wskazującym i kciukiem ręki prawej. Ciągłe jeszcze słysząc echo burzliwych

fal, a już płyną krystaliczne dźwięki, które przypominają młode ptaki trzepoczące skrzydełkami.

„Ojciec Nie Zhenga\* był najsłynniejszym wytwórcą mieczy w królestwie Han, mówiła kapłanka. Król Han uważał, że ta broń jest niebezpieczna, kazał więc go uwięzić i stracić przez ścięcie pod pretekstem, że jego zamówienie zostało zbyt późno dostarczone. Rozwścieczony Nie Zhang postanowił ojca pomścić. Przez siedem lat ukrywał się w górach, ucząc się od nieśmiertelnej kapłanki gry na cytrze i sztuki\* zabijania. Żuł trujące zioła, żeby przyciemnić sobie skórę i zmienić głos. Kiedy wrócił do stolicy dynastii Han, zaszedł do swego dawnego domu. W drzwiach stanęła jego małżonka i widząc go, rozpłakała się. Powiedziała: «Kobieto, dlaczego płaczesz?». A ona odpowiedziała: «Pański uśmiech przypomni mi mojego męża, który zniknął przed siedmioma laty». On na to: «Czyżby mój uśmiech był tak piękny, że wszystkim kobietom przypomina męża?». Odszedł i połamał sobie zęby, żeby zniszczyć uśmiech, który go zdradzał. W przebraniu wędrownego muzykanta grał na cytrze przed bramą Zakazanego Miasta. Jego cudowna muzyka przyciągała tłumy przechodniów, wśród których byli też pałacowi służący. Zaintrygowany jego talentem król wezwał go na Dwór i kazał grać przed publicznością. Jego Ballada Świętego Grobu zauroczyła zebranych. Wykorzystując nieuwagę straży, Nie Zheng wyjął sztylet ukryty w pudle na cytrę, rzucił się na króla i zadał mu morderczy cios. Nie Zheng, zanim się zabił, pokiereszował sobie twarz, by nie dało się go zidentyfikować i poddać torturom jego rodziny. Ciało zostało wystawione pośrodku placu targowego. Zobaczyła je stara kobieta, objęła i zrosiła łzami. Przechodniom zdziwionym, że kobieta ma od-

\* Historia Nie Zhenga miała miejsce w burzliwym okresie panowania dynastii Zhou (476-221 p.n.e.).

wagę upominać się o ciało zabójcy króla, odpowiadała: «Mój syn nazywa się Nie Zheng! Imię bohatera powinno być sławione przez tysiąc przyszłych lat. Jakże bym mogła ukrywać jego tożsamość ze strachu przed utratą życia?»".

Szarpiąc lewą ręką środkową strunę, Młoda Matka przesuwając pięć palców prawej ręki. Huczy grom, błyskawice z trzaskiem spadają na ziemię. Wiatr unosi fale, które zderzają się i rozpryskują. Podwijając kciuk prawej ręki, Młoda Matka przebiega nim siedem strun od wewnętrznej strony ku zewnętrznej, wywołując huk rozwścieczonego oceanu.

„Ludzki świat popada w pomrokę. Rozszaleje się zawierucha i przyjdzie taki czas, gdy księżyc będzie wschodził i zachodził miliony razy", dodała kapłanka, a jej sylwetka coraz bardziej bladła.

Zajaśniały okna, na horyzoncie rozsnął się dzień. Tak jak noc, szłaś zaczął zanikać.

„Życie ziemskie jest pełne męki dla tych, którzy przywiązują się do własności i do stanu samozadowolenia. Ballada świętego grobu jest śpiewem poetów, którzy oderwali się od cierpienia; muzyką herosów, którzy nie boją się śmierci..."

Lewa ręka pociera, ręka prawa uderza. Następuje seria coraz głębszych tonów. Młoda Matka uderza w pudło cytry, naśladować kroki zabójcy rzucającego się na króla. Szarpie struny, wydobywa z nich trzask, jęki. Widzi swego ojca, który cierpliwie uczył ją tej melodii, tak trudnej do zagrania. Gra bezbłędnie, więc wyciąga do niej rękę, a ona rzuca mu się w ramiona. Nagle się cofa i zasłania twarz rękawem. Słysząc jego szept: „Później, córeczko, później..."

Przenika ją gorączka, a jednocześnie lodowaty podmuch ogarnia palce. Prawa ręka zwalnia grę, lewa ręka łagodni nacisk. Dźwięk cytry słabnie, wtapia się w ciszę.



Młoda Matka ociera łzy. Zza przejrzystego parawanu kłania się zebrany i odchodzi do swego pokoju.

Po dłuższym czasie słyszy kroki gości kierujące się w stronę bocznych drzwi. Cichnie gwar pożegnań, Młoda Matka słyszy, że jej mąż wraca w towarzystwie dwóch mężczyzn. Szepczą:

- Dlaczegoż by nie powstać teraz i ogłosić uwolnienie cesarza?

- Trzeba natychmiast się temu przeciwstawić. Kiedy Heng Xuan zostanie panem świata, będzie za późno...

- Porządek Niebiański musi być zachowany - odpowiada małżonek. - Heng Xuan ma cesarza pod swoim nadzorem, ma więc dostęp do cesarskiej pieczęci. Może odtąd ogłaszać edykty cesarskie i narzucać światu swoją wolę. Każdy gubernator, który się sprzeciwi jego rozkazom, będzie wskazywany palcem jako buntownik. Poczekajmy, aż Heng Xuan ogłosi się panem świata, założy własną dynastię: jeżeli z prawowitego służy stanie się nieprawowitym panem, wtedy zwołamy gubernatorów i obalimy go jako uzurpatora... A ja wjadę do stolicy...

- Zdanie admirała jest słuszne i mądre. Pozostajmy w cieniu, siedźmy cicho.

- Admirał nosi to samo nazwisko co cesarzowie z dostojnej dynastii Han. Możemy już teraz rozpowszechnić pogłoski, że pochodzi z tego szacownego rodu.

- Doskonale. Róbcie tak. Przez cały wieczór obserwowałem kapitana Wu i kapitana Wei, na pewno są wtyczkami przysłanyymi przez Heng Xuana, żeby mnie szpiegować. Dlatego wiele razy uciniałem naszą rozmowę. Zlikwiduj ich dziś w nocy. W Jian Kang obaj odwiedzają kurtyzanę Jadeitową Perłę. Rozsiewajcie pogłoski, że się o nią pobili.

Mężczyźni wychodzą. Rozsuwają się drzwi do pokoju. Staje w nich małżonek, z latarnią w ręku. Zamiast rzucić się w jego stronę i pomóc odpiąć żakiet, żona kuli się, siedząc przed to-

aletką. On podchodzi i przypatruje jej się w lustrze. Zdmuchuje świecę, jedną po drugiej. W ciemności bierze ją w ramiona i kładzie na dywan.

Małżonek zwołuje wojowników, aby wy badać ich zamiary i podburzyć do buntu. Zafałszowuje swoje pochodzenie, twierdzi, że jest potomkiem cesarzy. Czyżby żywił kuriozalną ambicję zostania cesarzem i założenia dynastii? Czy wie o tym, że jeśli jego podstęp się nie powiedzie, on i osoby płci męskiej spokrewnione z nim do czwartego stopnia zostaną poddane karze śmierci, a kobiety skazane na niewolnictwo? Kłębią jej się takie myśli, podczas gdy ręce małżonka wędrują do jej brzucha i ściągają suknię. Ona pozostaje bez ruchu. Wystawił na niebezpieczeństwo życie swojej rodziny, nie pytając jej o zdanie. Odnawiana rezydencja, ogrody, które teraz zakłada, stawy, które kopie, są wyłącznie pięknym tłem maskującym potworności. Dynastyczni dostojnicy prowadzą między sobą podstępne boje. Jedna jatka pociąga za sobą następne, zamieszkom nie ma końca. Cóż to za dzika żądza posiadania, panowania, awansu, zasiadania obok cesarza, na miejscu cesarza? Skąd to pragnienie bycia najsilniejszym, najlepszym taktykiem, najbardziej okrutnym pośród silnych i okrutnych taktyków? Młoda Matka odsuwa ręce małżonka i odwraca się do niego plecami.

Nieco później mąż wraca, już rozebrany. Obejmuje ją i przywiera do niej swym umięśnionym, naznaczonym bliznami ciałem. Nagle Młoda Matka słyszy płacz córeczki. Ogarnia ją drżenie, odpycha męża, pospiesznie znajduje w ciemności tunikę i rozsuwa drzwi. Służące, które śpią w progu jej pokoju, zrywają się na nogi. Z latarenką w ręku prowadzą ją do dziecięcego pokoju. Drzwi się rozsuwają. W świetle lamp widzi mamkę, która właśnie rozpina sukienkę i daje dziecku pierś.

Młoda Matka cicho zamyka drzwi, wraca do pokoju. Małżonek już śpi. Kładzie się obok niego i tłumi westchnienie. Chwyta ją dwie silne ręce, on zwała się na nią. Policzek przy policzku,

pierś przy piersi, wdziera się pod jej skórę, w jej oddech, wrasta w jej ciało, czerpie z niej swą siłę. Ze łzami w oczach ona znosi tę inwazję i grabież. Ich losy są tak ze sobą splecione, że nie może się temu opierać. Nieustannie narażając ich życie na niebezpieczeństwo, on nie daje jej czasu ani na nienawiść, ani na odepchnięcie go. Tak jak w inne noce, tak samo tej nocy, być może ostatniej.

Śmierć rozdziela ludzi, lecz myśl o śmierci ich zbliża i zacie-  
ra wszelkie różnice. Ręce jej męża, przyzwyczajone do posługi-  
wania się szablą i łukiem, pokryte są odciskami; ręce Młodej  
Matki, które nigdy nie trzymały ciężkich przedmiotów, są deli-  
katne i drobne. Gdy splatają się ramiona i nogi, ona zapomina  
o tęsknocie za przeszłością, on o swoich ambicjach co do przy-  
szłości. Znika uraza i smutek. Młoda Matka widzi dwa motyle  
goniące się w nocy przy świetle księżyca. Jeden ma skrzydełka  
czerwone w czarne paski, drugi niebieskie okolone białą smuż-  
ką. Stykają się, oddalają od siebie, znowu spotykają. W końcu  
dolatują do rzeki Jangcy i lecą ponad ciemnymi wodospadami.

## ***Rok 404***

Cesarz Jin abdykował, przekazując tron Heng Xuanowi, który założył dynastię Chu. Młoda Matka dowiaduje się, że w stolicy Jian Kang jej mąż złożył pokłony nowemu cesarzowi i poprzysiągł mu wierność.

Po pewnym czasie zaprasza on kuzyna Heng Xuana, mianowanego dowódcą wszystkich wojsk, na polowanie w górach Siła Północy. W rezydencji szykuje się wielkie przyjęcie ze śpiewami i tańcami.

Siedząca za zasłoną z pereł Młoda Matka oczekuje zaproszonych gości. Potrawy i wino czekają na złotej zastawie; tancerki zasypiają na poduszkach, zapada noc. Ani jej mąż, ani ci, których zaprosił, nie przyszli.

Nazajutrz Młoda Matka dowiaduje się, że jej mążzonek dokonał zamachu stanu, przygotowywanego od dawna w tajemnicy: kuzyn Heng Xuana został zabity, jego ludzie wymordowani. Później jej mąż pośpiesznie wyjechał z Jing Ko i dołączył do swojej flotyli. Ze środka rzeki Jangcy wypowiedział wojnę Heng Xuanowi, uzurpatorowi tronu, i wezwał gubernatorów do powstania.

Młoda Matka otwiera kufer, wyjmuje bele jedwabiu, którymi obdarował ją mążzonek. Każe przynieść butelki ze słodzym octem, wędzone gęsi i suszone ryby, specjalności miasta Jing Ko. Wszystko pakuje w ładne pojemniki i wkłada list. Nie

wie, ile czasu pozostało jej do życia, chce więc jeszcze ujrzeć matkę.

Żołnierze zawożą prezenty, lecz po wielu dniach wracają z nietkniętymi pakunkami. Mówią, że Pani Matka odmówiła przyjęcia darów i wyprosiła ich.

W nocy, skulona w swoim pokoju, wylewa gorzkie łzy. Kiedyś ciągle słyszała słowa dziadka: „Wysokie Progi, arystokratyczne klany z Równiny Środka utrzymują stosunki tylko między sobą!”. Ona popełniła mezalians z wojskowym wiejskiego pochodzenia, została więc wykluczona z tamtego świata.

Zaczynają kwitnąć drzewa, które posadziła w poprzednich latach. Skalista góra jest teraz porośnięta pnączami, dalej zaś stoi altanka o sześciokątnym dachu. Wzniesiono też mostki. Na werandzie okrążającej pawilony zaczęły się prace malarskie. Do belek i sufitów Młoda Matka wybrała około stu scen historycznych i niezliczone motywy alegoryczne. Nie lubi wychodzić z domu. Odnawiając pokój za pokojem, z wolna, w zadumie, komponuje swój świat. Piękno jest jej obsesją. Piękno jest jej pocieszeniem.

W ufortyfikowanym mieście, gdzie jej mążzonek rozmieścił kilka garnizonów, za towarzyszy ma tylko żołnierzy, żadnych krewnych. Chociaż posiłki są na razie proste, nie jada już zupy z korzonków czy ze zbożowych łusek. Mąż rozkazał, by codziennie dostarczano jej świeżo złowione w rzece ryby. Tego ranka jednak nie było dostawy. Wyjaśniają, że pozostałe po rzecznej bitwie trupy zatruły wodę.

Młoda Matka oniemiała ze strachu. Budzi się w środku nocy z silnym biciem serca, czołem spływającym potem. Biegnie do pokoju córeczki, budzi ją pomimo protestów niańki. Płacz dziecka ją uspokaja. Nie może potem zasnąć, więc błąka się po ogrodzie pod burzą kwitnących tungowców.

Smugi księżycowego światła przenikają przez gałęzie, oświetlają kobierzec z niebieskich irysów i żółtych piwonii. Na brzegu

stawu jej kroki straszą żaby skaczące w wodzie. Księżyc rozpada się na miriady małych rybek.

Co jej mąż robi w tej chwili? Gdzieś na rzece odpoczywa po dniu bitwy albo wpatruje się w księżyc, rozmyślając o następnych bataliach? Chociaż nigdy jej tego nie mówił, domyśla się, że jego rodzice są chłopami, nie potrafią czytać ani pisać. W jaki sposób chłopski syn może wygrać wojnę z Heng Xuanem, który wywodzi się z książąt, z najznamienitszej szlachty?

Jego ojciec Heng Wen, wielki kanclerz dynastii Jin, poślubił księżniczkę Pokój Południa. Mówią, że najstarsza córka rodziny cesarskiej, ukochane dziecko ojca, księżniczka Pokój Południa uwielbiała sztuki walki, że budziła strach nawet w swych braciach i siostrach. Wybrała sobie na męża Heng Wena, bo był najbardziej przebiegłym i najlepiej umiętnionym generałem w Cesarstwie. Kiedy podbił górzyste królestwo Południowo-Zachodnie, przywiózł jako część wojennej zdobyczy młodszą siostrę króla Li i ukrył ją w rezydencji poza murami miasta. Kiedy księżniczka Pokój Południa dowiedziała się o tym ukrywanym romansie, wzięła szablę, wskoczyła na konia i ruszyła na wieś wraz ze służącymi uzbrojonymi do walki. Unieszkodliwiła żołnierzy strzegących księżniczki Li i kopnięciem wyłamała drzwi pokoju. Księżniczka właśnie cesała się przed lustrem. Długie włosy okalały bładą, delikatną twarz, opadały jej do stóp niczym czarny strumień. Nie odwracając się, uniosła spojrzenie ku lustrzanemu odbiciu rywalki, która wymachiwała szablą.

„Moje królestwo i moja rodzina legły w gruzach, od tego czasu pragnę tylko śmierci. Siostrzo, nie wahaj się. Zabij mnie, proszę”.

Księżniczka Pokój Południa wzruszyła się jej rozpaczą. Odrzuciła szablę i wzięła ją w ramiona.

„Nawet mnie zniewala twoja uroda, a co dopiero Starego Głupca!”

Młoda Matka nie widziała męża od dnia, w którym jej przyjęcie zamieniło się w rzeź. Mówią, że został mianowany głównym komendantem przez gubernatorów, którzy żądają głowy Heng Xuana. Jeśli wygra tę wojnę, kto będzie jego przyszłym wrogiem?

Dni przetaczają się i toczą. Dni przeżyte są jak zamalowane kartki, dni przyszłe są jeszcze dziewicze. Spadają z nieba jak płatki śniegu zmieszane z kwiatkami śliwy i osiadają na otwartych dłoniach Młodej Matki, której życie podobne jest do długiego zwoju malowideł.

Owoce liczi, świeżo zebrane na południowych wzgórzach, przyplływają statkiem i napełniają pawilon swoim zapachem.

Młoda Matka przygotowuje tusz, pigmenty, czystą wodę na spodkach i w buteleczkach. Na stoliku rozkłada jedwabną kartkę, macza pędzelek w tuszu i kładzie pierwsze kreski. Jedno pociągnięcie pędzelka, potem drugie, wyłaniają się fale, tworzą strumienie. Strumienie przedzierają się w stronę nieba i skręcają pod linią brzegu.

Rzeka jest początkiem, dzieciństwem. Omiata ona ziemię, zostawia wielką liczbę jezior. Mur koloru miodu biegnie wokół miasta pociętego kanałami i zazdrośnie otacza stawy pokryte lotosem, mosty w kształcie półksiężyca, wierzby moczące w wodzie swe czupryny, poetów i kurtyzany.

Wystawne uczyty trwają bez końca, lecz podnosi się mgła i na rzece roi się od okrętów. Wojna zbliża się od górnego i od dolnego jej biegu. Deszcz strzał spada na miasto, które wypływa z siebie wojsko. Z tarczami w garści, włóczniami, młotkami i szablami w rękę żołnierze trącają się, mieszają, pozostawiając za sobą ziemię usłaną trupami i połamaną bronią.

Okręty rozmywają się we mgle, znikają. Miasto dusi się w ciszy, wszystkie bramy pozostają otwarte. Po ulicach włóczą się sfory psów. Szarpia zębami uszy trupów leżących we własnej

krwi, rozrywają ramiona kobiet, które rzucały się z pagod, odgryzają palce u nóg ludzi wiszących na drzewach. Wchodzą do pawilonów, z jedwabnej pościeli robią sobie legowisko i rodzą szczeniaki.

Wojna jest duchem rzeki. Wojna jest utratą niewinności. Jej nurt przenosi rzenie koni i echo ciosów włóczni. Na brzegu rzeki ziemia jest żyzna, więc ludzie się o nią biją. Kiedy walki ustają, pojawiają się mogiły - w ulicznych zaułkach, pośród pól, pod kwitnącymi drzewami. To chłopi oddają cześć bohaterom, którzy stali się legendą. Składają ofiary ich duszom, prosząc o łaskę ślubu i cud uzdrowienia.

Na brzegu rzeki bohaterowie wiodą swe dalsze życie. Zmiana dynastii czyni ich nazwiska bardziej znaczącymi. Ich wizerunki są namalowane albo wyrzeźbione w drzewie, ich wyczyny zapisane w annałach. Odwiedzają herbaciarnie i mówią poprzez usta ociemniałych śpiewaków. Wcielają się w wędrownych akrobatów, którzy na placach targowych odgrywają ich wyczyny.

Wiatr wieje nad rzeką. Chmury przekształcają się w ulewne deszcze. Fale rozpryskują się o brzeg, zalewają pola i się wycofują, pozostawiając zniszczone wioski. Obojętna na ludzką nędzę rzeka kontynuuje swą drogę do oceanu. Naśladując ten wieczny ruch, ludzie żyjący na brzegach odbudowują zrujnowane miasta, na nowo sadzą ryż na zalanych polach. I życie na nowo rozkwita.

Gorzki zapach chryzantem unosi się wokół pawilonów. Powróciła jesień.

Młoda Matka wsłuchuje się w pomruk miasta, najmniejszy hałas wywołuje w niej dygot. Wyobraża sobie, że jej mąż przegrał wojnę, a żołnierze Heng Xuana wkraczają do miasta, aby wybić jego popleczników i wykonać wyrok na rodzinie.

Życie jest rozmarzeniem, które Młoda Matka uwiecznia na swoim obrazie.



W rzecznych odmętach żale i nostalgia są jedynie pianą. Kiedy przychodzi dojrzały wiek, rzeka zwalnia. Mgła strzępi się, potem się nawarstwia. Wydaje się, że barki płyną po niebie. Mewy są jak czarne plamy zawieszona w szarości. Wynurzają się góry Siła Północy, przecinając rzekę swymi poszczerbionymi cieniami.

Siła Północy to niebezpieczne góry, mawiają służący. Tam pogoda szybko się zmienia, burze nadchodzą znienacka. Drogi znikają na przełęczach zaciemnionych chmurami, gdzie krążą tygrysy i lamparty. Wędrowcy padają często ofiarą hord uzbrojonych zbirów. To żołnierze, którzy uciekli z królestw Północy i chłopci, którzy odmówili płacenia podatku dynastii Południowej. Żyją w ukryciu w głębi lasu, w osadach zbudowanych na niedostępnych wysokościach. Ich niebezpieczna obecność nie jest jednak w stanie przyćmić oddziaływania siedmiu buddyjskich klasztorów. Otoczona opieką ze strony cesarza Jin świętość mnichów i mniszek przyciąga nieprzeliczone rzesze pielgrzymów.

Od pewnego czasu Młoda Matka regularnie posyła datki do Wielkiej Litości, słynnego klasztoru w górach Siła Północy. Pełna niepokoju o życie swego męża i przyszłość córki prosi mniszki, aby wznosiły specjalne modły. Pewnego dnia przełożona, Świetlista Jasność, zjawiła się u niej, aby jej podziękować. Od tej chwili, na prośbę Młodej Matki, często powraca i pomaga jej studiować buddyjskie sutry.

Przełożona Świetlista Jasność nie boi się bandytów i tygrysów, bo jest biegła w sztukach walki. Potrafi posługiwać się szablą, lecz nigdy jej przy sobie nie nosi. Schodzi z gór z pustymi rękami. Na prośbę Młodej Matki zgadza się urządzić pokaz. Otaczają ją żołnierze uzbrojeni w lance i szable. Ona odbija się od siły ich ataku i wyskakuje w górę. Stąpa po ich ramionach, depta im głowy, prześlizguje się między ostrzami. Widząc, jak wiruje ponad nimi, niczym wielkie ptaszysko, Młoda Matka uśmiecha się i wpada w zadumę.

Góry Siła Północy są czarnymi chmurami śmierci i złotem posagów Buddy, powiedziała mniszka Świetlista Jasność. Ludzie, którzy pokonują schody, gubią się albo odnajdują nadzieję. Umrzeć lub ozdrowieć, pogrążyć się w otchłani albo pokonać pomrokę i dotknąć światłości - góra przyzwala na wybór losu. Młoda Matka patrzy na córkę bawiącą się ze służącą w ogrodzie. Czteroletnia Huiyuang jest żywa i hałaśliwa. Jest łańcuchem spinającym ją ze światem świeckim, zabraniającym jej wstąpienia do klasztoru.

Rzeka Jangcy, na obrazie, wydłuża się w nieskończoność, a góry Siła Północy rozpościerają swoje szczyty i doliny. Złociste dachy świątyń falują w chmurach. Młoda Matka dodaje jeszcze, na stromej ścieżce, młodego mężczyznę w białej tunice. Niesie na plecach cytrę tego samego kształtu co instrument należący kiedyś do pani Cai Yan. Góra jest wysoka i rozległa, mężczyzna wydaje się mały i pozostawiony sam sobie. Młoda Matka nadała mu wydłużoną sylwetkę swego ojca, wyniosłą postawę męża i swoją własną zadumę.

Nagle w mieście powstaje wielki zamęt. Okrzyki przekazywane przez żołnierzy, strażników, lokajów i służące dochodzą do Młodej Matki, która oddaje się malowaniu:

- Jego Wysokość zwycięzca już jest w drodze powrotnej. Przygotujcie się na jego przyjęcie!

Od sypialni po wejście główne otwierają się kolejne drzwi. Słychać muzykę i wrzawę. W mieście zapanowała zbiorowa radość, wszyscy mieszkańcy wiwatują na cześć jej męża, zwycięzcy w wojnie przeciw uzurpatorowi Heng Xuanowi.

Ziemia drży. Młoda Matka ma wrażenie, że cała armia rusza w stronę jej pawilonu. Małżonek, chcąc ujrzeć ją jak najszybciej, podjeżdża konno pod dom.

- Zaraz odjeżdżam - wykrzykuje na jej widok. - Heng Xuan nie żyje, ale jego ludzie trzymają cesarza Jina jako zakładnika

na dalekim Południowym Zachodzie. Muszę tam wrócić!  
A póki co, chcę syna. Muszę mieć syna!

Kary koń admirała Liu przestępuje z nogi na nogę w stajni. Nerwowo tupie i przednimi kopytami kopie w drzwi boksu. Wir nienawidzi spokoju, bezruchu, wysuszonej słomy. Nie lubi być bez okrycia, bez ciężaru człowieka w zbroi. Nienawidzi swojego nagiego łba, bez osłony z brązu. Bez purpurowego pomponu sterczącego wysoko nad głową wydaje się sobie żałosny. Nie cierpi maneżu, gdzie każe mu się biegać w kółko, ani boksu sprzątanego codziennie przez młodych żołnierzy, którzy jeszcze nie byli na wojnie. Ich pieśczęty go upokarzają. Dają mu marchewkę, głaszczą po zadzie i szepczą do uszu. Myją go letnią wodą. Kiedy się poci, delikatnie ścierają z niego wilgoć. Wieczorem, zanim wyjdą, narzucają mu na grzbiet dywanik z haftowanego jedwabiu z motywami kwiatów i ptaków. Stojąc w ciemności, przykryty śmieszną derką, Wir roztrząsa niewesołe myśli. Czasem wydaje mu się, że posłano go na emeryturę, czasem sądzi, że zawiązał się wokół niego spisek, żeby jego mięśnie osłabły, żeby drżały nogi, a kolana się nadwątliły. W nocy wali kopytem i rży. Płacze, gdy nie słyszy wojennych bębnow, szczęku broni, dudnienia ziemi. Rwie się do galopu, skoków do wody, biegania po trawie, po kamienistych landach, do wspinania się na wysokie góry i zbiegania ze spadzistych stoków. Lubi zapach żołnierzy pocących się w słońcu, ogłuszający jazgot i wojenne okrzyki, od których drży ziemia. Wir grzebie kopytami, gdy słyszy dźwięki rogów i bębnow. Wyrwa do przodu, rzuca się na wrogie wierchowce, chce je powalić, poszarpać zębami. Niektóre konie stają dęba i zrzucają jeźdźca na ziemię. Inne, bardziej bitne, walczą. Wir wyczuwa wolę swego pana. W bitwie ich ciała tworzą jedno. Robi zwrot, rwie do przodu, cofa się, wypręża, rzuca się w przód i rusza przed siebie.

Otwiera się brama, stajnię zalewa światło dnia. Żołnierze wyprowadzają go na podwórko i siodłają. Koń nastawia uszy

i wesoło grzebie kopytami. Podchodzi komendant Liu, wskakuje mu na grzbiet. Wir jeszcze nie słyszy rozkazu, ale z obawy, by pan nie zeskoczył, idzie kłusem do wyjścia, z wysoko uniesioną głową. Słyszy krzyk kobiety, która odprowadza pana. To z trudem powstrzymywany szloch:

- Panie, kiedy wracasz?
- Niezadługo... Po zwycięstwie!

## ***Rok 405***

Zawieszenie broni trwało krótko. Powróciła wojna. Jej echa co pewien czas docierają do Młodej Matki. Małżonek, mianowany najwyższym komendantem, rozpoczął marsz w stronę górskich regionów Południowego Zachodu. Oszczercy rozpowiadają, że najwyższy komendant ściga nie zwolenników Heng Xuana, lecz wszystkich tych, którzy nie uznają jego, komendanta, władzy.

Młoda Matka siedzi przed lustrem z brązu. Owale lustra natartego rtęcią odbija jej twarz o krągłości księżycy. Cera, kiedyś ogorzała od słońca i pyłu wojennych kampanii, teraz powróciła do swej delikatnej białości. Włosy odzyskały blask. Kiedy się uśmiecha, jej karminowe wargi odsłaniają dwa rzędy białych pereł. Od dnia wyjazdu męża Młoda Matka nie używa już szminki. Ale i bez makijażu, jak piwonia rozkwitająca na wiosnę, pięknieje z każdym dniem. Jej uroda zasmuca ją, ma już dość słuchania komplementów służących. Piwonia nie jest piękna, kiedy rozkwita w samotności. Z dala od spojrzenia małżonka rozkwit żony jest bezowocny.

Czyż taki rozkwit nie zwiastuje końca młodości? Niedługo jej ciało straci świeżość, twarz pokryje się zmarszczkami. Młoda Matka nie chce być piękna, chce podobać się mężowi, chce być przy nadziei. Chce być ciężka i gruba i wydać na świat syna. Marzy o tym, żeby urodzić w ciepłym pokoju, w delikatnej

pościeli. Marzy, żeby zawinąć nowo narodzone dziecko w mięcki jedwab i dać mu mleka w obfitości. Służące napomykały, że jej mąż posiada wystawną rezydencję w stolicy Jian Kang. Krew Młodej Matki jakby ścięła się w żyłach. Rezydencja powinna być pełna kwiatów i kobiet. Serce jej małżonka na pewno jest zniewolone przez konkubiny młodsze i bardziej pociągające niż ona.

Pisze do niego, a potem drze listy. Mąż nie zrozumie jej literackich aluzji, odniesień do dawnych tekstów, cytatów z poezji klasycznej i wierszy pisanych eleganckim stylem Fu z czasu dynastii Han.

Zwraca się do matki, błaga, by ją przyjęła: „Zbłąkana sarenka szuka matki w lesie piniowym, dzika gęś o skrzydłach ociążałych ze zmęczenia pragnie usiąść na rodzimym wrzosiwisku”. List został jej zwrócony. Matka ciągle milczy.

Nieoczekiwany gość kładzie kres jej samotnym udrękom. U jej drzwi zjawia się starsza kobieta, trzymająca za rękę dziewczynę prawie w tym samym wieku co Młoda Matka. Obie ubrane są jak wieśniaczki.

- Oto pierwsza małżonka Jaśnie Pana, Małżonka Zang  
- przedstawia wojskowy intendent.

Osłupiała Młoda Matka sztywnieje na widok „starszej siostry”. Nie wiedziała, że jej mąż ma drugą żonę. Nic nie wie o życiu swego porwacza przed uprowadzeniem.

Małżonka Zang jest w tym samym wieku co mąż. Jej śniadą twarz pokrywają zmarszczki i ciemne plamy. Tak jak służące, ubrana jest w bawełnianą bezbarwną tunikę, włosy ma ściągnięte w kok spięty drewnianą szpilą, przykryte konopną tkaniną. Młoda Matka nie wie, jak ma się do niej zwrócić: pochodzi z Wysokich Progów, więc prawo zabrania jej kłaniać się plebejuszce; jako druga małżonka powinna pokłonić się pierwszej.

Małżonka Zang ogląda ją od stóp do głów.

- Nie kłaniaj mi się - mówi niskim głosem. - Jestem tylko wieśniaczką. Na kolana, Xing Di, przywitaj się ze swoją matką. Musisz być jej posłuszna.

Młoda dziewczyna klęka i kłania się z pokorą. Nie czekając na reakcję Młodej Matki, Małżonka Zang oświadcza:

- Pokaż mi pokój Ji Nu, a nie będę cię więcej niepokoić. Moja córka i ja zamieszkamy u niego.

Młoda Matka zakrywa dół twarzy jedwabnym wachlarzem i przygryza dolną wargę. Ji Nu, „rzecz porzucona”, czy to jest imię jej męża? Czy był niewolnikiem, zanim został wojskowym przywódcą? Powstrzymuje się od zadawania pytań, prowadzi pierwszą małżonkę do pokoju komendanta.

- Co za luksusy! - wykrzykuje Małżonka Zang po pierwszym rzucie oka. - Wojsko zatratowało pola, opróżniło spichlerze. Wszędzie chłopci umierają z głodu. Jakże Ji Nu może zawieszać w swojej sypialni jedwab i brokat jako zasłony? Zdejmij to wszystko!

Młoda Matka opuszcza głowę i usiłuje zakryć długą spódnicą swoje pantofelki z haftowanego brokatu, wyszywane perłkami. Małżonka Zang zwraca się do niej.

- Dochodzą takie słuchy, aż do wsi, w której pilnuję domu i grobów jego przodków. Postanowiłam przyjść i powiedzieć mu, co o tym myślę.

Zażenowana, Młoda Matka zachowuje milczenie.

Małżonka Zang ciągnie:

- Chociaż podniesiony do godności najwyższego komendanta, Ji Nu nie powinien zapominać, skąd pochodzi. Nie jesteś żoną bogatego kupca, lecz małżonką wieśniaka, któremu dopisało szczęście. Luksus i rozrzutność zawróciły mu w głowie! Aaa, przyniosłam coś.

Podwija rękawy, wrywa służącej tobołek i wyciąga złożone ubranie, które rozkłada przed Młodą Matką. Rozchodzi się zapach tłuszczu. To bawełniane, podbity męski płaszcz uszyty ze skrawków starych ubrań.

- Setki razy go łątałam, Ji Nu nosił go przez całą swoją młodość. To był jego jedyny płaszcz! Nie powinien zapominać, jak cierpiał głód i jak trudno jest zdobyć miseczkę ryżu! Niech przestanie bić się na wojnach. Na wsi chłopci umierają!

W drzwiach ukazuje się Huiyang - przychodzi powitać Pierwszą Matkę. Niczego nie rozumie, powtarza tylko grzecznościową formułkę, której nauczyła ją piastunka.

- Jeszcze jedna córka! - wykrzykuje Małżonka Zang na jej widok. - Cóż to się dzieje? Kiedy urodziła się moja córka, Ji Nu nazwał ją Xing Di, „ta, która przyprowadzi braci”, żeby później urodziło się dużo synów. Zaraz potem wyjechał na wojnę i tyle go widziałam. Jak to się dzieje, że twój brzuch tak zawodzi? Naprawdę, żal mi nas obu...

Opóźnia się powrót ich małżonka. Podobno przebywa na Dworze cesarskim i kieruje sprawami Imperium.

Uciekając na zachód, Heng Xuan zabrał ze swoją świętą zde-tronizowanego cesarza dynastii Jin. Heng Xuan został pokonany, cesarza jednak nie uwolniono. Trzymany w dalekiej prowincji Południowego Zachodu, jest więźniem komendanta Liu, zwycięzcy w tej wojnie. Złośliwi twierdzą, że komendant Liu okupuje stolicę Jian Kang, nie przejmując się nieobecnością Syna Niebios, bo postanowił pójść za przykładem Heng Xuana, wstąpić na tron i ogłosić się cesarzem.

Z obawy przed buntem innych gubernatorów miasto Jing Ko ma stale zamknięte bramy. Żołnierze patrolują ulice. Podwojono ochronę rezydencji. Obie małżonki nieustannie się zamartwiają. Połączone wspólnym niepokojem, zapominają o dzielącej je różnicy zdań na temat stylu życia najwyższego komendanta i spędzają razem całe dnie.

Małżonka Zang przestała krytykować Młodą Matkę, ta natomiast zaakceptowała istnienie siostry pochodzącej z plebsu. Małżonka Zang przemeblowała pokój Ji Nu, w którym następnie



zamieszkała. Jedwabie zastąpiła konopną tkaniną, brokatowe draperie bawełną. Przywiozła ze wsi drewniane narzędzia z żelaznymi uchwytami, ustawiła je na środku pokoju. Młoda Matka, zaciekawiona, spytała, do czego to służy.

- To jest motyka! - wyjaśnia Małżonka Zang. - Bez motyki rolnik nie może uprawiać pola. Motyka służy do rozkruszania stwardniałej ziemi i odrzucania kamieni. Ziemia jest jak ciasto. Trzeba zagnieść mąkę, zanim zrobisz chleb. Ziemia musi być przygotowana, zanim przyjmie ziarno.

Młoda Matka szeroko otworzyła oczy. Nazwę tego narzędzia zna ze starożytnej Księgi Pieśni\*, którą studiowała w dzieciństwie. Nie miała pojęcia, jak wyglądało, nie ma też pojęcia, jak się robi chleb. Bierze motykę i ją unosi.

- Nie tutaj, w ogrodzie! - wykrzykuje Małżonka Zang.

Zanim przestanie krzyczeć, Młoda Matka chwieje się, motyka spada na podłogę.

Małżonka Zang dalej peroruje:

- A wiesz, co to jest pług? Jeśli chłop jest bogaty, zaprzęga do niego wołu albo konia, jeśli jest biedny, żona ciągnie zaprzęg, a on trzyma za drzewce. Pług zostawia za sobą bruzdy...

Młoda Matka tęskni za willą, w której wznosiła się. Były tam też ogrody warzywne, gdzie sadzono jarzyny i wysiewano zboża dla ich wiejskiego zapachu i egzotycznego wyglądu.

- To jest socha do przekopywania, a to widły do przetrząsania siana... To narzędzia, którymi Ji Nu posługiwał się w polu. Jego rodzina była jedną z najbiedniejszych we wsi... Niczego nie dotykaj! Uporządkuję część ogrodu. Nauczę cię sadzić warzywa!

\* Księga Pieśni to zbiór około trzystu chińskich pieśni, które powstawały od czasów Zachodniej Dynastii Zhou (1027-771 p.n.e.) aż do środkowego okresu Wiosen i Jesieni (770-476 p.n.e.).

Rozkwitają nieszupełki. Banany są ciągle zielone, ale pomarańcze już pożółkły. Na południe od rzeki Jangcy zima jest bardzo łagodna, ale Małżonka Zang nie może się przyzwyczaić do łagodności życia.

Od niej Młoda Matka dowiaduje się, że jej mąż stracił matkę zaraz po urodzeniu. Ojciec był tak biedny, że nie mógł go wykarmić. Roześlony na tego chłopca, którego przyjście na świat zabrało mu żonę, postanowił go utopić. Jedna z kuzynek dowiedziała się o tym zamiarze. Sama urodziła dziecko, więc zaproponowała, że będzie karmić i jego synka. Odtąd nazywano go Ji Nu, „rzecz porzucona”. W wieku zaledwie pięciu lat już chodził do pracy w polu. Gdy miał lat dwanaście, dziewczyna imieniem Zang została małżonką Ji Nu, który był od niej młodszy. Od tego czasu to ona ciągnęła pług. W wieku młodzieńczym Ji Nu był gniewliwy i często kłócił się z ojcem. Zaniedbywał roboty polne, wołał zabawiać się z wiejskimi łobuzami, którzy nauczyli go bić się na pięści i walczyć na szable. Aby rodzina mu wybaczyła, Małżonka Zang musiała pracować bez wytchnienia. Dzięki jednemu z przyjaciół Ji Nu dostał pracę w miasteczku i został Strażnikiem Bramy.

Potem na pewien czas wracał na wieś, jego przyjazdy stawały się coraz krótsze i rzadsze. Po wstąpieniu do wojska pozostawił Małżonce Zang opiekę nad ojcem, macochą i dwoma przyrodnimi braćmi, sam od czasu do czasu przysyłał pieniądze, ale już go nie widywano.

- Nawet nie wie, jak wygląda jego córka - skarży się Pierwsza Małżonka. - Ile czasu mam jeszcze czekać? Na wiosnę muszę wrócić na wieś i zająć się zasiewem. Jego rodzice są już starzy. Żyją tylko z pracy moich dwóch rąk!

Gdy jej pobyt w Jing Ko się przedłuża, Małżonka Zang staje się coraz bardziej nerwowa. Nienawidzi życia w odosobnieniu, w tej spokojnej rezydencji, pragnie tylko powrotu na wieś.

- Twoje życie mnie nudzi! - żali się Młodej Matce. - Tutaj postarzałam się o dziesięć lat! Potrzebuję rozruszać kości

i wypocić się w słońcu. Na wsi drzwi nigdy nie są zamykane, sąsiedzi rozmawiają od świtu do nocy. Dzieci i psy biegają swobodnie, jedzą tam, gdzie właśnie jest posiłek. Słychać śmiechy, sprzeczki, śpiewy, bawoły i koguty. Tutaj żyje z ptakami w klatce, które nie potrafią latać, i z czerwonymi rybkami, które wyglądają na chore!

Spieszno jej skończyć wyprawę na ślub młodszego brata Ji Nu, więc sprowadza krosno i zabiera się do pracy. Młoda Matka dotrzymuje jej towarzystwa, przygląda się, jak czółenko wędruje poprzez nici, zafascynowana szybkimi ruchami tkaczki.

Zagmatwane są także nitki jej myśli.

Heng Xuan był spokrewniony z rodziną cesarską. W wieku pięciu lat odziedziczył tytuł księcia, a gdy miał lat dwadzieścia trzy, został mianowany preceptorem książęcego następcy. Gdy zawładnął tronem, lud powstał przeciw niemu, nazywając go uzurpatorem - pomimo jego błękitnej krwi. Małżonek Młodej Matki przyszedł na świat wśród najbardziej kornych ludzi w Cesarstwie. Jeśli włoży na głowę koronę Syna Niebios, będzie miał jeszcze więcej wrogów niż Heng Xuan. Dostojnicy i wysoko szlachta rodowa nie zechcą kłaniać się człowiekowi, który boso biegał w łańcach zboża. Pozostawiony sam sobie, pogardzany, będzie musiał stawić czoło gubernatorom, którzy wykorzystają wzburzenie ludu i wypowiedzą mu wojnę.

Wieje wiatr. Chmury zeszyły nad miasto Jing Ko, spowijają je lekkim zamgleniem. Zimny deszcz bębni o dachy. Drżą bambusy i bananowce.

Przed lustrem Młoda Matka czesze swoje długie włosy drewnianym grzebieniem w kształcie ważki. Głaszcze złotego feniksa o mieniących się skrzydełkach z białych perełek, którego dostała od męża, po czym zamyka przedmiot w szkatułce.

## ***Rok 406***

Pewnego ranka, o świcie, ubrana w połatany płaszcz, Małżonka Zang staje wraz z córką przed Młodą Matką.

- We śnie powróciłam do wioski. Kiedy mnie tam nie ma, pajęczyny zwisają z dachu, ziemia przodków jest spragniona i wygłodzona. Teściowie utyskują z powodu mojej nieobecności. Chcą, żebym wróciła i przygotowała im potrawy na święto Wiosny. Synowcy się kłóca. Nikt im już nie łąta ubrań. Prosiłam, żeby zaprzęgli muły. Muszę wracać.

- Zostańcie - błaga Młoda Matka we łzach. - Nasz małżonek być może powróci na święto. Jakże się rozczaruje, kiedy was już tu nie zastanie.

Małżonka Zang potrząsa głową i podaje Młodej Matce tobołek.

- Tu jest stary płaszcz, który dawniej nosił Ji Nu. Przypomni mu młodość, kiedy było nam tak trudno zarobić na życie. Bogactwo, władza, sława to iluzja. Jedyne ziemia, która żywi ludzi, zwierzęta, pola i cztery pory roku, jest wieczna. Nie powinien zapominać o chłopskich wartościach.

Po wyjeździe małżonki Zang i jej córki Młoda Matka popada w melancholijne odrętwienie. Ciągłe jeszcze prześladowuje ją odgłos zimowego deszczu, narcyzy w ogrodzie już rozkwitły, zbliża się święto Wiosny. Trzymając w ramionach Huiyuang, słucha pod oknem huku petard, wybuchających w mieście Jing

Ko. Gdy była młodą panienką, w tym czasie chodziła do dziadka życzyć mu długiego życia, a po kanałach pływały lampiony w kształcie kwiatów i zwierząt.

Gdzieś poza mglistym horyzontem jej małżonek tworzy nową kartę historii. Odwołał cesarza z wygnania i przywrócił dynastię Jin. Cesarz, gdy odzyskał tron, natychmiast mianował swojego wybawiciela wielkim cesarskim doradcą, wielkim generałem rydwanów i kawalerii konnej, najwyższym komendantem do spraw wojskowości.

Młoda Matka odczuwa ulgę. Pogłoski, które słyszała, są tylko oszczerstwem. Jej małżonek jest człowiekiem mądrym, zręcznym strategiem. Przedkłada sławę zdobywcy nad pompacyjność efemerycznego cesarza.

Rozlega się dźwięk gongów. Małżonek wraca w słoneczne popołudnie, wśród burzy białych kwiatowych płatków. Młoda Matka wkłada odświętną tunikę i spieszy na powitanie. On ma złotą pieczęć i fioletowy pas, insygnia najwyższej cesarskiej rangi, specjalnie się nie zmienił, jedynie ma nieco pogłębione zmarszczki, chód stał się bardziej ociężały, tak jakby niósł ciężar swoich myśli. Ona przytula się do niego i wdycha zapach pokoju.

Noc była zbyt krótka. Od świtu rezydencja zapełnia się wojskowymi. Po domu krążą oficerowie, wokół ogromnej mapy odbywają się narady. Mężczyźni po kolei zabierają głos i przesuwają kolorowe pionki na mapie. Inaczej niż w grze go, gdzie czarne pionki i pionki białe wyobrażają dwie walczące ze sobą siły, na planszy jej małżonka jest ponad dwadzieścia kolorów, przedstawiających około dziesięciu królestw Barbarzyńców na północ od rzeki Jangcy i dziesięciu niezależnych gubernatorów na Południu. Zwaśnieni między sobą Barbarzyńcy jednoczą się, gdy tylko są zagrożeni przez Południe. Tymczasem ambitni i zdradzieccy gubernatorzy z Południa buntują się. Strategia jej

małżonka polega na ich militarnym osłabieniu, doprowadzeniu do tego, by podbili Północ; on sam natomiast musi przejąć, jedno po drugim, królestwa barbarzyńskie, utrzymując ich podział.

Młoda Matka rozumie teraz, dlaczego włosy jej małżonka posiwały! A on znowu wyjeżdża niespodziewanie do Jian Kang, gdzie gubernatorzy zebrali swoje wojska w oczekiwaniu na jego rozkazy. Zabiera ze sobą radość żony i kruszy nadzieję na spłodzenie dziecka.

Młoda Matka nie zdąży nawet przyzwyczać się do samotności, a już najwyższy komendant jest z powrotem i w domu znowu zaczyna się bieganina. Zmienia strażników i powierza Młodej Matce pieczęć gubernatora. Ona zamyka pieczęć w kufrze, klucz przypina do paska. Zaszczyczona takim zaufaniem, jest radosna i zasmucona. Kobiety są jak żołnierze, rozmieszczeni w punktach ważnych dla życia. Dla Małżonki Zang to wieś, rodzice i groby przodków; dla niej, Młodej Matki, choć tak delikatnej i mało znaczącej, to Jing Ko, Brama rzeki Jangcy, bastion i dom.

Po wyjeździe małżonka pokoje znowu są za duże, zbyt duże dla niej i Huiyuang. Młoda Matka powraca do malowania. Na rozciągniętej beli jedwabiu rzeka zagraża blademu słońcu. Na południowym brzegu tłoczą się konie, rydwany stają w ciasnym szyku, statki kołyszają się na wodzie. Dodaje jeszcze obóz wojskowy i purpurowy namiot otoczony małymi białymi namiotami. To kwatery główna małżonka.

Szykuje się wojna, ale wojna się opóźnia.

Małżonek wraca i zamyka się ze swymi najwierniejszymi towarzyszami, z listą w ręku. Późnym wieczorem bierze pędzelek, czerwonym kółkiem zakreśla nazwiska, obok dopisuje inne. Potem kładzie się koło niej. Zamiast wziąć ją w ramiona, odwraca się plecami i zasypia. Po pewnym czasie Młoda Matka dowiaduje się, że ministrowie z Dworu cesarskiego zostali straceni, a na ich miejsce mianowano nowych.

Małżonek opuszcza Jing Ko, ale bardzo szybko wraca. Przechodząc blisko rozsuwanych drzwi, Młoda Matka podchwytuje strzępki rozmów:

- Panie, oto drzewo genealogiczne rodziny cesarskiej z dynastii Han, które wasz uniżony sługa znalazł w cesarskich archiwach. Linia należąca do króla Wu, Liu Jiao, została zmieniona. Dopisano nazwiska pańskich przodków. Teraz już nikt nie będzie mógł zakwestionować pana cesarskiego pochodzenia.

- Mam pewien kłopot. Moja druga małżonka pochodzi z Wysokich Progów. Ale przedtem miałem żonę Zang. Zang jest nazwiskiem plebejskim. Nie chcę jednak rozwodzić się z kobietą uczciwą i lojalną.

- Na Dworze był pałacowy sekretarz o nazwisku Zang Wang. Pańskiemu uniżonemu słudze nie będzie trudno nakłonić potomków Zang Wang do przedłużenia ich drzewa genealogicznego.

- Zrób to przed moim wyjazdem na Północ.

- Mojego pana czeka los Smoka, to widać w pańskim układzie gwiazd. Podbicie Północy doprowadzi pana do korony.

- Nie pochlebiaj mi. Jestem przezorny...

W nocy Młoda Matka widzi przedziwne sceny: w dolinach roi się od chorągwi, łany zbóż stały się polami bitew. Nieprzebrany tłum królów, generałów, strategów, wojowników konnych lub pieszych odcina się na niskim niebie, ciężkim od chmur. Ich nazwiska układają się w długi poemat, tragiczną opowieść, przy akompaniamencie dojmującego lamentu cytry. Potrząsają głowami, zanoszą się śmiechem, stroją miny, uśmiechają się złośliwie, marszczą brwi, głaszczą się po brodach, szeroko otwierają oczy. Bledną ze strachu, czerwienieją ze złości, posepnieją ze smutku, a potem rzucają się do lodowatych wód rzeki, skaczą w ogień, tańczą na ostrzu szabli i poją się krwią wrogów.

Młoda Matka zrywa się ze snu. W pokoju jest ciemno jak w grobie. Jej ręka po omacku szuka i trafia na znieruchomiłe ciało małżonka. Czy on nie żyje? Jaka dynastia teraz panuje? Od jakiego czasu są pochowani pod ziemią i zamknięci w grobowcu? Ogarnia ją nieokreślona groza. Gwałtownie potrząsa małżonkiem. On drży, potem się napręża, trzymając w ręku sztylet. Nawet podczas odpoczynku nie traci czujności.

- To ja - mówi Młoda Matka.

On się rozluźnia, pochyla i opada na jej ciało.

- Syn - mówi.

Młoda Matka pojękuje, wzdycha. Śmierć staje się życiem, które skrzypi pod skórą, aż po koniuszki palców. Muzyka powstała w brzuchu gra w piersi, wprawia w drganie ciało i poprzez gardło przeistacza się w lament raz ekstatyczny, a raz zdławiony.

Po obudzeniu widzi, że małżonek wyjechał. W ogrodzie unosi się cierpki zapach chryzantem. Wkrótce święto Księżycy. Po raz kolejny matka odesłała list, który do niej napisała.



Cztery

## ***Rok 581, dynastia Chen***

Zapachy kuchenne drażnią nozdrza, zaczyna burczeć w brzuchu. Shen Feng unosi powieki. W piecu płonie ogień. Stary lutnik wrócił i przygotowywał posiłek, podczas gdy on spał. Uniesiony radością Shen Feng skacze na równe nogi. Omiata spojrzeniem pusty pokój i rzuca się w stronę drzwi. Na dworze zachodzące słońce ubarwiło dachy wioski na różne odcienie pomarańczy. Mistrz właśnie je kolację w ogródku przysłoniętym bambusową kratą.

Shen Feng wita go wesoło:

- Mistrzu, jesteś!

I od razu odczuwa wyrzuty sumienia. Na kamiennym stole jest tylko jedna miseczka pikantnych warzyw do ryżu. Poprzedniego dnia, za namową Zhu Bao, któremu spieszno było otworzyć grobowiec, Shen Feng opuścił miasto Jing Ko, nie robiwszy zakupów. Unosi wzrok i pod drzewem wiśniowym dostrzega pokrywę ukradzioną z sarkofagu.

Siada przy stole, wpatruje się w twarz swojego mistrza i postanawia ukryć przed nim smutną wiadomość: nie mają więcej zamówień. Uśmiecha się i rzuca na stół sakiewkę, którą dostał od Lu Si, aż pobrzękują sapeki.

- Sprzedałem cytrę, jutro pójde na zakupy! Chcesz ryżowego wina, szynki od Wuja Songa, ciasteczek z cynamonowym miodem? A może zamówiłbym ci nowy kubrak? Ten, który

nosisz, jest cały podziurawiony! Nawet jeśli damy go siostrzyczce Hortensji do zaszcucia, długo nie wytrzyma. Lepiej kupić nowy.

Stary lutnik nie zwraca na niego uwagi. Ze zwieszoną głową spożywa swój posiłek.

- Gdzie byłeś? - ciągnie Shen Feng. - Tym razem policzyłem, popatrz.

Pod murem domu leży dziesięć kamyczków ułożonych rzędem.

- Dziesięć dni! Przez dziesięć dni nie miałem od ciebie wiadomości. Padał deszcz, bałem się więc, czy nie wpadłeś do jakiegoś wąwozu... czy nie zaatakował cię tygrys...

Stary lutnik wygląda jak ktoś, kto spędził długie noce w lesie. Ma zapadnięte policzki, zgarbione plecy. W potarganych włosach tkwią kawałki gałązek. Na końcu poczerniałych i splekanych palców połamane paznokcie gdzieniegdzie noszą brunatne ślady krwi.

Shen Feng wzdycha. Potem znowu stara się uśmiechnąć.

- W wielkim wodospadzie woda jest jeszcze zimna. Po kolacji przygotuję ci ciepłą kąpiel w domu, co o tym myślisz?

Stary lutnik nie odpowiada. Jego ciemna twarz, naznaczona głębokimi bruzdami, pozostaje niewzruszona. Bruzdy poruszają się, kiedy szczęki żują. Trudno odgadnąć jego myśli.

Shen Feng wstaje, nakłada sobie ryżu do miseczki i wraca. Usiłuje nawiązać rozmowę:

- Ta deska, tam... Ile dałbyś jej lat...?

Stary lutnik zachowuje milczenie i nie unosi głowy.

W dalszym ciągu obaj mężczyźni jedzą kolację, twarzą w twarz, bez słowa. Potem stary lutnik wstaje, z pustą miską w ręce, przechodzi obok wiśni i rzuca okiem na deskę. Shen Feng wstrzymuje oddech. Jego mistrz jest żarliwym buddystą. Byłby zły, gdyby wiedział, że Shen Feng i Zhu Bao wykradli ją z klasztoru Wielkiej Litości.

Stary Lutnik pochyła się, wyciera róg deski rękawem, mamrocząc kilka niewyraźnych słów. Potrząsa głową i wraca do domu. Podczas gdy Shen Feng opróżnia swoją miseczkę ryżu, stary lutnik wychodzi z tobołkiem na plecach. Shen Feng czuje ucisk w gardle, podnosi się z miejsca. Dlaczego mistrz spakował swoje rzeczy? Tym razem zniknie na kilka dni czy wychodzi na zawsze?

Shen Feng zagradza mu wyjście. Pyta ochrypłym głosem:

- Zniknąłeś na dziesięć dni. A teraz dokąd idziesz?

Stary lutnik coś mruczy, unikając spojrzenia chłopaka.

- Nie jesteś głuchy, dobrze wiem! - wykrzykuje Shen Feng.  
- Tu jest twój dom, nasz dom, dokąd idziesz?

Podnosi rękę i chce wyrwać tobołek. Chociaż ręce mu drżą, stary lutnik potrafi jeszcze się bronić, to on przecież uczył Shen Fenga sztuki walki. Rozkłada ramiona, przesuwając się na bok i robi krok do przodu. Shen Feng chwyta go za ramię i unieruchamia.

- Chociaż nie jesteś moim ojcem, uratowałeś mi życie i wychowałeś jak syna. U Chińczyków ojciec nie może opuścić syna, syn musi utrzymać ojca aż do jego śmierci. Powinien przyzwyciężyć pochować ojca i dbać o jego grób do końca swego życia. Żyłeś wśród Chińczyków, nie jesteś już Xianbei!

Shen Feng powstrzymuje łzy.

- Kiedy byłem małym chłopcem, zabierałeś mnie wszędzie tam, dokąd szedłeś. Pracowaliśmy na budowach, mieszkaliśmy w mieście, żyliśmy w lesie. Razem wybraliśmy tę wioskę. Nauczyłeś mnie, jak zrobić cytę, zbudować dom. Dokąd teraz idziesz? Pójdę z tobą!

Stary lutnik wbija wzrok w ziemię, potrząsa głową, opuszcza rękę, uwalnia się z uchwytu Shen Fenga i rusza w stronę bramy ogrodu. Shen Feng rzuca się, by go zatrzymać, ale stary lutnik go odpycha.

- Mistrzu! Popatrz na ten dom. Słupy, belki, każda warstwa glinianej zaprawy w murze nosi piętno naszego potu! Popatrz na ten ogród! Razem go karczowaliśmy!

Łzy przesłaniają oczy Shen Fenga, wyciera je rękawem. Nie spojrzawszy nawet na niego, nie oglądając się, stary lutnik otwiera furtkę i schodzi ścieżką obrosniętą pierwszymi wiosennymi kwiatkami. Żałość ogarnia Shenga Feng, obezwładnia go. Mistrz nie jest Chińczykiem. W jego żyłach płynie krew Xianbei, koczowniczego ludu przybyłego z Północy. Xianbei nie mają poczucia więzi rodzinnej. Matki wychowują wszystkie dzieci klanu, dzieci na wszystkich mężczyzn mówią: „tata”. Inaczej niż u Chińczyków, którzy są sentymentalni, Xianbei do niczego się nie przywiązują. Dwadzieścia lat temu mistrz tułał się po drogach Południa, przygarnął go i wychował, a teraz opuszcza go bez jednego słowa. Znowu być wolnym człowiekiem, podróżować daleko, jak najdalej, może takie jest jego pragnienie.

Wielkimi krokami stary lutnik schodzi ku wiosce. Shen Feng zaciska zęby i powstrzymuje szloch. Nagle przypomina sobie, że przed laty, kiedy mistrz zauważył swoje pierwsze siwe włosy, powiedział, że pewnego dnia powróci na Północ, aby tam umrzeć. I dodał: „Zostawię ci ten dom. Wystarczy dla ciebie i dla twojej żony”.

- Zabierz mnie na Północ! - wola Shen Feng.

Stojąc na progu ich wspólnego domu, macha ręką, daje znaki, których jego mistrz już nie widzi. Dom wzniesiony na wzniesieniu góruje nad wioską. O zmierzchu dymy z palenisk uchodzą ponad dachy z bambusowych liści i spokojnie wznoszą się do nieba. Od zachodu słońce rzuca ostatni promień na las. Shen Feng opuszcza rękę.

Imię Shen Feng, „Wiatr”, pochodzi od imienia starego lutnika, Shen Feng. Feng wymawia się tonem opadającym, co daje „Feniks”. Te dwa ideogramy są do siebie podobne: oba mają w sobie rysunek ptaka i zakrzywioną linię przypominającą sklepienie niebieskie. Bo od zarania dziejów, kiedy jeszcze chińscy

uczni w piśmie pisali na żółtych skorupach, obydwie słowa tworzyły jedno. Wiatr był boskim ptakiem.

Niestrudzony jak wiatr i feniks, stary lutnik przeżył w życiu tysiące lis z północy na południe.

Zanim zaczął nazywać się Shen Feng, nosił imię Duo Feng. Jego przodkowie, łowcy wilków i hodowcy koni, żyli na stepach Wielkiej Północy. Setki lat wcześniej, w ślad za przywódcą plemienia Xianbei, galopowali ku Równinie Środka, pokonując chińskich żołnierzy strzałami, które nigdy nie chybiały. Lud Xianbei utworzył wiele królestw na ziemi niegdyś zajmowanej przez Chińczyków i waśnił się o Równinę Środka z czterema innymi ludami koczowniczymi. Po niezliczonych wojnach przywódca Xianbei zjednoczył Północ i założył wszechwładne cesarstwo Wei. Jeden z jego potomków przyjął chiński system administracyjny, zmuszając swój lud do ubierania się na modłę chińską, używania języka chińskiego i pisania nazwisk Xianbei znakami chińskimi.

Stary lutnik urodził się w mieście Yo\*, na północny wschód od Równiny Środka; jego nazwisko w transkrypcji chińskiej brzmiało Duo. W tamtych stronach w zimie lodowe stalaktyty zwieszają się z dachów, sięgając pokrytej śniegiem ziemi. W lecie przyniesione skwarem cykady zawodzą dzień i noc gdzieś w drzewach. Pewnego dnia, kiedy dopiero zaczynał chodzić, udało mu się przekroczyć próg domu, wyczołgać się na dwór i poturlać na ulicę. Nagle ziemia zadrżała, wiatr dmuchnął powiewem kurzu. Wokół niego pędziły jakieś cienie, unosząc kamyczki i grudy ziemi. Później znaleziono go pośrodku ulicy, dziwiono się, że nie został zdeptany przez kawalerię konną, która udawała się na odparcie ataku plemienia przybyłego z Wielkiej Północy. Jego ojciec nazwał go wtedy Feng, dlatego że Feng to ptak, który przynosi szczęście.

\* Nieopodal dzisiejszego Pekinu.

W czasie wojny Xianbei są żołnierzami; w czasie pokoju hodują bydło i zajmują się handlem. Od dwóch pokoleń rodzina wyrabia smażone bułeczki, które zyskały popularność w mieście Yo. Duo Feng wzrastał w mącznym pyłe. Spał i uczył się mówić usadowiony na plecach starszych sióstr obracających żarna.

Duo Feng miał kuzyna o imieniu Duo Gu. Mężczyźni klanu postanowili kupić stanowisko w administracji dla Duo Gu, kontynuatora starszej linii, co pozwoliłoby im zyskać wyższą rangę społeczną. Zdecydowano też, że Duo Feng, potomek z linii młodszej, otrzyma przepis na smażone bułeczki i że - dzięki niemu i dzięki jego potomstwu - rodzinny fach przetrwa. Duo Gu został wysłany do szkoły prowadzonej przez chińskiego uczonego. Duo Feng mu towarzyszył. Miał nauczyć się rachowania i znaków niezbędnych do prowadzenia księgi rachunkowej.

Duo Gu i Duo Feng nudzili się w szkole i często uciekali, aby powłóczyć się w centrum miasta, gdzie było targowisko. Pewien sprzedawca ziół leczniczych poczuł do nich sympatię, nauczył ich boksować i posługiwać się bronią. Pewnego dnia Duo Gu i Duo Feng mieli zatarg z rzeźnikiem. Wdali się w bójkę i nieumyślnie go zabili. Uciekając przed posterunkowym, ze strachu przed gniewem dziadka, opuścili miasto Yo. Mieli zaledwie dwanaście i jedenaście lat. Sprzedawca ziół leczniczych polecił ich kuzynowi, który wysłał ich do swego brata, kowala w pewnym mieście na Zachodzie. Ten ostatni przetrzymał ich przez rok, a potem odesłał do pewnego rusznikarza w oddalonym regionie. Piechotą przebyli Północ Chin. Kiedy byli głodni, atakowali bezbronnych wędrowców i zabierali im kiesę. Ale sami także padali ofiarą napadów i bywali ograbiani. Spotykali mnichów pielgrzymów, strażników karawan, akrobatów i bandytów, z którymi na pewien czas się zaprzyjaźniali. Prowadziły ich nawiązywane przypadkowo znajomości, w końcu dotarli do granicy północno-zachodniej.

Przed ich zdziwionymi spojrzeniami roztaczał się szeroki horyzont. Kotliny stawały się wielką porośniętą trawą płaszczyzną, która przyciągała chmary białych ptaków i pierzastych chmur. Pewnego dnia jednak rozległo się przeraźliwe wycie rogów. Nie wiadomo skąd wyłoniła się dywizja Xianbei, rozpierchła się pośrodku stepu, po czym utworzyła długi szereg naprzeciw przybywającej galopem konnicy Rouran. Obie armie oceniły się nawzajem z pewnej odległości, wymieniły deszcz strzał, po czym natarły na siebie jak dwie wzburzone fale. Urzeczony agresywnością walki i magią zbroi, dwaj kuzyni ograbili poległych z szabel, z pancerzy i dołączyli do wojska Xianbei. Mieli wtedy piętnaście i czternaście lat.

Dywizja odjechała na zachód, by odebrać miasta z rąk Tybetańczyków i Tatarów. Potem została wezwana do stłumienia buntu chińskich chłopów na Równinie Środka. Następnie pogalopowała na północny wschód, by powstrzymać inwazję Kitanów. Po każdej bitwie obaj chłopcy sądzili, że nie zobaczą już słońca, ale zawsze dopisywało im szczęście. Zawsze wylizywali się ze swych ran.

Chociaż Xianbei zjednoczyli Chiny Północne, musieli utrzymywać swą dominację siłą strzał i szabel. W ich przypadku szlachetność krwi nie dorównuje odwadze i bystrości okazywanej na polu bitwy. Minęło dziesięć lat. Pomimo niskiego urodzenia, choć byli tylko zwykłymi jeźdźcami, obaj kuzyni zostali mianowani dowódcami dywizji, a potem pułku.

Na północnym brzegu rzeki Jangcy dostali rozkaz przygotowania inwazji na Południe. W oczekiwaniu na sygnał zagrożeni swoich żołnierzy do bitwy rzecznej. Cesarscy wysłannicy nie nadchodzili; do żołnierzy docierały rozmaite pogłoski, nieustannie pobudzające ich ducha. Dowiedzieli się, że w wyniku konfliktów, które poróżniły Cesarzową matkę, Cesarza, księcia sukcesora i ich zwolenników, cesarstwo Xianbei podzieliło się na dwa rywalizujące królestwa, Wei Wschodnie i Wei Zachodnie,



z dwoma cesarzami, dwiema stolicami. Xianbei musieli wybrać swoich nowych władców, tak więc w ślad za generałem Duo Gu i Duo Feng dołączyli do obozu Wei Wschodniego.

Wojna pomiędzy dwoma królestwami Xianbei była okrutniejsza niż obie poprzednie wojny. Po gwałtownym starciu z Xianbei z Zachodu ich wojsko zostało rozgromione, generał zabity. Jako jedyni ocaleli z bitwy postanowili walczyć na własny rachunek. Posuwając się wzdłuż granicy dwóch królestw Wei, jak czarne chmury krążące po niebie, łupili miasta i miasteczka, niekiedy wspomagani przez grupki żołnierzy Xianbei, Xiongnu, Kitanów i Chińczyków, którzy nie należeli już do żadnej armii. Oba państwa Wei ścigały ich, jednocześnie dostarczając broń i konie, by atakowali rywali. Czasem ich wojsko rosło w siłę, czasem w ogóle nie mieli ludzi. Nie wiedząc, czy jutro będą przy życiu, biesiadowali, gdy tylko mieli co jeść i pić.

Na Północy żołnierze mają zwyczaj wozić ze sobą wszystkie dobra osobiste, z których większość pochodzi z grabieży. Generałowie wynagradzają swoje zwycięskie oddziały, pozwalając im uprzątnąć pole bitwy. U poległych żołnierzy szyje obwieszane bywają wieloma złotymi łańcuchami, na rękach można znaleźć srebrne i nefrytowe bransolety, obszyte perłami mankiety kaftanów. Są też szable z rękojeścią inkrustowaną szlachetnymi kamieniami, strzały ozdobione masą perłową i egzotycznymi piórami, przechodzące z rąk do rąk przez wiele pokoleń martwych i żywych. Przy tej okazji żołnierze odnawiają swoją garderobę, broń, zbroje, siodła. Ludzie, gdy żyją, zabijają się nawzajem; martwi stają się najlepszymi dostawcami dóbr dla tych, którzy przeżyli.

Kiedy Duo Feng był jeszcze zwykłym żołnierzem, po odparciu inwazji na zachodniej granicy otrzymał rozkaz oczyszczenia pola. Tego ranka, gdy spojrzeniem ogarniał zmarzniętą ziemię

usłaną ciałami, ocenił jak doświadczony gracz w kości potencjalną zasobność poległych, po czym skierował się ku jednemu z nich. Jego fryzura i ubranie wskazywały, że należy do koczowniczego plemienia z Dalekiej Północy, którego członkowie żywią się surowym mięsem karibu, a żołnierze znani są z tego, że noszą na sobie szlachetne kamienie jako talizmany. Pochylając się nad nim, Duo Feng zauważył, że człowiek ten leży w kałuży krwi, ale jeszcze oddycha. Szabla rozcięła dolną część szyi, nie miał ramienia ani ręki. Intensywny blask pojawiał się w jego półprzymkniętych oczach, zapowiadając rychłą śmierć. Duo Feng przeciął paski od jego zbroi, zamierzając przeszukać kaptan, gdy ranny powalił go na siebie, unosząc nogę i wymierzając mu cios pięścią w podbrzusze. Duo Feng poderżnął mu gardło sztyletem. Przeciwnik stracił całą krew, więc już nie krwawił. Natychmiast wyzionął ducha, lecz nie zwolnił uścisku. Duo Feng, przeklinając go, uwolnił się z uchwytu. Zauważył wtedy, że żołnierz nie wymierzył mu ciosu pięścią, lecz wsunął mu między nogi pakunek zawinięty w ceratę.

Po tym zdarzeniu Duo Feng nie miał już ochoty na dalsze poszukiwania. Wrócił do obozowiska. Ukrył się w kącie, rozwinął pakunek i wyciągnął książkę oprawną w baranią skórę, pokrytą pismem, którego nie potrafił odczytać. Po bitwie niewiele ciał udaje się zidentyfikować. Przeciwnie niż Chińczycy, którzy mają zwyczaj haftować nazwisko i miejsce urodzenia u dołu tuniki, nomadzi z Północy nie noszą na sobie żadnych znaków rozpoznawczych. Wiedząc, że nie zdoła odtworzyć historii żołnierza, którego ograbił, Duo Feng schował zawiniątko wewnątrz swego pasa.

Tak jak wilki, które czczą, Xianbei żyją stadnie. Duo Feng przebywał z rodzicami, kuzynami, towarzyszami broni, i do tychczas nie zaznał samotności. Istnienie tej paczki odkryło przed nim przyjemność przebywania w odosobnieniu. Zaczął oddalać się od tłumu żołnierzy, w spokoju zaglądać do swojej)

książki. Znaki nie do rozszyfrowania wydawały mu się znajome. W miarę jak się w nie wpatrywał, stawały się obrazami; Duo Feng rozpoznawał obłoki, księżyc wiszący za wzgórzem, jezioro otoczone lasem, kwitnące pole itd. Wplątane w to były cyfry w języku chińskim, co nadawało całości pewien rytm, puls. Odgłosy wojskowego życia przycichały, rozlegała się tęskna muzyka, budząca w nim uczucie radości pomieszanej ze smutkiem.

Ukradkiem prowadził swoje dochodzenie wśród jeńców. Nieustanne bitwy dostarczały mu zakładników pochodzących ze wszystkich regionów. Upłynęło jednak wiele czasu, zanim trafił na biegłego w chińskim piśmie. Od razu po pierwszym rzucie oka Chińczyk powiedział, że to zapis muzyczny utworu na cytrę, którego nuty składają się z cyfr i chińskich znaków.

Duo Feng wyobraził sobie, że to dziwne pismo wskazuje ukryty skarb księcia, który utracił swoje miasto i swoją głowę. Nie był mu znany ani dźwięk, ani kształt instrumentu zwanego cytrą. Ze złości chciał wrzucić pergamin do ognia, w końcu jednak zachował go, myśląc, że jeśli żołnierz mu go powierzył, to na pewno ze względu na jego wartość.

Minęły lata, Duo Feng awansował coraz wyżej. Kiedy już miał prawo dyktować swoją wolę, rozkazał żołnierzom, by znaleźli mu cytrę i sprowadzili jeńca, który umie na niej grać. Żołnierze znosili wszelkie rodzaje chińskich instrumentów, podobnych do rur, rogów, kotłów, pagod - z drewna, ze skóry z trzciny, z metalu. Duo Feng był zachwycony ich kształtem i dźwiękami, jakie wydają; gdy tylko miał wolny czas, rozkładał je na części, aby zrozumieć, w jaki sposób mogą wydawać takie dźwięki. Kołeczki, główki, strunociągi, pudła rezonansowe, płyty, zapamiętywał ich budowę, nie znając nazwy.

W czasie między bitwami spędzał w ten sposób spokojne chwile, rozkoszne jak miseczka owczego mleka. Kiedy jakiś żołnierz Xianbei uparcie grał na flecie o zachodzie słońca, od-

powiadał mu Chińczyk dmuchający w xiao, wielki bambusowy flet trzymany pionowo. Te melodie, na które kiedyś nie zwracał uwagi, teraz przepełniały jego serce rozrzewnieniem. Muzyka pozwalała mu zapomnieć o bólu ran i zmęczeniu mięśni. Spowijała go i rozluźniała nogi i głowę. Muzyka była jak słońce wędrujące po niebie, jak wiatr, który ukwieca pola, widzialna i słyszalna dla wszystkich, którzy pragną doświadczyć jej zbawiennego wpływu.

Tymczasem żaden żołnierz nie przyniósł mu cytry. Duo Feng doszedł do wniosku, że jest bardzo cenna i rzadka, i że tak jak kolor purpurowy zarezerwowany jest dla cesarzy, a jedwab zakazany dla plebejuszy, instrument ten nie jest dostępny dla zwykłych śmiertelników. Tak więc nuty spisane na baraniej skórze stały mu się jeszcze droższe.

Wytrwałość jest drogą do szczęścia, przypadek jego objawieniem. Po splądrowaniu pewnego miasta w odległej krainie Zachodu żołnierze Duo Fenga zawiadomili go, że trafili na Chińczyka, który mieszka w domu o ścianach obwieszonych instrumentami muzycznymi. Pospiesznie się tam udał. Żołnierze powstrzymali się przed podpaleniem domu i ulicy, przy której mieszkał lutnik. W oczekiwaniu na dowódcę przywiązali Chińczyka do drzewa na środku podwórka. Duo Feng kazał swoim ludziom wyjść. Uwolnił lutnika, poprosił, żeby usiadł, i rozłożył baranią skórę.

Chińczyk długo się trząsał, zanim odzyskał spokój. Jego zatrwożone spojrzenie wędrowało od księgi do Duo Fenga, po czym zatrzymywało się na nutach. Bardzo szybko przebiegł wzrokiem tajemnicze pismo, potem przeczytał jeszcze raz. Mruczał coś i poruszał prawą ręką, by zaakcentować niewyraźne słowa. Jego twarz rozjaśniała się i wykrzywiała, w miarę jak napotykał jakieś trudności w odczytywaniu.

- Niemożliwe - szeptał, drapiąc się w głowę.

Patrzył przed siebie, powracał do lektury, rękami wystukiwał rytm.

- Rzeczywiście...! Nie do wiary... Nigdy bym nie przypuszczał...

Zamilkł, ściągnął brwi. Tupnął nogą. Nagle rzucił się na podłogę i zaczął bić pokłony przed Duo Fengiem.

- Panie generale, proszę mi pozwolić zagrać na mojej cytrze!

Cytra! Duo Feng zadrżał z radości. Chińczyk pobiegł do domu i wrócił z drewnianym instrumentem o kształcie wydłużonego liścia bananowego, na trzy palce grubości i pięć stóp długości. Nastroił po kolei każdą z siedmiu strun i zaczął grać, patrząc w nuty.

Duo Feng zapomniał o prowadzonych wojnach. Głębokie, niskie dźwięki płynące z cytry wstrząsnęły nim jak wiatr, który porusza drzewem i wprawia w drżenie wszystkie liście. Uniósł twarz. Nad nim rozciągało się błękitne bezchmurne niebo. Od bardzo dawna nie oglądał piękna nieba! Muzyka dalej rozbrzmiewała, ale cisza, jak gorące źródło, rodziła się w jego sercu i rozlewała na całe ciało. Dotychczas nigdy nie wsłuchiwał się w ciszę!

Słońce powoli toczyło się ku zachodowi. Kiedy zapadła ciemność, na podwórzu ustawiono stół. Duo Feng i lutnik pili jak długoletni przyjaciele.

Duo Feng opowiadał, skąd wzięł nuty, i pytał Chińczyka, co to za muzyka jest w nich zapisana. Trochę już podpity lutnik wykrzyknął:

- Pełna wersja Ballady Świętego Grobu! Zastanawiam się, jakim cudem mogła ocaleć z kolejnych wojen, które pustoszyły Równinę Środka i kim jest człowiek, który spisał ją na baraniej skórze!

Widząc, że Duo Feng jest zupełnie zbity z tropu, wyjaśnił:

- Niedługo poeta Ji Kang utrzymywał, że kapłanka widmo podyktowała mu Balladę Świętego Grobu. Skazany na śmierć

przez cesarza Sima Zhao z Zachodniej Dynastii Jin, zagrał ten utwór w miejscu swojej egzekucji i krzyknął: „Mój siostrzeniec Jiu Ni bardzo chciał poznać ten utwór, ale ja nie zgodziłem się go nauczyć. I teraz ballada umiera ze mną!”. Po jego śmierci odnaleziono wiele wersji pod takim samym tytułem. Moja rodzina przechowywała jedną z nich. Daleko jej jednak do finezji i ducha wersji zapisanej w pańskiej księdze!

Duo Feng dowiedział się, że sztuka lutnicza przekazywana jest z ojca na syna, że przodkowie Shen Qinglina żyli w Chang An, gdzie wytwarzali cytry dla cesarzy. Kiedy stolica Chang An wpadła w ręce Xongnu, jego rodzina poszła z falą masowej chińskiej emigracji i musiała przekroczyć rzekę, aby znaleźć schronienie na Południu. Na brzegu Jangcy jego prapradziadek postanowił zawrócić. Powiedział dzieciom:

„Biblioteki się spaliły, uczeni zostali wymordowani, pałace popadły w ruinę. Czy można mieć pewność, że rzeka Jangcy stanowi wystarczającą przeszkodę dla ofensywy wojsk koczowniców? Zostańmy tutaj, ukryjmy się w jakimś miasteczku. Sztuka lutnicza przechowa się w naszej rodzinie. Jeśli wkrótce zabraknie książek, skończy się poezja, malarstwo, w niegdyś chińskich miastach znikną cytry, my będziemy ostatnimi strażnikami”.

Wszedł księżyc, dwaj mężczyźni nieustannie napełniali szklanki. Duo Feng dowiedział się, że dziesiątki lat później rodzinie Shenów nie powiodło się już tak dobrze i że Shen Ojnglin miał trzy córki, ale nie miał syna, któremu mógłby przekazać sztukę lutniczą. Trochę pijany Duo Feng wykrzyknął:

- Możesz mnie wziąć na ucznia.
- Pana?

Shen Qinglin szeroko otworzył oczy i wybuchnął śmiechem.

- Cytra jest instrumentem boskim! Został stworzony przez boga Fu Xi dla ludzi dobrych i spokojnych. Xianbei rabują, palą i mordują. W czasach Dynastii Zachodniej Jin gubernator

miasta Yo wpuścił armię Xianbei na Równinę Środka. Xianbei uprowadzili tysiące Chinek, połowę dla własnej przyjemności, drugą połowę do napełnienia brzucha. Kiedy gubernator zorientował się i domagał się zwrotu ośmiu tysięcy ocalałych kobiet, Xianbei, nie mogąc zjeść ich wszystkich naraz, utopili je w rzece Yi, która zatkała się na długie miesiące...

Duo Feng uśmiechał się i mu nie przerywał. Na południe od rzeki, tak jak i na północy, Xianbei budzą strach, są zniechęceni, porównuje się ich do potworów i do dzikich zwierząt. Generałowie Xianbei jednak nie dementują legendy o swoim okrucieństwie, bo działa odstraszająco na wroga i skłania do kapitulacji.

Chińczyk mówił dalej:

- Kiedy Ran Mi zniszczył królestwo Zhao Północne\*, założone przez plemię Xongnu z Zachodu, uwolnił pięćdziesiąt tysięcy Chinek, które miały być mięsem dla armii Xongnu. Gdy Ran Mi został pokonany przez wojska Xianbei, żołnierze Xianbei zrobili użytek z pięćdziesięciu tysięcy kobiet, zjadając je dla przetrwania zimy. Podobno na wiosnę w okolicy miasta odkryto górę kości... Mówią też, że kiedy chan Tuobuo Shuo utworzył trzydziestotysięczną armię złożoną z żołnierzy Xianbei, by zaatakować królestwo Song Południowe\*\*, w ogóle nie zajął się sprawą zaopatrzenia w żywność. Jego armia żyła z grabieży, a kiedy nie mogła zdobyć zboża, zjadała ludzi...

- Chcę nauczyć się grać na cytrze - rzekł Duo Feng. - Jeśli odmówisz, ta ulica zostanie spalona, a ty i twoi sąsiedzi skończycie na ruszcie.

Chińczyk zbladł. Opuścił głowę i jednym haustem wypił sporą porcję wina. Płyn wlał się do ust i rozszedł w piersi. Chińczyk wziął cytrę, wskazał palcem części instrumentu.

\* Królestwo Zhao Północne: lata 319-351.

\*\* Królestwo Song Południowe: lata 420-479.

- Na początku cytra miała tylko pięć strun - powiedział.  
- Pierwsza struna, *gong*, odpowiada Ziemi, która karmi cztery pory roku. Składa się z osiemdziesięciu i jednej jedwabnej nitki, to najgrubsza z siedmiu strun. Daje niski ton, dostojny, reprezentujący króla. Druga, *shang*, odpowiada metalowi i jesieni. Zrobiona jest z siedemdziesięciu dwóch jedwabnych nitek, daje dźwięk jasny. Jest symbolem ministra. Trzecia, *jiao*, to drzewo i wiosna. Składa się z sześćdziesięciu czterech jedwabnych nitek. Na wiosnę świat się odradza. Jak łodyżki wysuwające się z ziemi, by wyrosnąć, trzecia struna jest delikatna. Drży, gdy tylko ją tknąć. Dlatego też symbolizuje lud. Czwarta struna, *hut*, to ogień i lato. Ma pięćdziesiąt cztery jedwabne nitki. Jej dźwięk opisuje obfitość i pomyślność. Symbolizuje Żywioły. Piąta struna, *yu*, to woda i zima. W zimie liście opadają, ziemia się obnaża. Świat traci swoje barwy ochronne i się odsłania. Ta struna symbolizuje żywych. Szósta struna została dodana przez cesarza Wen ze starożytnej dynastii Zhou\*. Siódma zaś przez cesarza Wu z dynastii Zhou\*\*.

Lutnik odwrócił cytrę.

- Dźwięki pochodzą z tego pudła rezonansowego, zbudowanego z dwóch sklejonych ze sobą drewnianych rzeźbionych płyt. Lutnik pracuje bez emocji. Zimny, precyzyjny, spokojnie przycina drewno, stosując miarę ustaloną przez przodków, szlifuje płaską powierzchnię, wypukłość i odpowiednią proporcję, która pozwoli wydobyć tony naśladujące wiatr, grzmot, plusk spadającej wody i wschodzące gwiazdy... Tutaj jest „jezioro smoka”, a tu „bagno feniksa”. Wewnątrz niedostrzegalna dla oczu jest „niebiańska kolumna” i „ziemska kolumna”. Wibrują, szeleszczą, dźwięczą, tworzą ciszę słyszalną dla duszy. Mając

\* Cesarz Wen z dynastii Zhou (1099 r. p.n.e. - 1050 r. p.n.e.) jest założycielem tej dynastii.

\*\* Cesarz Wu z dynastii Zhou (ok. 1087 r. p.n.e. - 1043 r. p.n.e.) obalił dynastię Shang i panował nad Chinami.



uszy przyzwyczajone do wojennych bębnow, ręce i nadgarstki, które znają tylko rozmach miecza, serce bijące pragnieniem zdobywania i zemsty, człowiek nie jest w stanie przekształcić drewna w cytrę.

Uważnie patrząc w twarz Duo Fenga, starał się go zniechęcić:

- Przeciwnie niż sheng, xiao, di, pipa, ruan, niż instrumenty dęte, strunowe szarpane i perkusyjne, cytra nie znajduje swojego miejsca w orkiestrze. Ucieka przed tłumem, nie godzi się, by słuchał jej byle kto. Cytra jest początkiem człowieka, a nie ozdobą jego talentu. Cytra nie gra dla rozrywki, ona budzi refleksję. Człowiek mądry gra na cytrze dla siebie, z dala od towarzystwa. Cytra kształtuje umysł, oczyszcza serce, wysubtelnia gust, wykuwa charakter, zmienia osobowość. Przyjemność, jaką daje, jest umiarkowana, bo jest nie do opisania i nieuchwytna. To nie upojenie blaskiem, emocją, melodią, żywiołowością tańca czy żarliwością modlitwy...

Widząc, że Duo Feng nie reaguje na te słowa, dodał:

- Życie jest snem. Cytra ożywia umysł i rozprasza złudzenia... Nie jest stworzona dla wojowników. Jeśli chce pan się rozluźnić i zabawić, proszę iść do kobiet...

Sądząc, że zdołał go przekonać, Shen Qinglin zażartował z ironią:

- Miecz tnie i zabija. Cytra myśli i oddycha. Cytra nie jest ekspansją siły, lecz jej unicestwieniem. Gdybym pana nauczył sztuki lutniczej, porzuciłby pan wojnę dla muzyki.

- Nie jestem człowiekiem słowa - rzekł Duo Feng. - Ale podoba mi się to, co od ciebie słyszę. Daję ci jeden wieczór na spakowanie się. Wyjeżdżamy. Będziesz moim mistrzem, będziesz jadał mięso, pił wino i nikt nie wyrządzi ci krzywdy.

Zbity z tropu Shen Qinglin przez chwilę zachował milczenie. W końcu postanowił:

- W takim razie mam tylko jeden warunek. Artystyczne umiejętności naszej rodziny przekazywane są z ojca na syna.

Muszę pana adoptować, pan musi zrzec się swojego nazwiska i przyjąć moje, Shen. Jeśli pan odmówi, wyjadę z panem, ale zabiję się, gdy tylko przyjdzie odpowiedni moment.

Xianbei nie wierzą w nieuchronność losu, lecz w przypadek. Świadomi tego, że śmierć tnie szybciej niż szabla, idą za porywem duszy i nie marnują ani jednej chwili. Duo Feng natychmiast przystał na propozycję Shen Qinglina.

Trzy lata później, w potyczce z Xianbei z Zachodu, Duo Gu został zdradzony przez swoich podoficerów. Zaszli go od tyłu, uśmiercili gradem strzał, obcięli głowę i ofiarowali ją królestwu Xianbei z Zachodu. Kiedy Shen Feng dowiedział się o śmierci kuzyna, zamienił się ze strażnikiem na ubrania i uciekł w głęboką noc, wraz ze swym mistrzem. Chiński lutnik miał rację. Muzyka oderwała go od wojen, ale musiał dalej walczyć dla swego kuzyna. Jego śmierć zwolniła go z przyrzeczenia. Odzyskał wolność i postanowił wyjechać na Południe.

- Moim krajem jest Północ, chociaż nie należy już do Chińczyków - westchnął mistrz. - Dlaczego miałbym opuścić moją ziemię? Żyć pośród wrogów? Nawet jeśli sławimy ogrody i słynne świątynie Południa, wolę śnieżne burze i chleb nadziewany baraniną pieczonym mięsem!

Shen Feng puszczał mimo uszu jego skargi; udał się ku rzece i tam spotkał dawnych żołnierzy Xianbei, którzy zostali piratami. Wtajemniczyli go w swój zamiar przeprawy przez wody, które są tak niebezpieczne, że nie ma tam okrętu straży granicznych z Południa.

Noc była bardzo ciemna. Fale wpadały w skaliste koryto pośrodku wąskiego przełomu. Spiętrzenia wody miażdżyły dzonki przepełnione ludźmi, którzy marzyli o nowym życiu, Shen Feng wypadł z łodzi.

Kiedy odzyskał przytomność, z nieba padał drobny deszczyk. Strome brzegi pochylały się nad nim, zdawało się, że coś

między sobą szepczą. Przez długie dni błądził po wybrzeżu, nie odnalazł jednak ciała swojego mistrza. Przodkowie Shen Qinglina zabronili swoim potomkom przeprowadzania się przez rzekę Jangcy. Ich dusze zapewne zatrzymały Shen Qinglina na Północy. Shen Feng uniósł splecione ręce na wysokość brwi, pochylił się w głębokim ukłonie w kierunku Północy i zapuścił się w góry.

Kraina, za którą poniosły śmierć nieprzeliczone rzesze żołnierzy Xianbei, rozpościerała przed nim swe gigantyczne bambusowe lasy, wzgórza zabarwione purpurą przez kwitnące rododendrony. Wędrował całe dni po ścieżkach wiecznie osłoniętych cieniem, gdy nagle słońce rozjaśniło dolinę. Południowe zbocze pokryte było muślinowymi kwadratami o różnych odcieniach zieleni. To nieznaną mu rośliną, uprawianą tarasowo. Shen Feng dowiedział się później, że to pola ryżowe.

W jakimś miasteczku pewien handlarz solą zatrudnił go jako strażnika i razem wyruszyli w drogę. Co dziwne, takie zdarzenia losu powtarzały się jak piosenka grana na cytrze. Od jednego ryzykownego przypadku do drugiego, Shen Feng wędrował na Południu w ten sam sposób jak kiedyś, będąc młodzieńcem, podróżował po Północy.

Pozbył się skórzanych butów, nosił drewniane saboty. Rozplótł włosy uczesane na modłę Xianbei i zrobił sobie koczek według mody z Południa. Milczał, by ukryć swój akcent, spuszczał wzrok, bo mówiono, że ma krwiożercze spojrzenie. Na Południu głosy są łagodne i śpiewne. Zraszani mgłą mężczyźni i kobiety mają cerę jaśniejszą i delikatniejszą. Żywią się ryżem, a nie chlebem, a ich kluski są cieniutkie jak włosy.

Chociaż skapane w listowiu i kwiatach, miasta były tak samo naznaczone piętnem wojny jak miasta Północy. Świątynie, kanały, mosty, pawilony przybliżały się do Shen Fenga jak smutne senne cuda i szumiały tęskną melodię. Od czasu do czasu spotykał Xianbei i Xongnu, którzy uciekli z Północy. Podczas gdy

w jego kraju Chińczycy byli uważani za rasę niższą, na Południu koczownicy podejmowali się wszelkich upokarzających i niebezpiecznych prac, których nie chcieli wykonywać Chińczycy.

Po zdetronizowaniu wuja i obaleniu dynastii Qi Xiao Yan został cesarzem z dynastii Liang\*. W młodości był bezlitosnym wojownikiem, który prowadził wojny z Xianbei i z cesarstwem Wei. Na stare lata zaczął zaniedbywać sprawy państwowe, lubił już tylko sztuki i buddyzm. Za jego panowania malarstwo było metaforą poezji, a wiersze pokazem erudycji. Cytra była ulubionym instrumentem cesarza, który stał się człowiekiem refleksyjnym. Za jego przykładem urzędnicy i oficerowie z Południa uczyli się muzyki, a w stolicy Jian Kang najlepsi lutnicy dyktowali kanony elegancji.

Nazwisko Shen Fenga stało się znane, bo obrabiał drewno według starych metod, które na Południu zanikły. Jego cytry nosiły dźwięczne nazwy, zabarwione nostalgią za Chinami Północnymi: „Grom pustyni”, „Las piniowy”, „Iskrzenie śniegu”, „Galop dziesięciu tysięcy koni”, wszystkie wydawały subtelne tony, które wyciszały rozgorączkowane dusze. Ich spokojne, unoszące się, krążące w powietrzu podźwięki przebiły się przez zgiełk ulicznych tłumów w Jian Kang i doszły do uszu Cesarza. Zdziwiony, że Xianbei może być lutnikiem, Xiao Yan wezwał go do pałacu i rozmawiał z nim o nietrwałości tego nędznego padołu i boskości cytry. Zamówił dwie cytry, które nosiły imiona: „Wzlot białych żurawi” i „Ospałe obłoki”.

Młody lutnik nie pamięta swoich rodziców. Jego mistrz powiedział, że kiedy znalazł go na drodze, płakał nad kobiecym ciałem, które zaczynało się rozkładać. Był zaledwie trzyletnim dzieckiem. Cały drżał i miał gorączkę. Głód ścisnął mu brzuch, pragnienie paliło w gardle. Mistrz wziął go na barana, nie

\* Dynastia Liang: lata 502-557.

pozwolił mu jeść. Ugotował korzonki, korę z liśćmi i zmusił go do przełknięcia tych mdłych ziółek, które zabarwiały usta na czarno. Powiedział niepewnym tonem:

- Nazywasz się Shen Feng, „Wiatr”.

Niosąc go na plecach, doszedł do Jian Kang, cesarskiej stolicy. Zgiełk miasta przestraszył to zdziczałe dziecko. Chłopiec płakał, krztusił się. W jakiejś karczmie, pomimo krzyków i łez, lutnik przywiązał go do słupa i poszedł szukać pracy. Bicie dzwonów i gwar za każdym razem wywoływały u chłopca dreszcz; Shen Feng płakał, gryzł sznur, żeby uciec, krzyczał, że chce wrócić w góry, do małą. Nie rozumiał, dlaczego ludzie mieszkają między ścianami, a miasto to tylko mury, w których powybijali otwory, żeby wchodzić i wychodzić. Ludzie rozpychali się, a to budziło w nim strach. Zwłaszcza żołnierze i te ich wyrastające z głowy pióra, i ciała obłożone kawałkami brązu i skóry. Pędzili na koniach, przewracali kramy, bili szablami wszystkich przechodniów, którzy utrudniali przejazd.

Kiedy Shen Feng przyzwyczał się do odgłosów miasta, mistrz zabrał go ze sobą. Zatrudnił się na dużej budowie, gdzie rzeźbił filary, balustrady i drzwi do pałacu Cesarza Xiao Yan. Gdy wjeżdżały ogromne pnie tysiącletnich drzew, mistrz wpadał w zły humor. Odcinać konary, zdierać korę, aby drzewa przekształcić w słupy i dźwigary - sprawiało mu to ból. Shen Feng pamięta, że po zapadnięciu zmroku, z pomocą dozorców, którzy dostawali pewne sumy za odsprzedaż, rzemieślnicy brali sobie kawałki cennego drewna. Przeważnie robili z nich meble, aby sprzedać je na targowisku, natomiast mistrz zabierał się do rzeźbienia instrumentu muzycznego.

Dwa lata później mały Shen Feng ubrany w miękką bawełnianą tunikę dreptał ze swoim mistrzem, który zanosił cytry do bogatych klientów. Nie mieszkał już w pokoiku w oberży, zajmował dom z małym ogrodem. Shen Feng, jego uczeń, potrafił już wyheblować drewno, ukreślić jedwabne nici i rozprowadzić

lakę. Pod okiem mistrza, który piłował i polerował, wolno mu było wycinać malutkie cytry, które służyły mu za zabawki. Pewnego dnia ujrzał wjeżdżające do miasta oddziały dziwacznie ubranych żołnierzy. Pobiegł zawołać mistrza, a ten na widok jeźdźców znieruchomiał z radości i ze strachu. Rozpoznał ubioru żołnierzy Xianbei.

Dynastia Liang była tak krótkotrwała jak dynastie ją poprzedzające. Cesarz Xiao Yan, żarliwy buddysta, ogolił głowę i wstąpił do klasztoru, by zostać mnichem; wyszedł stamtąd dopiero pod presją swego Dworu. Zgodził się udzielić schronienia generałowi Hou Jing z Północy, otworzył granicę dla jego armii, sądził bowiem, że jednocząc wspólne siły, będą mogli odzyskać Północ. Ale Hou Jing zwrócił się przeciw niemu.

Jian Kang stanęło w płomieniach. Uchodząc z tłumem uciekinierów, Shen Feng i jego mistrz uniknęli masakry dokonanej przez żołnierzy Xianbei. Przez pewien czas żyli na rzece z piratami, którzy nauczyli Shen Fenga swych smutnych piosenek.

Hou Jing głodził Cesarza Xiao Yana, aż ten umarł z braku pożywienia. Chińscy gubernatorzy zbuntowali się przeciw niemu. Hou Jing zginął podczas jednej z bitew. Chiński wojskowy, Chen Ba, skorzystał z zamętu wojny domowej, aby zagarnąć cesarską stolicę. Wstąpił na tron i założył nową dynastię, dynastię Chen.

Lutnicy nie mieli domu, ich fach nie przynosił już dochodów. Shen Feng wzrastał w mrocznym świecie. Wszędzie, gdzie poszli, widzieli tylko spalone miasta, opuszczone wsie, pola bez zbiorów. Wzdłuż rzeki ludzie wycinali drzewa i drażyli kamieniołomy, by wzniesć nowe pałace.

Noc dobiegała końca, ale w nowo wstającym dniu także nie było promyka nadziei.

Zimą mróz paraliżował stopy Shen Fenga, wżerał się w nogi. Latem pchły, komary i pijawki spijały jego krew. Z trudem drepował przed i za mistrzem, rozcierał skórę i drapał się. Pod wpływem

kultury Południa mistrz stał się żarliwym buddystą. Pewnego dnia powiedział do chłopca:

- Shen Feng, wczoraj wieczorem ukazał mi się we śnie Budda. Powiedział do mnie: „Wojna przemienia życie w śmierć. Musisz przekazać poprzez muzykę mój głos pokoju. Znajdę wam mieszkanie. Musicie znowu zacząć konstruować cytry”.

Trzy dni później dotarli do Jing Ko. Dopiero co przeszła tam burza, pomarańczowe promienie przebijały mgłę. Chmury przeczały się, krążyły. Purpurowe żagle statków wyłaniały się z szarówki portu. Na horyzoncie góry Siła Północy wyprężyły się w swej zielonej wzniosłości, otoczone czarnym tumanem chmur ciężkich od pary i deszczu. Wyżej słońce błyszczało jak złota perła. Mistrz przystanął, uniesiony zachwytem:

- Ludzie wpadli w pomrokę ignorancji. Ale dla mnie zajaśniała światłość Buddy. Chodźmy w stronę tych gór, zbudujemy tam dom.

Góry Siła Północy kryją wioski zbudowane przez chłopów, którzy uciekli przed wojną i podatkami. Ich życie toczy się rytmem słońca, harmonizuje z porami roku, płynie w zwolnionym tempie z dala od dzikości rzeki i tumultu miast. Uczeń już przerósł swego mistrza o pół głowy, a w obróbce drewna mu dorównał. Czas ucieka jak wystraszona łania. Obydwa królestwa Wei upadły i zostały zastąpione przez dwie nowe dynastie - Zhou i Qi. Stary lutnik nie ma już ojczyzny. Shen Feng nie rozumie, dlaczego miałyby wracać na Północ.

Słońce zaszło za horyzont. Młody lutnik wyciera łzy. Przykuca pod wiśnią przy pokrywie sarkofagu. Dostrzega, że jego mistrz nakreślił palcem słowo „miao”. Shen Feng bierze szmatkę, wyciera deskę. Jest lekko wybrzuszona pośrodku, ma zgrabny kontur, piękne tworzywo. Pokryta warstwą czarnej laki nadzwyczajnej jakości, odbija jeszcze światło zachodu słońca. Shen Feng przypomina sobie pewną rozmowę z mistrzem.

„Drewno trumny, powiedział stary lutnik, jest niedobre, jeśli służyło osobie o słabej naturze.

- Gdzie znaleźć trumnę, która należała do dobrego człowieka?  
- odparł. - Za życia człowiek mądry może czynić dobro i odrzucać zło. Po śmierci gnijący, uwolniony od moralności i prawa, ogołocoony z dobra, które służyło mu za ubranie, czyż nie jest szkieletem tak jak inni?”.

Shen Feng głaszcze deskę dłonią. Dziwi go, że nie odczuwa chłodu drewna, które nie widziało słońca od ponad trzech dynastii. Uderza w sam środek, co wywołuje serię odbitych, donośnych dźwięków.

Drewno jest żywe. Czy to właśnie mówi słowo „miao” napisane przez mistrza? Czy „miao”, przymiotnik, który opisuje piękną, pełną wdzięku kobietę, zapowiada cudowną cytrę? Shen Feng jest przyzwyczajony do zadawania pytań i otrzymywania odpowiedzi. Przyzwyczajony do naśladowania i służenia. Cisza wokół domu przypomina mu o nieobecności starego lutnika, który nie będzie już jego przewodnikiem.

Żałuje, że pozwolił mu odejść. Powinien był biec za nim, złapać go, powstrzymać siłą i łzami.

Zapada noc, zrywa się wiatr, czai się smutek. Szum bambusów przypląwa z doliny.



Pięć

## ***Rok 406, Wschodnia Dynastia Jin***

Delikatne ręce rozwijają obraz. Nieustające strugi rzeki Jangcy przepływają jej między palcami. Żaglowce i barki krążą w obu kierunkach, a miasta, wioski, świątynie, mosty, wzgórza, szczyty służą za oprawę. Na obrazie jest pokazany tylko dostatek południowego wybrzeża. Północny brzeg, chociaż tu niewidoczny, jest wszechobecny. Rzeką Jangcy stanowi granicę, baśniowy pejzaż Południa jest pochwycony spojrzeniem nieustannie skierowanym na ziemię Północy.

Wzdłuż rzeki następują po sobie na zmianę wojna i pokój, jak powolne pocieranie i krótkie szarpanie cytry, jak zmiany pogody wyznaczające cztery pory roku. Gdy używa się pędzelka z włosków wiewiórczego ogona, nawet wojna nabiera łagodnej barwy. Wojownicy z rozkraczonymi nogami, zawiniętymi rękawami, zmierzwioną brodą, przekrwionymi oczami to małe marionetki historii. Wśród żołnierzy Południa są Barbarzyńcy, którzy noszą pancerze ozdobione tygrysimi skórami i dosiadają rumaków przystrojonych trupimi główkami. Pod murami jedni wypychają taranem bramę, inni kopią tunel, który zaprowadzi ich bezpośrednio do środka miasta. Podbite miasto przedstawia rozpaczliwy widok, lecz rozpacz znika, gdy widać takie sceny: rybacy zarzucają sieci w rzece, ptaki wzlatają, rozkwitają doliny. Mijający czas nieubłaganie przemienia śmierć w życie, smutek w radość, w mieniające się odblaski na brzegach.

Wyłania się łańcuch urwistych klifów. Fale unoszą się wysoko i opadają, rozpryskując się na skałach. Wzburzona rzeka pozwała się domyślać, że Północ i Południe zbliżyły się do siebie i bacznie się obserwują przez wąski przełom. Gdy miną zwężenie, fale już się nie kłębią, nurt się rozwleka, przemienia w szeroką płaszczyznę wody i zwalnia. Północ i Południe znowu nabierają do siebie dystansu i obserwują się z daleka. Zima nadchodzi od Północy. Akwilon niosący śnieg i szron ogrzewa się, przekraczając rzekę Jangcy, i staje się lekką bryzą po dotarciu do przeciwnego brzegu. Lato wpada od Południa. Nieustające deszcze w porze zielonych śliwek zalewały pola ryżowe, parowały nad rzeką i rezygnowały z opanowania Północy.

Nieopodal miasta Jing Kou, u stóp gór Siła Północy, rzeka rozlewa się w zatokę, w której pływają wielobarwne łodzie. Droga wspina się stromo w górę, dochodzi do klasztoru Wielkiej Litości, już w chmurach. Na stopniach otoczonych skałami i stuletnimi drzewami młody człowiek niosący cytrę unosi spojrzenie, aby rozejrzeć się po lesie. Uchwycony z profilu, raz wygląda, jakby szedł pod górę, to znowu jakby schodził. Dokąd zmierza? Czy to pielgrzym idący do klasztoru? Ma wysmukłe ciało, twarz zwróconą w stronę gór. Chociaż nie widać wyrazu twarzy, zarys ramion i nieugiętość karku wyrażają jego wątpliwości i niezłomność. Pod stopami ma przepaść. Błądząc pomiędzy niebem a ziemią, poszukuje jakiejś przystani, ognia, nadziei. Matka wzdycha. Małżonek jest daleko, jego ambicje stanowią zagrożenie dla ich życia. Tak jak młodzieniec, znieruchomiały pod ciężarem nieznanej przyszłości, ona także nie wie, czy dotrze do światła czy do przepaści.

Matka ciągle rozwija obraz. Zarysowuje się port z jego nieustającym ruchem. Rybackie łodzie gromadzą się wokół okrętów wojennych i statków handlowych. Na nabrzeżu uwijają się tłumy tragarzy. Wozy i konie kierują się w stronę Jing Ko. Wysokie, całkiem nowe mury tego miasta górują nad okolicą.

Białe i czerwone chorągwie z wyhaftowanym imieniem „Liu” powiewają między blankami murów i łopoczą na wietrze. Z sześcioma bramami strzeżonymi przez żołnierzy ufortyfikowane miasto ma kształt żółwia pokrytego solidnym pancerzem. Za murami, po wąskich uliczkach, krąży ożywiony tłum, który gęściej pośrodku skrzyżowań, przed sklepami i przy wejściach do świątyń. Pieszo lub konno - to mieszkańcy, podróżni, żołnierze, pielgrzymi, żebracy, kurtyzany.

Miasto Jing Ko, słynny fort wojskowy, odzyskało swój dawny blask. Od czasu gdy gubernator zbiera tytuły szlacheckie i funkcje na cesarskim Dworze, Jing Ko, brama rzeki, stało się bramą władzy. Wszyscy, którzy pragną zrobić karierę w wojsku, wszyscy, którzy chcą przywdziać jedwabne tuniki, i ci, którzy marzą o jakiejś nadzwyczajnej fortunie, osiadają tam w nadziei na zbliżenie się do ich władcy i przychylność jego kochanki.

Zamiera ruch w dolnej części miasta, panuje uroczysty spokój w górnym mieście. Rezydencja gubernatora nie jest już zarośniętym chwastami, opustoszałym miejscem ze zrujnowanymi pawilonami. Tam, gdzie leżały ciała poległych, rozkwitły ogrody. Pałac wzniesiono według projektu Matki; plany uwydatniały majestatyczne dachy, osłaniające człowieka, który dyktuje swą wolę Południowym Chinom.

Dom, jak mawiał jej dziadek, odzwierciedla konfigurację sił energetycznych jego mieszkańców. Rozmieszczone zgodnie z prawem harmonii pawilony nasycają człowieka moralną i duchową inspiracją. Matka chciała, żeby wejście do rezydencji odpowiadało głowie: przy głównych drzwiach, przeznaczonych wyłącznie dla małżonka i jego urzędników, pełnią straż dwa rzędy alabastrowych lwów i żołnierze ubrani w biało-żółte stroje. Drzwi otwierają się na dwie sale recepcyjne, jak rozchylające się usta. Droga wybrukowana rzeźbionymi kamieniami stanowi „nos”, który prowadzi do pawilonów administracyjnych, czyli do „oczu”, a potem na przestronne podwórze, otoczone piętrowymi

pawilonami, w których pokoje pełne są książek i dokumentów. Biblioteka jest „czołem”.

Część centralna dzieli się na dwa człony. W miejscu „płuc” znajduje się plac ćwiczeń i stajnia. Na miejscu „serca” jest sanktuarium, w którym małżonek oddaje cześć przodkom i opiekuńczym bóstwom. Wszędzie w rezydencji widać drzewka owocowe, skalne ogródki, kwiaty, natomiast w samym sanktuarium są tylko porosty i stuletnie cyprysy, wydzielające cierpką woń. „Skromne, wielkoduszne, szlachetne i pokorne powinno być serce człowieka”, mawiał jej ojciec.

Wysoki mur oddziela część oficjalną od części przeznaczonej do życia rodzinnego. „Brzuch” składa się z pawilonów otoczonych bambusami i granatowcami. Łączy je galeria pokryta freskami, wijąca się poprzez skupiska kwitnących krzewów, tak by można było przechadzać się, nie moknąc na deszczu. Jeśli Matce zdarza się wyjść, nigdy nie opuszcza domu głównymi drzwiami. Powóz przyjeżdża po nią pod wejście boczne. Pokryty ciemnoniebieską tkaniną dyskretnie wiezie ją do miasta, bez ujawniania jej tożsamości.

Matka z dumą nazywa tylną część posiadłości „Stopy”, dlatego że stopy dotykają ziemi i przekazują ciału telluryczną siłę. Wokół pokoi urządziła ogród, który odzwierciedla bezmiar przyrody. Ścieżki usiane barwnymi kamyczkami wyłowionymi z dna rzeki Jangcy oplatają „wzgórza”, czyli pomysłowe kopce ze skalniakami, mające przywozić na myśl spadziste klify i strome szczyty. Bujność płaczących wierzb, tungowców, śliw, drzew wiśniowych, karłowatych klonów robi wrażenie gęstego lasu. Prawie pionowe kaskady przemieniają się w źródła. Purpurowy most zwiesza się nad stawem, nad strzelistymi pędami lotosu, nad powierzchnią pokrytą nenufarami i dochodzi do trzypiętrowego pawilonu o podgiętym dachu.

Matka dyskretnie narysowała na obrazie siebie, jako sylwetkę w połowie zamazaną przez płataninę konturów i obfitość

kolorów. Jest to postać kobiety siedzącej na skraju tarasu pawilonu wodnego, bawiącej się wachlarzem. Jej odbicie w stawie zwabia ławicę czerwonych rybek. Gdy przyjrzeć się uważnie jej odbiciu na wodzie, można odkryć pewną tajemnicę. Fałdy jedwabnej sukni miejscami są napięte, podkreślając zarys zaokrąglonego brzucha.

Matka jest w ciąży! Wszyscy medycy, którzy mierzyli jej puls, wszyscy astrologowie, którzy opracowywali jej układ gwiazd, przepowiedzieli chłopca. Namalowała swój autoportret, żeby uwiecznić to szczęście.

Przeciwnie niż córka Huiyuang, która długo nie miała imienia, Yifu, syn, został nazwany, zanim się urodził. Skulony w brzuchu, naciska na żołądek, wywołuje u Matki mdłości i radosny zawrót głowy. Codziennie przewija się przez dom tabun medyków, Matka przyjmuje dziesiątki leków, od rana do wieczora. Prezenty od gubernatorów, powinszowania od Cesarza i Cesarzowej, troska wojskowych i bieganina cesarskich posłańców drażnią Matkę, przywykłą do samotności. Nosi w łonie przyszłego najstarszego syna najwyższego komendanta, nie wie, gdzie się skryć. Yifu przybywa na świat, by odmienić jej życie. Będzie jej szczęściem i smutkiem, przyniesie spokój i lęki.

Na stoliku leży rulon unieruchomiony nefrytowym przyciskiem. Matka oddycha łagodnie. Włosy ma spięte w prosty kok. Na różową sukienkę włożyła niebieską tunikę, którą nosi jako bluzę do pracy. Zaciska usta, pochyla się, przesuwając lewą rękę na prawo, aby podtrzymać prawy przegub. Wyjątkowo cieniutkim pędzelkiem zaczyna malować swoją córkę bawiącą się w ogrodzie. Pędzelek głaszcze papier i zostawia na nim barwne ślady. Kropki, kreski przenikają się, przybierają kontury twarzy, fałdy sukienki. Pędzelek jeszcze się porusza, kreśli nos i oczy. Matka zaczyna malować brwi i włosy, gdy z tyłu dobiega zaniepokojony głos guwernantki:

- Proszę pani, medyk zabronił pani malować. Co pani robi?

Pędzelek nieruchomieje w powietrzu.

- Proszę pani, błagam panią, proszę się położyć...! Mamy niedobłą wiadomość.

- Służąca w kanclerskiej rezydencji w Jian Kang spodziewa się dziecka, to już potwierdzone - mówi męski głos.

Matka poznaje głos intendenta wojskowego.

- Medycy także przepowiadają chłopca!

W głowie jej się kręci, pędzelek wylatuje z ręki.

- Proszę, niech się pani nie przemęcza. Pani brzuch jest przyszłością naszego domu!

Ogarnia ją uczucie smutku, połączonego z rozpaczą i wrogością; siedzi bez ruchu.

Pojawia się służąca, jej głos łagodzi nastrój:

- Panienka wyszła z lekcji. Szuka pani!

Matka unosi głowę. Nie daje poznać po sobie emocji, odpowiada:

- Dobrze. Przygotuj herbatę i ciasteczka w pawilonie Wo-  
dy. Zaraz tam przyjdę.

Podnosi się z miejsca i każe czekającym przy drzwiach służącym wyczyścić talerzyki z farbami.

Wsparta na ramieniu guwernantki Matka idzie powoli alejką wybrukowaną mozaiką. Nadeszła wiosna, pszczoły i motyle dręczą różowe drzewa brzoskwiniowe i białe grusze. Słońce sący żłociste plamki na twarz. Światło słoneczne razi, Matka przymyka więc oczy. Na stawie dwie kaczki mandarynki czyszczą sobie piórka. Na jej widok ptaki stroszą się i płyną w jej stronę, trzepocząc skrzydłami. Służące usunęły przepie-  
rzenia spomiędzy kolumn, pawilon staje się teraz otwartym tarasem z rozległym widokiem na ogród. Sala ozdobiona jest tylko dwoma niskimi stolikami z czarnej laki, malowanym parawanem, który Matka zmienia w zależności od pory roku, i długim wazonem z wąską szyjką, w którym zawsze stoi tylko jeden kwiat. Poprzedniego dnia kazała zmienić w naczyniu

wodę i włożyła gałązkę gruszy. Białe płatki już się rozsypały na podłodze.

Kładzie się na jedwabnym dywanie, brzuch opiera na małej poduszce, łokieć na specjalnie dla niej zrobionym stoliczku, a głowę w zgięciu ręki. Na podeście schodów ustawiono niewielki piecyk. Służąca dmucha na rozżarzone węgle, żeby zagrzać źródlaną wodę, druga rozciera herbatę na proszek. Obie ubrane są na ciemnozielono, ich postaci zlewają się z bambusami w ogrodzie.

Matka jest znużona takim nadmiarem piękna. Kwiaty i drzewa rywalizują o jej względy, wydzielając delikatną woń. A ona przygląda im się ze ściśniętym sercem. Ich uroda przypomina, że dni uciekają, że jej wiosna ma się ku końcowi. Ale wieczna wiosna sprawia, że zastępują ją inne piękności, bardziej świeże, bardziej pachnące, bardziej zmysłowe. Mija wiosna za wiosną, a ona już nie jest tą samą kobietą. Serce nie tak ufne, oczy szerzej otwarte - znosi los narzucony przez męża jak motyl przyszpilony do ściany.

- Mamo, mamo!

Matka unosi wzrok, jej twarz się rozjaśnia. Nieco dalej, ścieżką porośniętą mchem i usłaną płatkami róż, idzie, podskakując, jej córka Huiyuang. Niemal biegnie. Guwernantka mocno trzyma ją za rękę i nieustannie przyciąga do siebie. Wiatr rozprasza jej besztający głos:

- Pani jest bardzo zmęczona. Nie można się na nią rzucać. Panienska może jej zrobić krzywdę...

Uwieszona na jej ramieniu Huiyuang hušta się jak małpka. Nagle wrywa się jej i wskakuje na schody, wołając:

- Mamo! Dzisiaj napisałam czterdzieści znaków! Nauczyciel powiedział, że były bezbłędne!

Guwernantka biegnie za nią.

- Panienko, już dość. Proszę pójść tędy!

- Mamo, mamo!

Krzyki Huiyuang wydały jej się bardziej melodyjne niż śpiew wilgi. Matka wreszcie się uśmiecha i rozkłada ramiona.



Odczuwa niepohamowaną chęć, by poczuć ciepło tego drobnego ciała.

I już Huiyuang jest na niej.

- Mamo, brakowało mi ciebie!

Matka mocno ją przytula i wdycha jej zapach młodej sarenki. Dziecko wtula się w matkę, by upajać się jej opiekuńczą czułością. Matka bierze dziecko w ramiona, obejmuje życie, które pulsuje w jego żyłach, i spija mu z oczu niewinność, dzięki której zapomina o wszystkich ziemskich strapieniach. Huiyuang jest cudem, a Matka ciągle nie może w to uwierzyć. Urodzona w oborze, pośród wojennej jatki, przeżyła wojnę, głód, choroby. Wyrosła na pulchną dziewczynkę, z mocnymi zębami i nóżkami, bardziej podobną do ojca. Ma jego cerę koloru brązu, skośne oczy, jego usta i charakter. Huiyuang jest ognistą kuleczką, która się iskrzy i żarzy.

- Dokąd pojechał tatuś? - krzyczy. - Kiedy wróci?

- Twój ojciec jest bohaterem, który musi dokonać wielkich czynów. Wróci, gdy odniesie kolejne zwycięstwo.

- Tatuś mi to dał!

Huiyuang otwiera rączkę, pokazuje małego nefrytowe-  
go żółwia. Matka bierze go i podnosi do światła.

- Chciał ci przekazać, że kampania niedługo się skończy, a on wróci z mnóstwem prezentów.

- Nie chcę żółwia, chcę jeździć z tatusiem na koniu!

Matka sadza córkę, podaje jej herbatę, ciasto i zadaje pytania na temat nauki.

Huiyuang obserwuje brzuch matki, nachmurzą się. Odwraca się plecami i opuszcza głowę.

- Dlaczego Yifu się chowa? Dlaczego się ze mną nie bawi? Odwraca się.

- Mamo, chcę siostrzyczkę!

## ***Rok 410***

Matka rozpina sukienkę i daje dziecku pierś. Yifu ssie i patrzy na nią uważnie, nie mrugając. Matka uwielbia tę chwilę, gdy świat przestaje istnieć, gdy jest tylko ona i Yifu, jak jeden oddech. Dlatego też nigdy nie chciała powierzyć synka opiekunkom. Chłopiec ma cztery lata, a ona dalej go karmi, jakby był niemowlęciem.

Czyż to nie bogowie tchną siłę witalną matki w ciało dziecka? Czyż matka nie starzeje się po to by syn się rozwijał? Yifu jest drugim cudem jej życia. Ma białą cerę, długi, płaski nos, migdałowe oczy, twarz w kształcie księżycy w pełni, wszystkie szlachetne rysy arystokracji z Równiny Środka. Przybył na ten świat dla chwały i szczęścia swego ojca, jest sukcesem, dumą swej matki.

Yifu urodził się w mieście Jing Ko, czterdzieści jeden dni przed swoim bratem Yizhen, synem konkubiny związanej z urzędem kanclerza cesarskiego miasta Jian Kang. Od tej chwili konkubiny stworzyły wrogi klan, spiskujący przeciw niej i Pierwszej Małżonce Zang, które nie mieszkają w stolicy. Młode, piękne i ambitne, z pogardą określają obie panie jako „wieśniaczki z Jing Ko”. Kwestionują prawowitość Yifu, oskarżają Matkę o oszustwo, twierdzą, że spłodziła dziecko z gwardzistą. Kpiły z Małżonki Zang, kiedy ta udała się do Jian Kang na cesarską audiencję, podały jej wystygłe dania i wpuściły szczury do jej pokoju. Przed rokiem Małżonka Zang zesza z tego świata z urazą i złością, a Matka straciła jedyną sojuszniczkę wobec męża, który nic nie

rozumie z kobiecych utarczek. Po jej śmierci Matka została podniesiona do godności Pierwszej Małżonki i odtąd cieszy się cesarskimi względami. Yifu został wyznaczony na następcę wielkiego kanclerza. Z jego powodu Matka jest bardziej niż kiedykolwiek obiektem zawiści.

W mieście Jing Ko, pełnym szelestu tunik i przymilnych powitań, Matka pragnie samotności i ciszy. Chociaż nie chce mieszać się do polityki, jest osaczona przez intendentów i urzędników, którzy niepokoją się manewrami klanu z Jian Kang. Ci wierni słudzy z pokorą kłaniają jej się do stóp i przynoszą wszystkie plotki zasłyszane w stolicy. Ich słowa, wypowiedane powoli, podobne są do łyków trucizny rozchodzących się w ciele i paraliżujących członki.

Jako Pierwsza Małżonka i matka następcy wielkiego kanclerza, musi wraz z dziećmi jechać do stolicy na każde cesarskie święto. Nie ukrywając wrogości, konkubiny przyglądają jej się, oceniają, krytykują jej suknie, biżuterię i jej zachowanie wobec zastępu służących. Matka musi zachować uśmiech, popłakać może sobie dopiero późną nocą. Na Dworze Cesarz i Cesarzowa obdarzają ją honorami i prezentami. Taka przychylność przysparza jej utrapień: rozsierdzone i rozgoryczone, pragną jej śmierci. Musi teraz kontrolować jedzenie, by uchronić się przed otruciem. Budzi się w środku nocy, przekonana, że widzi w pokoju zabójców...

Yifu przestał już ssać mleko. Kładzie głowę na udach Matki i zasypia.

- Mamo! Mamo!

Huiyuang odsuwa zasłonę i wpada do pokoju. Widząc Yifu, staje, po czym rzuca się w ramiona matki. Potrząsa bratem niedelikatnie.

- Obudź się, łeniuszku, już czas na lekcję gry na cytrze.

Służące rozstawiają stoliki i kładą przed Huiyuang i Yifu dwie cytry zrobione specjalnie dla nich.

Matka zaczyna lekcję od długiej modlitwy. Yifu i Huiyuang naśladując ją, składają rączki. Pewnego dnia wytłumaczy może

dzieciom, że w tej specjalnej modlitwie prosi o łaskę dla wszystkich niewinnych, którzy zostali zgładzeni przez jej małżonka, a ich ojca.

Wąski dymek z kadzidła ulatuje z naczynka wyrzeźbionego w złocie. Spiralny dym unosi się i wygina, przybiera kształt bogini w sukni z długim trenem, przemienia się w tabun galopujących koni, które stają się wałem chmur i rozpraszają się w stado dzikich gęsi. Kadzidło jest pismem duszy, jego dym unosi się między postrzegalnym a niewidzialnym. Jego kojący zapach jest rozkoszą samotności. Tak jak kadzidełko, muzyka jest swobodną metamorfozą, mówi Matka do swoich dzieci. Towarzyszy duszy w jej wznoszeniu się do nieba.

Yifu i Huiyuang zaczynają stroić instrumenty. Szarpie się dwie struny naraz. Struna jest nastrojona, gdy daje dźwięk harmonizujący z przeciwległą struną. Kiedy Yifu skończył trzy lata, Matka zaczęła uczyć go gry na cytrze, by ukształtować jego charakter zgodnie z zaleceniami dawnych mędrców. Świadoma tego, że syn otrzyma w spadku tytuły po ojcu, chce wychować go na władcę sprawiedliwego i zrównoważonego.

- *Qin*, siedmiostrunowa cytra, jest także *Jin* - to, co zakazane - rzekła do dzieci. - Człowiek jest podobny do cytry, której jedwabne struny codziennie się rozluźniają. Cytra musi być nastrojona; człowiek obserwuje siebie i poprawia się. *Jin*, niedozwolone, jest poznaniem „nie”. Nie dopuszczając do siebie fałszywych myśli, zbędnych pragnień i złych czynów, człowiek znajduje drogę do Dobra poprzez poznanie drogi do Zła...

Na zewnątrz wiosna wybuchła zielenią, różem, jaskrawą czerwienią, błękitem i fioletem.

W środku cień bambusów chwieje się na podłodze, gdzie migocą plamy słońca. Wieje wiatr, pozostawiając na ich ubraniach wielobarwne płatki. Huiyuang ma osiem lat. Jest wysmukła, wygląda na dziesięć, ma już charakterystyczną wyniosłość swego ojca.

- Qin to Qing, czystość? - pyta.

Matka zachęca ją do wyrażania własnego zdania. Huiyuang naśladuje ekspresję ojca, gdy ten przemawia do żołnierzy:

- Kiedy umysł jest nieczysty jak staw o mętnych wodach, słuch staje się Zhuo i nie słyszy subtelnego dźwięku cytry. Kiedy umysł pozostaje przytomny, jest stawem przejrzystym, który odzwierciedla wszelkie ruchy natury. Dlatego ktoś, kto gra na cytrze, najpierw się uspokaja, myje ręce, pali kadzidła i medytuje, zanim dotknie siedmiu strun.

Matka lekko kiwa głową, aby wyrazić swoje uznanie. Jest bardzo zadowolona. Huiyuang jest dzieckiem wybitnie uzdolnionym, które od najmłodszych lat z pamięci recytuje Dialogi Konfucjusza. Mążzonek nigdy nie wyraził żalu, że córka nie jest chłopcem, który mógłby odziedziczyć po nim tytuł. Przy siostrze Yifu wywija wargi i uśmiecha się błogo. Podziwia ją i lęka się jej. Huiyuang opiekuje się młodszym bratem, ale wyśmiewa się z jego nieporadności. Stara się błyszczeć, kiedy oboje są przy Matce.

Huiyuang i Yifu są dwiema roślinkami, które rozkwitają każdego dnia. Huiyuang jest silna, krzepka jak młode drzewo, podczas gdy Yifu, delikatny i kruchy, podobny jest do piwonii. Matka tak bardzo się boi, by nie skosiła ich jakaś zawierucha! Czuwa nad ich posiłkami i ich snem. Pilnuje, by się nie przeziębili, nie przegrzali, nie oparzyli na słońcu ani nie zmokli na deszczu. Wie, że kiedyś Huiyuang zaręczy się i opuści ich dla innej rodziny, że Yifu będzie musiał towarzyszyć ojcu w niebezpiecznych podbojach. Te spokojne godziny lekcji gry na cytrze są być może ostatnimi szczęśliwymi chwilami, które spędza z dziećmi. Wkrótce będą dorośli, będą daleko, nieosiągalni.

Matka odwraca twarz i potajemnie ociera łzy. Po chwili wraca do nauki.

- Dzisiaj nauczę was Orchidei z Doliny, utworu skomponowanego przez czcigodnego mistrza Konfucjusza. Niegdyś wypędzony ze swego rodzinnego królestwa mistrz Konfucjusz błąkał

się od kraju do kraju wraz ze swymi uczniami w poszukiwaniu mądrego króla, który przyjmie jego rady. Nikt nie był zainteresowany jego teoriami. Pewnego dnia, przechodząc przez dolinę, odkrył orchideę kwitnącą pośród krzaków. Zatrzymał się i zagrał kwiatu jakąś melodię na cytrze. Waszym zdaniem, dlaczego ułożył tę melodię?

Matka wykorzystywała lekcje gry na cytrze do zapoznania dzieci z dawną poezją, konfucjańską moralnością, zasadami taoistycznymi i buddyjskimi modlitwami. Jej dwoje dzieci to jedwabny niezapisany zwój, na którym chce namalować najpiękniejsze obrazy swego życia.

Yifu otwiera szeroko oczy. Huiyuang odpowiada spontanicznie:

- Tak jak szlachetna orchidea, która rozwija się w dzikiej dolinie, odrzucony przez króla Konfucjusz w dalszym ciągu roztacza swą mądrość wśród ludu.

- To doskonała odpowiedź!

Matka nie ukrywa radości.

Dwukrotnie gra melodię i prosi dzieci, by powtórzyły.

Huiyuang zaczyna, Yifu się włącza. Ich dwie cytry brzmią jak dwa młode pawie biegnące przez leśny gąszcz.

Jasne dźwięki opisują wybująe drzewa w dolinie.

Cisza to urwiste zbocza.

Tony rozchwiane malują wędrującą mgłę, która nawiedza grotty.

Dźwięki ściągnięte przywodzą na myśl strumienie wijące się przez las.

Nuty rozpraszają się jak wodospad na wietrze.

Dźwięki „zatrzymane” wibrują, stając się wiotkimi listkami orchidei.

Matka odwraca twarz i znowu ociera łzy.

Zniknęły koszmary wojny. Rezydencja jest kwitnącym ogrodem. Jej syn będzie władcą o pełnej wdzięku postawie i szlachetnym sercu. To szczęście przysparza jej tyle bólu!

## ***Rok 416***

Słupy dymu wzbijają się w niebo jak kobiece włosy stojące dęba na wietrze.

Czerwone wstęgi falują, płaczą się. To płomienie wspinające się do nieba; chcą wgryźć się w obłoki.

Zza cienkiej zasłony śledzi kobietę, która myje włosy. Kobieta siedzi przed niewielkim lustrem, ubrana jest tylko w białą domową tunikę. Z jej nieumalowanej twarzy emanuje łagodne światło starego celadonu. Jej oczy są jakby namalowane, podkreślają owal twarzy, usta jak dwa płatki wiśni, które nigdy nie doświadczyły burzy. Cienkie palce wyjmują, jedną po drugiej, szpilki wysadzone perłami i złote grzebyczki zdobione nefrytem, kładą je na tacy pokrytej welurem. Kok w kształcie wieży pochyla się, potem opada. Czarne włosy osuwają się na kark, wiją na plecach i opadają na podłogę. Kobieta przeciąga się, opiera głowę na podgłówniku z kości słoniowej i zamyka oczy. Srebrna misa z ciepłą wodą i płatkami róży jest już podstawiona. Służąca wkłada włosy do misy i je myje. Druga służąca bierze niewielkie naczynie, polewa wodą czoło kobiety. Trzecia otwiera flakon olejku jaśminowego, przygotowanego do wygładzenia. Jeszcze mokre włosy są czesane, pasmo po pasmie, z olejkiem. Włosy opadające po kolei podnosi się, spleta w warkocz i wkłada do siateczki. Włosy także są częścią ciała, darem bogów.

Matka jęczy i budzi się. Spostrzega, że kobieta to jej matka, a sen jest wspomnieniem z dzieciństwa.

Niestrudzona wiosna powróciła do miasta Jing Ko, w nocy dają się słyszeć wszelkiego rodzaju szmery. To przeciągają się pędy bambusa, kurczą się pączki, a liście lotosu rozpościerają się na wodzie. Matka leży skulona. Pomimo trzech warstw watanego jedwabiu łapie ją wilgotny chłód. Kaszle.

Natychmiast zza drzwi rozlega się głos służącej:

- Czy pani już się obudziła? Trzeba zmienić ogrzewacz?
- Proszę wejść - odpowiada.

Chwilę później otwierają się rozsuwane drzwi. Po cichu wchodzi pięć służących. Jedna długimi szczypcami z brązu wynosi zimny już grzejnik, druga stawia przy łóżku inny grzejnik, w którym czerwienią się migocące węgle, trzecia przynosi na półmisku mały srebrny ogrzewacz do stóp i dwie filiżanki ziołowego naparu, czwarta wnosi miednicę pełną ciepłej wody nasyconej zapachem balsamu z wiciokrzewu, piąta podaje ręczniki i spluwaczkę. Matka moczy ręcznik w wodzie, wyciera twarz i ręce, osusza się innym ręcznikiem. Płucze usta pierwszą filiżanką ziół, wypluwa do spluwaczki i unosi drugą filiżankę, by wypić jej zawartość. Bierze grzejnik do stóp i kładzie się z powrotem do łóżka. Na zewnątrz strażnik robiący obchód uruchamia dzwon, by zaanonsować porę tygrysa. Za chwilę wstanie dzień. Pomimo ogrzewacza umieszczonego pod nogami Matka nie może wyzbyć się owego poczucia chłodu. Naciąga kołdrę aż pod brodę.

Poprzedniego dnia miała wizytę niespodziankę swego młodszego brata. Kiedy rozstali się przed szesnastoma laty, był małym chłopcem. Teraz ma wąsy, stał się mężczyzną, nieznajomym. Powiedział jej, że matka opuściła ten nędzny padół, aby połączyć się z okrytymi chwałą przodkami. Ze rodzina nigdy nie dostała jej listów i nigdy nie przestała jej szukać. Nikt nie znał nazwiska wojskowego, który ją wywiózł, myśleli, że ona



nie żyje, aż do dnia, w którym odkryli, że została małżonką wielkiego kanclerza, Damą najwyższej rangi cesarskiej, najbardziej poważaną po Cesarzowej kobietą w cesarstwie.

Spotkanie po latach brata z siostrą było tak bolesnym przeżyciem, że obyło się bez szlochów i łez. Opowieść brata, jak monotonny śpiew kreślący ich długie lata separacji, ścięła lodem całe jej ciało. Odesłała go pełnym rozpaczycy gestem, chciała zostać sama ze swym bólem.

Dlaczego posłańcy kłamali? Dlaczego mąż trzymał ją w ukryciu? Nie wiedząc o tym, była jego zakładniczką.

Szesnaście lat, trudno policzyć tyle dni, ale w życiu kobiety to zaledwie chwila. W snach ciągle jest młodzietką panienką, która nic nie wie o okrucieństwie tego świata; po przebudzeniu jest matką, damą Dworu, znużoną intrygami wokół swojej osoby. Jeszcze wczoraj, uczesana w dwa koki w kształcie kwiatu kamelii, skakała, biegała, śpiewała i krzyczała. Dzisiaj przemieszcza się z tłumem służących i dworaków, a dworski protokół zmusza ją do poruszania się w lektyce i powozie zdobionym złotymi liśćmi. Nie ma już swobody ruchu; jest ochronnym płaszczykiem swego męża i syna, dodatkiem do ich wielkości.

Przed drzwiami pokoju daje się słyszeć szelest sukien. To służące, które zmieniają się w czuwaniu przy niej. Służba dzienna zmienia służbę nocną. Matka kaszle, natychmiast drzwi szeroko się rozsuwają i do pokoju wchodzi grupka młodych dziewcząt. Stoją w trzech rzędach, kłaniają się w stronę łóżka i wykrzykują chórem:

- Niewolnice witają Panią! Niechaj Pani żyje setki wiosennych lat!

Matka pozwala się umyć i ubrać. Jedne służące przynoszą herbatę ziołową na poranne przebudzenie, inne uwijają się przy czesaniu i nakładaniu makijażu. Przez otwarte drzwi widać wstający dzień. Z mroku wyłaniają się bambusy i pawilony z malowanymi belkami.

Fryzjerka unosi włosy, pasmo za pasmem, i owija je wokół sztucznych włosów, robiąc wysoką wieżę, aby potem wpiąć w nią ozdoby odpowiadające jej pozycji. Służące nakładają jej na twarz pachnący olejek. Wygładzają szyję, masują policzki, kontur oczu i skronie, po czym rozprowadzają na twarzy pomadę, której podstawowymi składnikami są mleko i rośliny.

Kiedy kończy się ubieranie, słońce już roztacza w ogrodzie swój złocisty blask; ptaki śpiewają wesoło, nie wiedząc nic o ludzkich udrękach i niedolach.

Służące wnoszą do salonu dziesiątki tac pełnych potraw śniadaniowych, ale ona może przełknąć tylko herbatę.

- Mamo! Mamo!

Zadrżała. Przed domem Huiyuang i Yifu kłaniają się na powitanie. Matka gestem zaprasza ich do środka. Huiyuang siedzi sztywno, z nieprzeniknioną miną, ubrana jest w brokatową tunikę, włosy ma uczesane w okazały kok w kształcie kokonu.

Yifu skończył dziesięć lat. Jest ładnym chłopcem, na głowie ma koczek podobny do pochylonego modrzewia. Jak przystało na Wysokie Progi, ubrany jest w tunikę z obszernymi rękawami obszytymi perełkami, na nogach ma saboty na wysokim obcasie, ze szlachetnego drewna. Yifu siada obok Huiyuang. Nagle zakrywa twarz rękawem i zaczyna szlochać.

Matka powstrzymuje łzy. Pragnęłaby dla córki szczęścia, jakiego sama nie zaznała: pięknego ślubu z potomkiem Wysokich Progów z Równiny Środka. Ale wbrew jej woli małżonek postarał się, by Huiyuang została wybrana do cesarskiego gineceum. Wolał posłużyć się córką w celach politycznych. Gdy zostanie cesarską konkubiną, Huiyuang będzie zwykłym pionkiem w otoczeniu Cesarza. Jeśli wyda na świat księcia, jej syn zostanie wyznaczony na następcę tronu. Kiedy obecny Cesarz zostanie zmuszony do abdykacji, chłopczyk stanie się Synem Niebios. Wielki kanclerz Liu, jako dziadek, będzie regentem sprawującym prawowite rządy nad cesarstwem Południowym.

Służące kłaniają się na podeście przed domem.

- Pani, przyjechały cesarskie powozy. Dworzacy służący weszli do rezydencji. Czy zechce pani wyjść im naprzeciw?

Trzymając brata w ramionach, Huiyuang zalewa się łzami. Yifu obejmuje siostrę za szyję i niemal dusi się od krzyku. Matka wstaje chwiejnie. Aby nie upaść, wspiera się na ramieniu służącej. Wie, że młodzianka dziewczyna, która wstępuje do Zakazanego Miasta, nigdy już nie zobaczy swoich rodziców i musi cierpieć w milczeniu. Walcząc o względy Cesarza z dziesięcioma tysiącami innych konkubin, umiera ze smutku, od otrucia albo z zapomnienia.

Matka przechodzi obok dzieci, nie patrząc na nie. Na zewnątrz świeci oślepiające słońce. Matka wspomina suknię ślubną, którą zostawiła, gdy musiała uciekać przed wojną. Miriady drobnych punkcików haftu kreśliły piwonie, motyle, ptaki, drzewa, obłoki. Dlaczego takie zwyczajne szczęście jest też zabronione jej dziecku?

Ociera łyzy, każe służącej na nowo upudrować twarz sobie i córce. Unosi brodę i przybiera wyniosłą i zimną minę Damy najwyższej cesarskiej rangi. Gwałtownym ruchem podciąga suknię, schodzi po schodkach, by powitać cesarskich lokajów, którzy przyjechali po Huiyuang. Zgodnie z protokołem główna aleja rezydencji jest wyłożona długim dywanem z jedwabiu i karmazynowego kaszmiru. Pod stopami w złocistych pantofelkach z zadartymi noskami Matka wyczuwa przepływającą rzekę krwi.

## ***Rok 417***

Upłynęło dwanaście miesięcy, a Matka ciągle nie może otrząsnąć się z odrętwienia, które ją spętało, czyniąc nieczułą na ból i obojętną na to, co dzieje się wokół.

W górach Siła Północy klasztor Wielkiej Litości majączy gdzieś pomiędzy chmurami. Matka odsyła lektykę i pieszo pokonuje trzy tysiące schodów, aby dać świadectwo swej żarliwości religijnej. Kiedy staje u bramy klasztoru, przełożona Świetlista Jasność wita ją ze zdziwieniem.

- Proszę pozwolić mi wejść - mówi Matka. - Przychodzę na rekolekcje. Proszę mnie umieścić w jednej z cel, jak zwykłą kobietę, która znajduje schronienie w królestwie Buddy.

W klasztorze mniszki wstają przed świtem i jedzą tylko dwa postne posiłki dziennie. Matka zdejmuje jedwabne suknie i złote ozdoby, nakłada zakonną konopną szatę i poddaje się klasztornej diecie, polegającej na spożywaniu jednej miski rzadkiej zupy, garści zbożowych ziaren i kilku warzywnych łydżynek. Jej pełne policzki, pulchne ciało, gęste, lśniące włosy kontrastują z kościstymi rękami i bladą cerą mniszek. Ciemne i wysuszone mniszki podobne są do bezlistnych zimowych drzew. Chodzą powoli, w grupie, rozchodzą się bezszelestnie do swych cel, spotykają się na modlitwę. Mówią niewiele, nie rozmawiają, nigdy się nie śmieją. Ani jedna nie pyta Matki, dlaczego postanowiła z nimi być. Ich twarze nie mają żadnego wyrazu. Pustka

religijna, jak mówi przełożona Świetlista Jasność, to wygaszenie pragnień i emocji. Trzeba wyzbyć się własnego ego i stać się czarną kreską. Zbiór czarnych kresek tworzy kaligrafię nakreśloną przez Nadprzyrodzonego.

Od progu klasztoru, gdy jest ładna pogoda, Matka jednym spojrzeniem ogarnia las rozciągający się u jej stóp i kontempluje rzekę Jangcy. Gdy zachodzi słońce, okoliczne szczyty przybierają różową barwę. Kiedy jest brzydka pogoda, otaczają je chmury, mgła wydobywa się z głębi ziemi, znikają drzewa, rozmywają się ścieżki prowadzące do klasztoru, świat staje się zmatowiałą kulą; wydaje się wtedy, że droga od świata zewnętrznego do klasztoru jest na zawsze zerwana.

W sali Trzech Buddów Matka modli się tak długo, aż poczuje ogarniającą ją gorączkę, a duch opuści ciało, by złączyć się z dymem z kadzidła. Błaga Buddów o wybaczenie dla jej małżonka, który podczas wyprawy na Północ, gdy podbijał królestwo Yan założone przez plemię Xianbei, kazał publicznie stracić trzy tysiące oficjeli. Modli się, by Budda chronił jej dzieci, których niewinność nie powinna być narażona na powrót złego losu.

Sakjamuni, Bhaisajyaguru i Amitabha, władcy Teraźniejszości, Przeszłości i Przyszłości, słuchają jej z uśmiechem.

- Pani! O, Pani!

Pełne przerażenia kobiece krzyki przerywają jej medytację. Poznaje głosy swoich służących:

- Proszę Pani, wielkie nieszczęście! Zechce pani z nami pójść, natychmiast. Dowiedziałyśmy się, że młody pan musi opuścić miasto Jing Ko i pojechać do najwyższego kanclerza na front Północny!

Matka unosi głowę w stronę Buddów. Mają pochylone głowy, półprzymknięte oczy, nieprzenikniony uśmiech na wargach - prowadzą ją ku najwyższej szczęśliwości.

Służące wchodzą do sali i padają na kolana.

- Proszę pójść z nami, pani. Pani jedna może udaremnić spisek wokół młodego pana. Lektyka jest gotowa. Czeka na panią przed wejściem!

Matka wdycha i podnosi się z miejsca. Jing Ko przypomina o jej funkcji i powinnościach. Przełożona Światlista Jasność odprowadza ją bez komentarzy do wyjścia. Składa ręce i kłania się na pożegnanie. Matka odwzajemnia ukłon, a jej wzrok pada na ogoloną głowę mniszki. Kiedy włosy Matki są umyte i rozpuszczone, oplatają ją, otulają i ma wtedy wrażenie, że powraca do dzieciństwa. Skąd przełożona Światlista Jasność czerpała odwagę, by pozbyć się tej części ciała, która tworzy zmysłowość kobiety?

Schodząc w stronę miasta, Matka dowiaduje się, że Chang An, serce Równiny Środka, dawna stolica chińskich dynastii, ziemia usiana grobami przodków, została wyzwolona przez jej męża; mieszkańcy Chang An przyjęli wielkiego kanclerza jak wybawcę Chin i ogłosili go panem świata. Małżonek jednak spieszył się na Południe, gdzie zwietrzył spisek, dlatego poszedł za radą swego otoczenia i postanowił sprowadzić Yifu na Północ, aby rządził zamiast niego.

W porcie Jing Ko światło dnia nieco się przyciemniło, zgęstniała mgła. Żaglowce tracą ostrość masztów czy zwartą bryłę swych kadłubów. Stają się krzywymi przerywanymi liniami, rozpraszającymi się kreskami.

Gdy była dzieckiem, usłyszała, że rzeka się rozszerza i staje się oceanem. Są tam wysepki, które unoszą się na falach, drzewa zielone przez cały rok rodzą pachnące owoce, mgławicowe kaskady wpadają do jezior i gorących źródeł. Ubrane w szaty z obłoków i pobłysków, nieśmiertelne istoty wiodą życie przyjemne i beztrudne. Pierwszy Cesarz, Shi Huangdi, kazał skonstruować ogromny statek mieniący się złoceniami i szlachetnymi kamieniami. Wybrano pięciuset młodych chłopców i pięćset młodych dziewcząt, którzy mieli popłynąć na koniec świata

w poszukiwaniu tych wysepek, bo tam można odkryć tajemnicę nieśmiertelności. Władca królestw, których mury obalił, władca armii, które parły do przodu w deszczu i śniegu, Cesarz Shi Huangdi nie był wybrany przez Nieśmiertelnych. Statek nigdy nie powrócił.

Na brzegu na czele orszaku czeka Matka. Za nią Yifu; chłópiec trzęsie się z zimna i chce wrócić do domu. Matka zmusza go, by został i uważnie wypatrywał. Wynurza się cień. Ziejący pysk dzikiej bestii wyłania się z mgły, ciągnąc swe monstrialne cielsko, w którym wiosła są jak poruszające się jednomyślnie łapy, wzniesające fale. Matka odwraca się, by sprawdzić, czy Yifu trzyma ręce złączone na wysokości brwi i czy skłania się głęboko na powitanie ojca.

Niewielka łódź dopływa do brzegu. W szczęku broni wysiada z niej oddział żołnierzy, którzy ustawiają się w dwóch szeregach. Jako ostatni zjawia się bliski doradca małżonka. Zawiedziona i zirytowana Matka wyprostowuje się. Już od bardzo dawna nie widziała męża, od dawna porozumiewają się przez posłańców. Doradca przyspiesza kroku i pada na kolana przed Matką. Wyciąga z rękawa rulon, unosi go obiema rękami nad głowę.

- Pani, Najjaśniejszy Pan Wielki Kanclerz, Wielki Marszałek pokoju Północy, Cesarski władca pierwszej rangi z niecierpliwością oczekuje młodego pana w Chang An. Wysłał mnie, żebym go eskortował w jego podróżą na Północ.

Matka jednym ruchem oczu przebiega list. Sztywnieje, unosi brodę i oświadcza uroczyście:

- Jako potomek klanu Liu, mój syn Yifu nie uda się w podróż na Północ. Nie opuści miasta Jing Ko. Wracaj, panie, skąd przybyłeś.

Wiatr niesie jej mocny głos. Osłupiały doradca opuszcza głowę i kłania się, z rękami opuszczonymi po bokach.

- Pani, to rozkaz.

Szybkim ruchem Matka przedziera rulon zawierający rozkaz małżonka z pieczęcią Wielkiego Kanclerza i rzuca go na ziemię. Oficerowie i żołnierze wydają okrzyk przerażenia, po czym stają na baczność. Matka odwraca się - czuje wielką ulgę, że po raz pierwszy sprzeciwiła się mężowi.

- Chodź, wracamy! - mówi do Yifu, niemal skamieniałego.

Bierze go za rękę i prowadzi w stronę powozu. Służący ruszają w ślad za nimi, tak jak i żołnierze sprawujący nad nimi ochronę. Orszak opuszcza nabrzeże, pozostawiając za sobą posłańców z Północy.

Kilka dni później Yizhen, drugi syn jej małżonka, urodzony o miesiąc później niż Yifu, płynie rzeką Jangcy do miasta Chang An. Tak jak Yifu, ma zaledwie jedenaście lat.

Przez swe wierne sługi Matka dowiaduje się, że za zamkniętymi bramami Zakazanego Miasta, czując zagrożenie ze strony Wielkiego Kanclerza, Cesarz odmawia przyjęcia jego córki Huiyuang, a Cesarzowa publicznie ją upokarza. Listy od Huiyuang przychodzą rzadko. Zawierają protokolarne formułki grzecznościowe. Między zimnymi, eleganckimi słówkami Matka odgaduje urazę córki wobec matki, niepotrafiącej jej obronić. Wstaje nocami, wydaje jej się, że słyszy głos Huiyuang, ale zaraz uświadamia sobie, że córkę odebrano jej na zawsze.



## ***Rok 418***

Nadeszła chłodna wiosna. Zza zasłonki w powozie Matka widzi przez mgłę jedynie starców i kobiety. Nieliczni mężczyźni mają na sobie pancerze i przyłbice, kołczany i szable. Do portu przypływają statki, by natychmiast odpłynąć po wyładowaniu rannych i załadowaniu posiłków. Przed kotłem, który Matka kazała zainstalować, ustawia się kolejka żołnierzy, kulawych, jednorękich, ślepych, obszarpanych i jęczących, którzy czekają na miskę ciepłej zupy. Potem wywozi się ich do poszczególnych obozów, gdzie będą leczeni i odsyłani na Północ.

Gdzie jest jej małżonek? Matka już nie chce wiedzieć. Kontempluje rzekę Jangcy i widzi tylko szarą zasłonę z mgły i oparów, łączącą niebo i ziemię. Przed sześcioma miesiącami jej mąż bez uprzedzenia wrócił do Jing Ko. Ledwo przyjechał, zaczął przyjmować wojskowych gubernatorów, oficerów gwardii, najemnych wojowników. Ich głosy, raz monotonne, to znowu podekscytowane, dochodziły zza zasuwanych drzwi. Matka na próżno czekała na niego w swoim pokoju. Późno w nocy, kiedy do niego poszła, wszystkie świeczniki były zapalone, a on spał pośrodku sali recepcyjnej - nawet nie zadał sobie trudu, by zdjąć z siebie pancerz. Trwał w pozycji siedzącej z ręką na brzuchu, z głową na drugiej ręce, która z kolei opierała się o niski stolik tuż obok jego przyłbicy. W świetle świec zobaczyła, że wszystkie włosy mu

posiwiwały. Wyszła, nie budząc go. Nazajutrz, gdy tam znowu zajrzała, powiedziano jej, że już odjechał.

Przez wiele nocy nawiedzają ją żołnierze. We śnie pokazują jej swe ciała bez życia, ziejące rany, oplakują żony i dzieci, które musieli opuścić. Matka rozkazuje, by duża kuchnia, gdzie kucharze z owłosionymi ramionami ćwiartują siekierami całe świniaki, zaczęła odtąd przygotowywać posiłki dla rannych. Każe wznieść małą kuchnię obok swego pawilonu i zaleca Yifu specjalny jadłospis dla rozwoju ciała, które, jak sądzi, jest osłabione okresem dojrzewania. Młode dziewczyny o białych rękach i delikatnych palcach lepia pierożki, naleśniki i krokiety, podają zupy w miseczkach z bakłazanu, ogórka czy dyni. Mieszają listki herbaty z imbirem, korzenie bambusa z przyprawami z Zachodu, marynują ryby, a potem zawijają je w liście bananowca i gotują na parze. Wkładają do naczynia kawałki jeleniego rogu, zakopują go, a po wyjęciu gotują. Siedząc obok Yifu, gdy ten spożywa posiłki, Matka wodzi wzrokiem za ruchami jego ręki i szczęk.

Mianowany wysokim gubernatorem miasta Chang An, drugi syn jej małżonka, Yizhen, nie potrafi rządzić. W otoczeniu tego młodzieutkiego władcy, który ma zaledwie dwanaście lat, dostojnicy nawzajem się zabijają w walce o władzę w jego imieniu. Ich rywalizacja nie uchodzi uwagi sąsiadów. Królestwo Xia powołuje armię Barbarzyńców i otacza Chang An. Ogarnięty paniką Yizhen opuszcza miasto, wycofuje się na Południe. W drodze powrotnej nie potrafi powstrzymać żołnierzy przed grabieżą i porywaniem kobiet. Spowolnioną pod ciężarem łupów armię doganiają wojownicy królestwa Xia.

Jeśli Yizhen zginie na Północy, myśli Matka, jej syn Yifu zostanie umocniony w swej prawowitości i nie będzie już miał rywala, który by kwestionował jego sukcesję. Przerazona, że tak nیکczemne życzenie przyszło jej do głowy, pada na kolana przed Buddą i modli się za Yizhena. Kilka dni później dowiaduje się, że spośród kilku tysięcy żołnierzy jedynie Yizhen i kilkuset

gwardzistów zdołało uniknąć masakry ze strony Xia i powrócić na Południe.

Utrata miasta Chang An i wycofanie się Yizhena z Północy przyspieszyły rozwój wydarzeń na Dworze cesarskim. Nagle do Matki dotarła wiadomość o nagłej śmierci Cesarza w wyniku powikłań jelitowych. Wobec gromady sług zachowuje niewzruszony wyraz twarzy i udaje, że nie czyta w ich myślach. Któż by nie podejrzewał jej małżonka o zlecenie otrucia? Nowy cesarz obejmuje tron, Matka wie, że został wybrany, bo jest najbardziej uległy ze wszystkich książąt. W wieku osiemnastu lat Huiyuang nie poznała radości bycia kobietą, a już została cesarską wdową. Musi trwać we wdowieństwie do końca życia, może tylko wybrać: albo zostać mniszką w klasztorze, albo pozostać w pałacu wewnętrznym, zachowując żałobę. Matka pospiesznie pisze do małżonka, błagając go o uwolnienie Huiyuang z jej więzienia. Nie otrzymuje żadnej odpowiedzi.

Pewnej nocy budzi ją jakieś poruszenie przed wejściem do pokoju. Lampiony wędrują wzdłuż rozsuwanych drzwi i oświetlają postać oficera w pancerzu, który pada przed nią na kolana.

- Pani, najwyższy kanclerz przysłał mnie do Jing Ko. Mam panią eskortować potajemnie, panią i młodego pana, w podróży do stolicy Jian Kang. Proszę wstać i się przygotować. Natychmiast wyjeżdżamy.

Matka ubiera się i wsiada do powozu pokrytego błękitną tkaniną haftowaną purpurowymi koralami, zdobioną złotymi liśćmi, z wetkniętymi czerwonymi i białymi proporczykami jej małżonka. Dzień jeszcze nie wstał, Matka wsłuchuje się w odgłos kopyt uderzających o miejski bruk. Słychać niskie głosy mężczyzn, szcęk broni, końskie rzenie. Domyśla się, że cały oddział wojska wyrusza, aby ją eskortować w drodze do cesarskiego Miasta; w ciemności szuka ręki syna. Uszczęśliwiony tym gestem, pochyla się w jej stronę i kładzie głowę na jej kolanach.

- Śpij - mówi Matka, gładząc go po włosach. - Droga jest długa.

Osiemnaście lat wcześniej w wozie ciągniętym przez muła ścisnęła swój duży brzuch i jechała ciemną nocą, nie wiedząc w jakim kierunku ani czy u celu podróży czeka ją życie czy śmierć. Co ich spotka w stolicy? Czy polecenie udania się do Jian Kang jest rzeczywiście rozkazem najwyższego kanclerza? Czy może spiskowcy zaaresztowali jej męża i zastawili pułapkę na Yifu, jego spadkobiercę? Co im szykuje los? Obejmując rękami głowę Yifu, zaczyna śpiewać mu piosenkę Mamy Liu.

Dwa dni później wchodzi główną bramą do siedziby najwyższego kanclerza. Wszyscy urzędnicy, oficerowie, gwardziści, skryby po obu stronach głównej alei pochylają się w ukłonie na jej powitanie. Zaniepokoiła się o męża, gdy usłyszała, że oczekuje jej w części wewnętrznej. Po przejściu na drugą stronę wysokiego muru, który oddziela świat mężczyzn od świata kobiet, zaczyna dziwić się przyjęciu, jakie jej zgotował. Konkubiny, guwernantki i służące stoją w dwóch szeregach i także zginają się w ukłonie, gdy ona przechodzi.

Małżonek stoi na podeście schodów prowadzących do jego pawilonu. Matka pokonuje stopnie. Yifu posłusznie idzie za nią. Wielki kanclerz nie czeka, aż matka i syn zakończą gesty powitalne, lecz oświadcza:

- Cesarz Jin postanowił przekazać mi tron. Edykt zostanie ogłoszony jutro w czasie audiencji. Zasięgnąłem rady astrologów. Nowa dynastia, którą zapoczątkuję, będzie się nazywała Song. Przez wszystkie lata wojny byłeś ze mną i podtrzymywałaś mnie w milczeniu. Dałaś mi następcę i zgodziłaś się na nasze rozstanie, kiedy potrzebowałem cię, byś strzegła miasta Jing Ko. Wszystkie trudy, przez jakie przebrnęłaś, należą już do przeszłości. Powinnaś zostać za to wynagrodzona. Będziesz moją Cesarzową.

Ona robi krok do tyłu i rozgląda się wokół. Wszystkie kobiety kłęczą, ona jedna stoi. Od dwudziestu lat świat rozprawia

o ukrytej ambicji jej małżonka, ale ona nigdy nie wierzyła w te pomówienia. Dzisiaj, zdecydowany pogwałcić boskie prawo, narzuca i jej swój zbrodniczy zamysł i wciąga ją w swoje machinacje.

Odczuwa wstyd i strach. Pochyliła się lekko, spogląda na Yifu, by zaczerpnąć od niego siły, po czym się wyprostowuje. Z jej gardła dobywa się głos podobny do miauczenia:

- Nie, panie. Odmawiam.
- Co?

Rozwścieczony ton małżonka wywołuje w niej drżenie. Czuje, jak ją przenika jego wrzący gniewem cień. Nagle uświadamia sobie, że właśnie publicznie zdemaskowała jego nieprawowitość, a tym samym określiła go mianem uzurpatora.

Unosi głowę, niepewnym spojrzeniem omiata obecnych przy tym świadków.

- Małżonka Zang, chociaż zmarła, jest jedyną kobietą godną tego najwyższego tytułu. To ona przecież dzieliła ubóstwo i udręki waszej wspólnej młodości, nigdy się nie skarżąc. Zbyt wcześnie została wezwana do przyczystego świata Buddy, nie mogła więc dzielić z tobą, panie, bogactwa i chwały. Jej dusza jednak dalej nad tobą, panie, czuwa, modli się za ciebie. Twoja sługa nie ma żadnych szczególnych zasług, prosi więc, byś uhonorował zmarłą Małżonkę Zang jako Cesarzową.

## *Rok 420, dynastia Song*

Matka stoi krok za Cesarzem, ubrana jest w siedem warstw szat haftowanych w siedem symboli cesarskich, uczesana w wysoki kok pokryty szlachetnymi kamieniami. Z wysokości Bramy Purpurowego Światła obserwuje Zakazane Miasto, które jest teraz jej nową rezydencją. Dziesięć tysięcy cesarskich muzyków, rozstawionych pod bocznymi pałacami, wprawia w ruch potężne dzwony grające rytualną pieśń cesarskiego Powitania.

Nieco niżej, przed Bramą Purpurowego Światła, stoją w pokłonach książe, ambasadorzy, dworzcy urzędnicy, generałowie i oficerowie noszący ubrania w różnych barwach, według pozycji w cesarskiej hierarchii.

Uroczysty dźwięk dzwonów rozbrzmiewa po raz drugi.

- Dziesięć tysięcy lat szczęścia dla Cesarza... Sto tysięcy lat szczęścia dla Cesarza...

Oklaski rozlegają się i cichną.

Drży ziemia, pochylają się niebiosy, chmury jak ciężkie piersi nabrzmiałe od deszczu muskają złociste dachy pałaców. Matka ma trzydzieści sześć lat. Spędziła wiele lat w cieniu rezydencji w Jing Ko, więc jej cera jest nieskazitelnie biała. Wykorzystuje tę nieskalaną białość jak maskę dla ukrycia wewnętrznego zamętu. Obiecana synowi klanu Wang, uprowadzona przez kapitana Liu, zaakceptowała to upokorzenie i pogodziła się z rolą żony chłopca, który został wojskowym - a teraz jest małżonką uzurpatora.

Kilka kroków dalej nowy Syn Niebios w szatach ciężkich od kilku warstw haftu ma twarz naznaczoną zmarszczkami, siwe włosy schowane pod wysokim toczkiem plecionym ze złotych nici. Pomimo przepychu cesarskich szat wydaje się wątpliwy i zmęczony. Matka wie, że - przyzwyczajony do konnego galopu, do pancerza i brutalnego żołnierskiego żargonu - nieswojo się czuje w nudnej etykiecie koronacji i jest skrępowany przymusem noszenia zbyt wyszukanych szat. Ale ponieważ sam pokierował ruchem gwiazd, aby otrzymać błogosławieństwo Niebios, przyjmuje owo jarzmo cierpliwie. Lekko marszczy brwi, zaciska usta, robi zamyśloną minę i powstrzymuje radość.

Obok Matki stoi młody książę następca tronu. W wieku czternastu lat Yifu jest chłopcem wdzięcznie wysmukłym, z gracją nosi swoją szatę cesarskiego sukcesora i toczek z czarnego lakierowanego lnu, przebity długą szpilą z białego nefrytu. Matka dostrzega, że chłopiec często mruga powiekami i rozciąga usta. Wykrzywia się, by odprężyć twarz napiętą przez uroczystą minę, którą musi stale przybierać. Matka wie, że jest oszołomiony wrzawą, przerażony czekającymi go synowskimi obowiązkami. Ogarnia ją poczucie żalu. Sama wychowywała Yifu. Przez wszystkie przeszłe lata trzymała go w zamknięciu w rezydencji w Jing Ko, z dala od korupcji władzy i okrucieństw wojny. Doświadcział jedynie spokojnej beczynności Wysokich Progów. Wykształciła go na modłę dawnej chińskiej arystokracji, żeby został uczonym w piśmie, człowiekiem o nienaganych manierach i wyrafinowanych gustach. Ani przez chwilę nie myślała, by zrobić z niego księcia następcę tronu, cesarza.

Małżonek zwraca się do niej. Nowa rodzina cesarska musi udać się na przyjęcie; przygotowano pięć tysięcy nakryć. Kiedy przechodzi obok Yifu, zatrzymuje się i szepcze mu coś do ucha. Yifu odruchowo robi mały krok do tyłu.

Chociaż nie nosi korony Cesarzowej, w sali recepcyjnej Matka zajmuje miejsce władczyni Cesarstwa. Siedząc między mężem a synem, znowu przyjmuje pokłony dworskich dostojników. Długi ogonek ciągnie się aż do pawilonów zewnętrznych. Człowiek, który podchodzi jako pierwszy, pada na kolana i życzy jej małżonkowi dziesięciu tysięcy lat życia, to Cesarz z dawnej dynastii Jin, teraz zwykły szary człowiek. Wraca do swego szeregu, pokornie cofając się na obcasach, z rękami wzdłuż tułowia.

Książęta, panowie dziedziczący stanowiska, ministrowie, generałowie, oficerowie podchodzą, klękają, zginają się w pokłonie. Utracili swe twarze i ciała, są tylko postaciami, które przed nim defilują. Poniżej, w półcieniu, nieustannie napływa morze poddanych. Matka zwraca się do Yifu, który ma przymknięte oczy. Uśmiecha się do niego, dyskretnie wyciąga rękę i szczypie go w udo. Chłopcem wstrząsa dreszcz. Nie poruszając głową, Matka pyta:

- Co ci przed chwilą powiedział ojciec?

Odpowiada wyraźnie jęśliwym głosem:

- Będą mnie wprowadzać w sprawy Państwa...

Matka odwraca wzrok w stronę małżonka. Jego profil odcina się na tle złocistych kolumn, dzbanów i ogromnych świeczników. Znieruchomiały, podobny jest do samotnej skały pośród rozszalałych fal rzeki Jangcy.

Cesarskie drzwi pokryte brązem, o niebotycznej wysokości, kolejno się przed nią otwierają. Alabastrowa aleja udekorowana płaskorzeźbami, ze smokami i feniksami, prowadzi ją do pałaców wewnętrznych, miejsca zakazanego dla zwykłych śmiertelników. Purpurowe ściany nie stanowią już przeszkody; Matka kazała zdjąć kłódki i łańcuchy. W miarę jak wchodzi do cesarskiego gineceum, spotyka grupy kobiet, szczupłych, białych, wyglądających na chore, które umalowały się, żeby przyjąć



nową władczynię i życzyć jej tysiąc lat życia. Jakiż jest jej ból, gdy widzi Huiyuang w kwaterze dla wdów. Gdyby eunuchowie jej nie przedstawili, nie rozpoznałaby jej. W ciągu kilku lat utraciła swe policzki i filuterne dziewczęce minki. W cieniu tego cesarskiego sanktuarium stała się kobietą wymizerowaną, o wychudłej twarzy, której wątłe ciało nagromadziło w sobie jakąś dziwną męską siłę. Wobec własnej matki, pragnącej okazać jej radość i czułość, pozostaje niema i zimna. Po wielu protokolarnych powitaniach prosi, by pozwolono jej wyjść. Matka dowiaduje się, że od bardzo dawna córka jada wyłącznie posiłki wegetariańskie i przestrzega reguły mniszek buddyjskich. Nie uczestniczy już w pałacowych uroczystościach i żyje w ciszy swego pawilonu przekształconego w sanktuarium.

Matka pada do stóp Cesarza, wylewając strugi łez. Miesiąc później, po wielu obradach na Dworze, podczas których odbywały się dyskusje pomiędzy wysokimi dostojnikami, kancelaria zaaprobowała dekret napisany przez cesarski sekretariat: Huiyuang, cesarska konkubina z poprzedniej dynastii zmienia swą rangę i odtąd będzie cesarską księżniczką. Ponieważ Matka dalej nęka pałac męża lamentami i łzami, drugim cesarskim dekretem Cesarz zdejmuje z niej wdowieństwo i pozwala wyjść za mąż.

Jednak wiadomość ta nadchodzi zbyt późno dla zrujnowanego już życia. Huiyuang obojętnie przyjmuje wolność. Gdy tylko dostaje pozwolenie na wyjście z Zakazanego Miasta, opuszcza rodziców i zamieszkuje w swoim pałacu. Matka robi wszystko, by znaleźć dla niej męża. Przyjmuje swatki wysyłane przez rodziny najszlachetniejszego urodzenia i żąda raportów na temat każdego z pretendentów. Wszelkimi siłami chce zmusić Cesarza, by nie posłużył się córką dla nawiązania nowego politycznego sojuszu. Kiedy Matka dowiaduje się, że rozpoczął rokowania z barbarzyńskim królem z Północy, wysyłając naprzód Yifu, księcia następcę tronu, obejmuje małżonka za nogi i grozi Samobójstwem, jeśli

kiedykolwiek Huiyuang popłynie na drugą stronę rzeki Jangcy, aby zamieszkać na Dworze Xianbei albo Yongnu.

Matka narobiła takiego hałasu, że słyszała go nawet Huiyuang z głębi swego pałacu. Wysła więc długi list do ojca, oznajmiając, że chce zostać mniszką. Matka, wezwana do Cesarza, który pokazuje jej list, jest zdruzgotana tym, co czyta. Jak rozbiitek rozpaczliwie szukający pływającego kawałka drzewa kieruje swoje załzawione spojrzenie na rozgniewanego męża. W jednej chwili pojmuję, że ten pogromca Barbarzyńców z Północy i gubernatorów z Południa nie jest wrażliwy na uczucia.

- Nie ma co płakać. Ja już postanowiłem. Potrzebuję Huiyuang, by doprowadzić do unii Północ-Południe. Wielkie cele, jakie planuję dla chińskiego ludu, są ważniejsze niż los jednej księżniczki. Idź i przekonaj ją, żeby zmieniła zamiary.

Barbarzyńcy czy klasztor - Matka woli dla córki tych pierwszych. Aby przekonać Huiyuang, osobę równie upartą jak jej ojciec, postanawia odwołać się do miłości dzieci do rodziców, którą mądry Konfucjusz wyłożył w swoich Dialogach. Chce opowiedzieć jej o radości kobiety, radości z płodzenia i dawania życia. W razie gdyby wszystkie argumenty zawiodły, jest zdecydowana sprowadzić ją do Zakazanego Miasta i na pewien czas zamieszkać razem z nią.

Matka każe zaprząć swój cesarski powóz i jedzie do pałacu księżniczki. Szybkim krokiem przemierza dziedzińce, korytarze, ogrody, pawilony. Pokój Huiyuang jest zamknięty. Na jej ponawiane wezwania córka nie odpowiada. Matka każe więc eunuchom wyważyć drzwi ciosami siekier. Kiedy wchodzi, krew ścina się w jej żyłach. W ciemności migocą setki olejnych lampek. Pośrodku pokoju stoi posąg Buddy. U jego stóp Huiyuang obcina swoje długie włosy i rozrzuca je wokół. Kiedy widzi zbliżającą się matkę, kieruje nożyczki w drugą stronę i koniuszki ich ostrza przyciska sobie do gardła. Jej oczy błyszczą, miotając wściekłe spojrzenia.

- Budda wziął mnie pod swoją ochronę! - krzyczy Huiyuang schrypniętym głosem. - Jeśli nie udzielicie mi pozwolenia na życie zakonne, zaraz się zabiję!

Błotnista droga ugnieciona przez koła i końskie kopyta ciągnie się wzdłuż rzeki Jangcy. Wóz zaprzężony w muły znika w szkarłatnej mgłę zmierzchającego dnia. Wiezie Huiyuang, która powraca do Jing Ko, do przełożonej Świetlista Jasność w klasztorze Wielkiej Litości, w górach Siła Północy.

Poprzedniego dnia padał deszcz. Wzlatują jesienne liście, potem unoszą się na ciemnej wodzie. Matka siedzi w muszli koncertowej; zmusiła córkę do spożycia ostatniego rodzinnego wspólnego posiłku, a teraz ogarnia ją wrażenie, że zaczyna się starzeć. Westchnienie męża wrywa ją z odretwienia.

- Wziąłem ze sobą twoją cytrę. Zagrasz mi coś? Od lat nie jedliśmy wspólnie kolacji. Brakowało mi twojej muzyki.

Cytra? Matka zadrzała. Od bardzo dawna nie grała, a Huiyuang jest muzyką, która właśnie zamilkła.

Na znak Cesarza eunuchowie ustawiają stolik, kładą na nim cytrę i wychodzą tyłem. Spojrzenie Matki powoli omiata otaczającą przestrzeń. W muszli jest tylko jej mąż i syn Yifu, obaj w czarnych lnianych toczkach uczonych, ubrani w zwykłe jedwabne tuniki bez szczególnych ozdób. Święci i czczeni przez całe cesarstwo, tego wieczora są po prostu strapionym ojcem i zapłakany synem z najzwyczajszej rodziny. Sięgnawszy pamięcią wstecz, Matka uświadamia sobie, że nigdy nie grała na cytrze jednocześnie dla syna, córki i męża. Zawsze ktoś był nieobecny.

Od strony rzeki dochodzą krzyki, stado dzikich gęsi przecina zmierzch i opada na brzeg.

- Zagram utwór Dzikie Gęsi na Opustoszałym Brzegu - mówi. - Tak bardzo chciałam nauczyć Huiyuang **grać tę melodię, kiedy będzie duża...**

Łopot skrzydeł wypływa spod jej palców. Kiedy rozlega się pierwsza strofa, Matka zapomina o gorzkim smaku wina, od którego poczuła lekkie upojenie. Przy drugiej i trzeciej strofie pojawia się rodzinna willa z dzieciństwa, otoczona polami i ogrodami. Czwarta opisuje ruch cieni i migotanie pobłysków. Piąta i szósta strofa opiewają strojność dzikich gęsi o zielonych główkach i brunatnych nakrapianych skrzydłach. Niestrudzenie migrujące samotne podróżniczki przelatują nad Chinami z północy na południe w pogoni za słońcem. Siódma strofa to ostry dźwięk, a za nim seria trzaskających tonów. To rzeka Jangcy, która płynie na wschód, w stronę oceanu, unosząc w głębi koryta żale i zgryzoty.

## ***Rok 422***

Nie nosi tytułu, ale jest darzona szacunkiem jak Cesarzowa. Kiedy się budzi, zastęp służących płaszczy się na ziemi, by okazać respekt. Na każdą jej prośbę odpowiada chór głosów. Niezliczone ceremonie, uroczyste przyjęcia, rauty wymagają jej obecności; nie może się ruszyć bez poprzedzającej ją i ciągnącej za nią świty. Noc staje się jej ostoją, zimne posłanie jedyną przyjaciółką i powiernicą. Opiera kark na jadeitowej poduszce, wyciąga nogi, rozluźnia plecy zmęczone noszeniem sztywnych szat i złotych ozdób, z westchnieniem ulgi kładzie ręce na piersi. Daremnie nasłuchuje drżenia bambusów i szelestu owadów. Grobowa cisza krąży po pałacu z okiennicami i drzwiami obitymi brązem. Recytuje sutry aż do chwili, gdy zaśnie.

Po raz pierwszy ona i jej mąż żyją w tym samym mieście, dzielą mieszkanie pod tym samym dachem. Ona jednak czuje się jeszcze bardziej oddalona od niego. Od wyjazdu Huiyuang wszystkie dojścia do Cesarza są strzeżone; aby się z nim zobaczyć, musi złożyć prośbę u eunucha, zwierzchnika szambelanów. Zaprężony do kierowania Cesarstwem jak wół do kamienia młyńskiego, małżonek nie ma czasu na składanie jej wizyt. Dwa razy dziennie urzędujący eunuchowie wolnym krokiem wchodzą na podest schodów do jej pałacu. Rano wołają: „Jego Wysokość Cesarz pyta, czy Pani dobrze wypoczęła”; wieczorem mówią cicho: „Jego Wysokość Cesarz pyta, czy Pani spędziła miło dzień”.

Małżonkowie spotykają się na oficjalnych ceremoniach, każde z nich przychodzi z innego skrzydła wewnętrznych pałaców, w otoczeniu intendentów, guwernantek, eunuchów i służących. Dwa orszaki łączą się i dalej już majestatycznie posuwają się równolegle. Cesarz ma zgarbione plecy, wydaje się czymś zaprzątnięty. Matka przybiera pogodną minę i pełen spokoju uśmiech. Szepcze do męża: „Wasza Wysokość powinien mniej pracować i dbać o swoje ciało...”. Cesarz odpowiada: „Nasza dynastia jest jeszcze krucha. Pragnę pozostawić Yifu wielkie cesarstwo...”. Wyczuwa w jego głosie przygnębienie. Zmarszczki, niegdyś ruchliwe, rozluźniły się i tworzą na jego twarzy, wokół oczu, pajęczynkę strapienia nie do rozwikłania.

Płomienie pochodni wiją się na cesarskim jeziorze. W bezsenne wieczory Matka grywa na cytrze. Huiyuang jako mniszka nie jest już jej córką. Yifu mianowany księciem następcą tronu opuścił ją i mieszka poza Zakazanym Miastem ze swymi gwardzistami, preceptorami i dworzanami. Matka mieszka w najpiękniejszym pałacu, posiada największy ogród, jest władna darować życie i zsyłać śmierć, ale jej cytra opowiada o goryczy kobiety opuszczonej.

Małżonek zapadł na zdrowiu. Z dała od wypraw i bitew, został pokonany przez spokojną muzykę, balsamiczne powietrze, miękkie jedwabie i uroczystości. Komfort i zwolnienie tempa życia nadwałiło jego ciało, przyzwyczajone do głodu i napięcia. W krótkim czasie Zakazane Miasto wyniszczyło zdobywcę. Dwa lata po objęciu tronu opuszcza ten marny padół i dołącza do swych przodków w niebiosach.

Matka nie ma czasu na żałobę. Jej syn Yifu w wieku siedemnastu lat wstępuje na tron i zostaje Drugim Cesarzem z dynastii Song. Dwór dostojników żąda oficjalnego statusu dla matki nowego Syna Niebios. Jest zmuszona uznać pieczęć i pompatyczny tytuł najwyższej Cesarzowej. Ze wszystkich stron czyhają spiski. Tron, przywłaszczony na drodze uzurpacji przez jej małżonka, jest celem kolejnych uzurpatorów. Ministrowie zawierają przymierze

z wojskowymi gubernatorami i wydierają sobie władzę regencyjną. Znajdują oparcie w dwóch cesarskich konkubinach, matkach dwóch młodszych książąt, które od zawsze kwestionują prawowitość Yifu. Nadaremnie Matka szuka lojalnego dostojnika, który stanąłby w obronie pozycji syna. Wszyscy nadużywają jej zaufania i dążą do zwiększenia własnych wpływów.

Yifu odsuwa się od codziennych problemów, uciekając w przyjemności. Skraca czas audiencji, chcąc jak najszybciej wrócić do wewnętrznych pałaców, gdzie młode dziewczyny, zajmujące się malarstwem, muzyką i poezją, dogadzają mu i zabawiają. Kolorowy tusz na ryżowym papierze, krystaliczne dźwięki instrumentów muzycznych, wszystko to pozwala zapomnieć o dokumentach piętrzących się na biurku. Przerażona, zbita z tropu Matka stara się doprowadzić do porozumienia adwersarzy i wykryć wszystkie spiski. Dotychczas żyła z dala od męża, nie nauczyła się więc od niego taktyki w sprawowaniu władzy i forteli w rządzeniu. Zmuszona jest przyjąć na doradców swych eunuchów intrygantów i przebiegłe służące.

Królestwo Wei napada na Południe. Matka jest przekonana, że król Xianbei zawarł przymierze z jej wewnętrznymi wrogami i potajemnie negocjuje pokój, podsuwając im ziemie i miasta. Uwięziona w Zakazanym Mieście, wyższych urzędników spotyka jedynie przy okazji oficjalnych bankietów. Jej łączność ze światem mężczyzn podlega ścisłej etykiecie. Listy są przekazywane przez eunuchów, w których wierność nie bardzo wierzy. Pomimo wysiłków czuje, że władza wymyka jej się z rąk, syn jest coraz bardziej izolowany.

Bez troski Yifu nie traktuje poważnie jej obaw. Kiedy przywołuje go do jego zajęć, on ziewa. I także staje się nieprzystępny. Aby się z nim zobaczyć, musi prosić o pozwolenie eunucha, szefa szambelanów.

Zrywa się wiatr i roznosi po Zakazanym Mieście muzykę z koncertów i śmiechy młodych dziewcząt.

## *Rok 423*

We śnie ujrzała nadchodzące od niebios wielkie nieszczęście w postaci czarnych chmur, ciężkich od gromów. Ogarnia ją lodowaty chłód, wgniata w łóżko. Rozsuwane drzwi gwałtownie się otwierają. Bez zapowiedzi wpadają jakieś potężne sylwetki i padają na kolana, stukając pancerzami. Matka mocno szczypie się w udo. To nie jest zły sen.

Jeden z przybyszów mówi:

- Wasza Wysokość, proszę się obudzić! Pani syn Yifu uchybił swemu mandatowi niebios. Musi przekazać tron młodszemu bratu. Proszę, dokonaliśmy konfiskaty cesarskiej pieczęci.

Kto to mówi? Matka zna ten głos. To na pewno jakiś znany jej minister.

Eunuch przynosi świece, które oświetlają szereg mężczyzn klęczących przed nią. Pióra zdobiące ich hełmy powiewają. Pancerze wydzielają intensywny zapach skóry i krwi. Na tacy położyli cesarską pieczęć z wyrzeźbionymi smokami.

Zamach stanu! Ból miażdży jej czaszkę i pulsuje w brzuchu. Czy weszli z wojskiem do Zakazanego Miasta? Gdzie jest cesarska gwardia? Jak zdobyli tę pieczęć, zwykle zamkniętą w skarbcu w pałacu Cesarza? Gdzie jest Yifu? Czy go zranili, torturowali, zamordowali? Chciałaby zadać te pytania, ale sztywnieje jej język, wysycha gardło.

Odzywa się jeden ze spiskowców, ukrywających swoją twarz:



- Wasza Wysokość, proszę się ubrać. Jako najwyższa Cesarzowa otrzymałaś, Pani, z rąk zmarłego Cesarza pełnię władzy regencyjnej. Teraz ma pani prawo usunąć Cesarza i wyznaczyć jego następcę. Przygotowaliśmy edykt zapowiadający detronizację. Wystarczy, że podpiszesz go, Pani, i przyłożysz tę pieczęć.

- Muszę zobaczyć się z synem - powiedziała wreszcie.

- Pani, Cesarz jest w naszych rękach. Jeśli pani nie podpisze edyktu, syn umrze, a tron przypadnie jego bratu - nalega inny mężczyzna.

- Mój mąż dał wam majątki i chwałę. Za ledwie rok po jego odejściu macie czelność zdradzić wdowę po nim i jego syna.

- Pani, proszę nie starać się zyskać na czasie - odpowiada zirytowany głos. - Proszę wstać. Czekaemy na panią na zewnątrz.

Spiskowcy wychodzą, służące, szlochając, padają na podłogę. Matka przygląda się sobie w lustrze. Owal z brązu odbija bladą twarz i czarne oczy. Jak ta twarz mogła znieść tyle zawirowań? Jak to możliwe, że ciągle oddycha, żyje? Czy to plan bogów, że jest w samym środku takich ziemskich udręczeń? Dlaczego mężczyźni siłą biorą ją na świadka i współnika tych ich wojen, ich intryg? Fryzjerka płacząc, zaczesuje jej długie włosy, pasmo za pasmem, na czubek głowy. Stopniowo powstaje kok w kształcie piwonii.

Pałac ogarnia wrzenie. Żołnierze siłą otwierają i przeszukują wszystkie sejfy. Spiskowcy ponaglają Matkę. Mówią, że Yifu jest zamknięty w pawilonie, ale po podpisaniu detronizacji będzie mogła razem z nim opuścić Zakazane Miasto. Grożą, że jeśli odmówi, oboje natychmiast zostaną straceni. Matka domyśla się, że chcą ogłosić „jej decyzję” na porannej audiencji; przedłuża ich oczekiwanie, twierdząc, że przy podpisywaniu cesarskiego edyktu musi mieć na sobie galowy strój i ozdoby najwyższej Cesarzowej. Kiedy kończy paradną toaletę, słońce jest już w zenicie. Nic sobie nie robiąc z groźnej bieżącej

żołnierzy, rozwija przedstawiony jej dokument. Elegancko wyważone słowa punktują długie oskarżenie w pierwszej osobie:

„Nieszczęście spadło na rodzinę Cesarską, niełaska niebios uderzyła w ziemię. Poprzedni Cesarz odwrócił się od marności tego świata śmiertelnych, aby osiąść wśród gwiazd wieczności, pozostawiając w zawieszeniu swą wielką karierę. Yifu, mój syn, miał utrwać jego boską chwałę. Jednak opatrność zesłała na mnie cios i zgryzotę z powodu jego postępowania. W czasie głębokiej żałoby, gdy smutek okrywał świat, tylko mój syn śmiał się i wypowiadał zuchwałe słowa. Sprowadzał do swego pałacu muzyków, śpiewaków kastratów i najlepsze tancerki, zaniedbywał sprawy wagi państwowej. Zamiast zachować wstrzeźliwość, podwoił liczbę podawanych potraw, przedkładał też służące nad małżonki. Zamiast odsunąć się od nieczystej krwi kobiecej, zabawiał się w akuszerkę... Tortura stała się jego ulubioną zabawą. Osobiście chłostał niewinnych, by zabawić konkubiny. Budowa jego pałaców, zimowego i letniego, wyczerpała cesarski skarbiec do dna, chłopci utracili ziemię, robotnicy umierają pod ciężarem morderczych prac. Szloch ich żon wprawia bogów w gniew... Za jego panowania cesarski dom okrył się niesławą. Jakże może kontynuować plany mego zmarłego małżonka i podbijać dziesięć tysięcy miast Północy? Dzisiaj ja postanawiam zdetronizować go i wprowadzić na tron jego młodszego brata...”.

Zirytowani jej opieszałością spiskowcy wchodzą do pokoju i czekają, z szablami na kolanach. Matka unosi wzrok, jej spojrzenie wędruje poza mur z ludzi. W ogrodzie ptaki wydają trele, drzewa wybuchają zielenią. Znowu wiosna! Jej spojrzenie powraca ku spiskowcom, omiata ich twarze. Mają ściągnięte rysy, opuszczone powieki. Który z nich jest najambitniejszy? Który zdoła uśmiercić innych i zostać panem świata? To wszystko jest Matce zupełnie obojętne.

Co wybrać? Uratować życie synowi, ale sprawić, że straci honor? Ochronić honor syna, ale doprowadzić do jego zguby? Jeśli nie przyjmie edyktu, który na zawsze hańbi imię Yifu, spiskowcy zabiją ją, tak jak i jej syna, i to zapoczątkuje wojnę domową pomiędzy wiernymi i zdrajcami. Jeśli podpisze edykt, wprowadzi syna do kronik dynastii jako wyrodnego następcę swego ojca, jako najmarniejszego i najbardziej godnego potępienia Syna Niebios.

Bogowie dają jej do rąk możliwość wyboru, nie pozostawiając wolności wyboru.

Zbiera wszystkie siły i prostuje się.

- Panowie, wypaczyliście testament mojego małżonka, a to on podniósł was do rangi wielkich panów. Pogwałciliście godność wdowy, zawzięliście się, by podkopać prawowitość sieroty, która obdarzyła was zaufaniem. Droga, którą obraliście, nie jest moją drogą.

Matka drze dokument.

- Pozostawiam wam wybór rozwiązania.

## ***Rok 424***

Kupcy zdejmują drewniane zasłony z okien. Wędrowni sprzedawcy ustawiają swe stragany na narożach ulic. Idące kłusem konie stukają kopytami o bruk z dużych kamieni. Siedząc w powozie pokrytym szarą tkaniną, Matka obserwuje budzące się do życia miasto. Jian Kang, stolica dynastii Południa, przyniosła sukces jej mężowi i klęskę synowi. Matka opuszcza to miasto na zawsze! Nigdy nie przywiązywała wagi do panujących w nim mód ubierania się, kuchni, mieszkania. Nigdy nie spacerowała po okolicy, nigdy nie odwiedziła zalesionych gór, nigdy nie kontemplowała rzeki Jangcy z wysokości słynnych pagod. Nigdy nie przyjmowała poetów tego miasta, jego malarzy, muzyków. Weszła do Zakazanego Miasta jak samica papugi: żeby opiekować się i walczyć. Wyszła zmizerniała i osamotniona. Wbrew jej woli Jian Kang uczyniło z niej sławę nad sławy; wbrew jej woli także Jian Kang uczyniło ją najnieszczęśliwszą z matek.

- Zatrzymać! - woła.

Powóz nieruchomieje. Żołnierze przebrani za kupców podchodzą bliżej. Stanowczym głosem wyjaśnia, że ma pragnienie i chce wysiąść, by napić się herbaty. Po uzgodnieniu żołnierze otwierają drzwiczki. Jeden z nich pada na ziemię, by jej posłużyć za podnózek.

Ogarnia ją drżenie, gdy stopami dotyka ziemi. Od dwudziestu lat nie chodziła po ulicy! Słońce unosi się pomiędzy

dachami. Ludzie odwracają się, zaskoczeni widokiem wśród przechodniów zawołowanej, ubranej w brokaty kobiety. Siada w herbaciarni. Młody kelner podbiega i pyta, co podać. Matka rumieni się.

- Proszę przynieść wszystko, co macie - mówi w końcu.

Herbaciarnia jest otwarta ze wszystkich stron. Przechodnie chodzą tuż przy balustradach. Mężczyźni i kobiety niskiego pochodzenia, ubrani w lniane lub bawełniane, bezbarwne przyodziewki, rozmawiają, oglądają wystawione na straganach towary, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Lud nigdy nie widział swojej Najwyższej Cesarzowej.

Echo ich rozmów brzęczy jej w uszach. Poprzez muślinową woalkę jej spojrzenie zatrzymuje się na parze młodych ludzi. Kobieta, około dwudziestoletnia, opiera się o męża, wskazuje palcem powiewające na wietrze tkaniny na straganie sukienika i szepcze coś mężowi do ucha. Mężczyzna przetrząsa kieszenie, wygląda na zażenowanego, odciąga ją dalej.

- Hej!

Matka chce ich zawołać, by ofiarować im tę tkaninę. Gina jednak w tłumie. Z dziwnym uciskiem w sercu odwraca się do młodego kelnera, który zastawia stolik smakołykami: ciasto z granatem, tarta z przepiórczymi jajkami i pastą z czerwonej fasolki, chrupiący naleśnik o smaku pomarańczowym, nadziewany masą z brzoskwini, kleisty ryż ze śliwkami i czarnym sezamem. Po chwili wykwintne dania zajmują cały stół. Matka próbuje po małym kęsie każdego.

Żołnierze dyskretnie napomykają, że już czas jechać. Matka wstaje i idzie w stronę powozu, podczas gdy kelner biegnie za nią, wołając:

- Pani zapomniała zapłacić!

- Zapłacić?

Zbita z tropu, rozgląda się wkoło. Oburzenie kelnera przyciąga tłumek ciekawskich.

- Co to znaczy „zapłacić”? - pyta.

- Pieniądze! Ma pani pieniądze?

Kelner jest wzburzony.

„Pieniądze”, nigdy nie miała ich w ręku. Żołnierze otaczają kelnera, chwytają go za kołnierz i odciągają na bok. Matka wsiada do powozu, serce jej mocno bije.

Drzwiczki się zamykają. Pomyślność i klęska świata ludzi nie mogą już jej osiągnąć.

Konie idą kłusem brzegiem rzeki w kierunku miasta Jing Ko, wzdłuż szmaragdowego odbłasku falezy. Góry są otwartą księgą. Nikt jednak nie odczytuje ich słów i nie rozumie ich sensu.

Matka przejeżdża obok swojej dawnej rezydencji, lecz się nie zatrzymuje. Wysiada z powozu u stóp gór Siła Północy i siada w lektyce niesionej przez czterech żołnierzy. Żołnierze wchodzą po stromych schodach liczących trzy tysiące stopni, przekraczają bramę klasztoru Wielkiej Litości, kłaniają się i odchodzą.

Przełożona Świetlista Jasność stoi na czele mniszek przyjmujących Matkę. Witają ją ze złożonymi rękami. Matka szuka kogoś wzrokiem. Mniszki rozumieją jej pośpiech, więc się wycofują, tylko jedna pozostaje w bezruchu. Matka podchodzi do niej, wyciąga ramiona. Mniszka robi krok do tyłu. Kłania się, składając ręce. Jej pokłon jest odrzuceniem. Powstrzymując łzy, Matka pochyla się i oddaje pokłon. Tym razem Huiyuang nie może uciec, bo Matka postanowiła ogolić głowę, by także zostać mniszką.

Bez słowa powitania, bez śladu radości, nie zadając pytań o dwa lata rozłąki, Huiyuang wraca do swojej celi. Matka stoi chwilę przed drzwiami, po czym także odchodzi.

Idzie do pokoju, który przydzielili jej mniszki, i opada na wąskie łóżko. Jej plecy uderzają w drewno deski, zamiast zanurzyć się w miękkiej jedwabnej pościeli. Zrywa się i przewraca na brzuch, zakrywając twarz rękami. Odtąd będzie musiała

nosić na piersi ciężar rodzinnej tragedii, którą chciałyby dzielić z Huiyuang.

Spiskowcy oszczędzili jej życie i życie jej syna, bo udało im się podrobić jej pismo. Ogłosili edykt i zmusili Yifu do abdykacji. Na tronie osadzili jego brata Yizhena, nie przeczuwając, że sześć miesięcy później bliscy trzeciego księcia, Yilonga, syna innej konkubiny, przygotowują następny zamach stanu. Nowi spiskowcy zabili dawniejszych spiskowców i usunęli Yizhena. Dwaj bracia, Yifu i Yizhen, urodzeni w odstępie miesiąca, w Jing Ko i w Jian Kang, zostali zamordowani w odstępie kilku dni. Mieli zaledwie po osiemnaście lat. Za życia, sterowani przez dwa rywalizujące polityczne obozy, patrzyli na siebie z nienawiścią, rozmawiali opryskliwie. Po śmierci zostali pochowani obok grobu ich ojca, jak dwa ramiona wyrastające z tego samego tułowia. Na ich tumulusach ćwierkają ptaki, tak jakby sobie w końcu wybaczyli; odtąd śpiewają w harmonii. Yilong, najmłodszy z trzech synów, został czwartym cesarzem z dynastii Song...

Włosy, czarne jak pióra kruka, opadły i zostały uniesione, rozproszone przez wiatr. Matka, z ogoloną głową, przyjmuje imię Czystość Pustki i szarą zakonną szatę. Złudzenia ulatują jak zwiędłe liście, mówi przełożona Świetlista Jasność na zamknięcie ceremonii.

Tego roku po raz pierwszy Czystość Pustki nie świętuje swoich urodzin. Pada do stóp Buddy i modli się. Wiosna szukała jej w dwóch miastach, a dopadła na szczycie gór Siła Północy. Przestała już myśleć o wiośnie, gdy nagle jabłonie okryły się różem, a grusze bielą. Mniszki otworzyły ule, do pszczół dołączyły motyle, wdzięcznie podrywające się do lotu. W drzewach zbierają nektar, wysysają, brzęczą i wibrują. Obserwuje je z otwartymi ustami. Ciągle cierpi na ból w piersiach.

Ma czterdzieści lat i już trzy życia za sobą.

Sześć



## ***Rok 581, dynastia Chen***

Kogut śpiewa jak opętany. Jego długi triumfalny tryl wyrywa Shen Fenga ze snu. Odwraca się i nastawia ucha. Dom jest pogrążony w ciszy. Nie słychać chrapania starego lutnika. Przypomina sobie nagle, że jego mistrz odszedł. Shen Feng wzdycha i wstaje. Aby oszczędzać świece, przyzwyczał się poruszać w ciemności. Ręce natrafiają na tunikę, którą miał na sobie poprzedniego dnia. Mimo że uprał ją w rzece, ciągle pachnie grobem: słodki, mdlący zapach, mieszający się z mdlawym odorem kurzu. Wkłada ręce w rękawy, chwyta wewnętrzny sznureczek i go zawiązuje. Podnosi pasek leżący na ziemi, wiąże go w pasie. Spod poduszki wyciąga drewniany grzebień. Opadające na ramiona włosy są sztywne jak wyschła trawa, liczne kołtuny zaczepiają się o grzebień. W końcu palcami zaczesuje je do tyłu i zawiązuje w kok, który spina drewnianą szpilą. Jego palce u nóg trafiają po omacku na boty, które wkłada. Ogień w piecu wygaśł, ale węgle jeszcze się żarzą. Znajduje stojący obok gliniany dzban, nabiera wody chochlą. Wypija kilka łyków. To jego śniadanie.

Wychodzi z domu. Migocą gwiazdy inkrustowane w ciemnym błękitcie nieba; gwiazda Północy zapowiada nadejście świtu. Shen Feng zamyka drzwi. Mistrz i on nigdy nie używają kłódki. Często zastają myszkujące tu wędrowne zwierzęta. Jeszcze nie zetknęli się ze złodziejstwem. Sąsiedzi sobie pomagają, nawzajem doglądają swoich dóbr. Ale wioska jest tak biedna, że rabusie ją

omijają, by nie zarazić się nędzą. Shen Feng robi krok w ogrodzie, potem waha się chwilę. Wraca do domu. Jego ręce gładzą deskę z sarkofagu, którą umieścił pod materacem, aby przywrócić ją do życia. Odsuwa ją pod samą ścianę i przykrywa słomą. Uspokojony wychodzi, robi kilka kroków, zatrzymuje się, znowu wraca. Wrzuca do pieca kępkę siana i dmucha na węgle. Płomienie się rozpalają. Wydobywa deskę i głaszcze ją palcami. Z obawy, aby w czasie jego nieobecności nie pogryzł jej szczur, zanosí ją do kąta, który służy za pracownię. Wchodzi na kamień szlifierski, wsuwa deskę pomiędzy belki sufitowe i chowa pod stosem bambusowych liści, pełniących rolę dachu.

Na dworze niebo jaśnieje, co zapowiada słoneczny dzień. Shen Feng zbiega z boczem w stronę wioski. Słońce wyłania się zza horyzontu, omiata pola i drzewa, dopada go na środku drogi i oplata ramionami. Ciepłe promienie obciążają ramiona lutnika i zatrzymują go. Shen Feng unosi twarz, głęboko wdycha poranne powietrze. Słońce wpada w nozdrza, wnika w płucą. Gdy już cały jest przepełniony jego światłem, rusza w drogę.

Im głębiej w las, tym bardziej droga gubi się w rozwidleniach. Niektóre ścieżki prowadzą donikąd, inne wiodą nad jezioro albo wiją się w stronę gór, jeszcze inne, nieskończone, kręte, kluczą w kółko po lesie. Tylko jedna prowadzi do rzeki Jangcy i miasta Jing Ko.

Od kiedy ludzie tkają ten rozległy labirynt, wydeptując stopami ziemię? Las, ze swym gąszczem i drzewami o bujnym listowiu tworzy mur, który osłania wioski rozsiane w górach Siła Północy. Zniechęceni trudną drogą, w obawie przed zabłądzeniem, poborcy podatkowi przestali tam przychodzić. Odwiedzają natomiast wioski leżące wzdłuż brzegów rzeki i nękać chłopów. W obstawie żołnierzy wpadają do najmniejszej nawet osady, zabierają zboże i beły utkanej bawełny, której ilość została prawnie ustalona. Bezlitośni, brutalni, wydzierają więcej, niż powinni, bo wszystkie szczeble cesarskiej hierarchii zatrzymują

na własny rachunek część zdobyć. W latach obfitych zbiorów zostawiają chłopom tyle, ile wystarczy na przeżycie. W latach złych zbiorów, nie mogąc opłacić podatku, chłopci zostają aresztowani i stają się niewolnikami na cesarskich placach budowy. Niektórzy spośród nich uciekają i od tej chwili żyją na niedostępnych górskich wysokościach.

Shen Feng odnajduje swą drogę dzięki drzewom, których zna każdą odmianę. Każdemu przypisał jedną nutę i zapamiętuje drogę do miasta, tak jakby była długim utworem na cytrze. Dzieli drzewa na grupy i gra akordy wypływające z nastroju chwili. Zmienia melodię, wchodząc w zakręty. Drzewa, ciesząc się, że je wita, poruszają listkami.

Tu i ówdzie ślady łani i bażantów odciskają się na mchu i wiosennych kwiatach. Słońce prowadzi Shen Fenga aż w gąszcz lasu. Wypatruje go poprzez listowie i przeskakuje z gałęzi na gałąź, aby go poprzedzać lub iść za nim. Kiedy Shen Feng przystaje i zwraca ku niemu twarz, słońce stara się jak najszybciej obrzucić go swymi złotymi monetami. Przez zamknięte powieki Shen Feng widzi tysiące ciemnych plam, które drżą i wirują w cynobrowej mgłę. Czasem podobne są do sapeków z brązu, obiecujących bogactwo i szczęście, czasem rozpraszają się, wlatując w górę, jak żałobne monety z papieru, które żywi palą dla zmarłych.

Tysiące monet! Kto wymyślił te okrągłe sapeki z kwadratową dziurką pośrodku, przez którą przewleka się sznurek? Bogacze nawlekają je na rzemyk i pobrzękując, kładą na sklepowej ladzie. Biedacy zbierają je do długiej, płaskiej sakiewki, wyjmują po jednej, dopiero gdy wszystkie przeliczą i pogładzą. Zanim się z nimi rozstaną, jeszcze przeliczają, tak jakby stłoczone w sakiewce mogły się rozmnożyć.

Gdy mistrz miał pieniądze, zawijał monety w chusteczkę i niezręcznie związywał jej cztery rogi. Podchodził do Shen Fenga z rozpromienioną miną, a oczy mu błyszczały z dziecięcej radości. Rozwiązywał supły, wtedy monety wypadały.

- Bierz! - mówił do Shen Fenga - zafundujemy sobie porządny posiłek!

Porządny posiłek! Dla Shen Fenga, który często miewał pusty brzuch, to oznacza dymiący talerz pełen gotowanego mięsa, białego ryżu do woli i alkoholu spływającego do gardła, wywołującego zawrót głowy. Pieniądze mają zapach ostrych potraw, ciepło wrzącej zupy, smak nadziewanych bułek, naleśników smażonych w oleju, a przede wszystkim kęsów baraniego udźca, kotleta, żeberka, wszystkiego tego, co pozwala zapomnieć o przeszłych smutkach i przyszłych niepokojach.

Z deski sarkofagu wykroi replikę cytry pani Cai Yan. I wtedy pieniądze spadną z nieba jak słoneczny deszcz albo jak ulewa żałobnych monet. Shen Feng tańczy z ręką nad głową. Przyglądają mu się rosnące wokół tungowce, paulownie, jesiony, kasztanowce, klony, akacje. Las podobny jest do gromady ludzi o nieznanymi nazwiskami, wieku ani przeznaczeniu. Tak jak cienie splecione z listowiem, szczęście i cierpienie, obfitość i nędza są jednym i tym samym przelotnym snem.

- Zdecydowałeś się? - pyta Wielki Liu, udając zaskoczenie.  
- Kiedy możesz mi ją dostarczyć?

Shen Feng popija herbatę. Chciałby poprosić o zaliczkę, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Żałuje, że przyszedł do sklepu antykwariusza, nic nie mówiąc Zhu Bao. Zaznajomiony z tutejszymi sklepikarzami Zhu Bao potrafiłby wyrwać Wielkiemu Liu potrzebną sumę. Shen Feng pokasłuje i mamrocze jakieś kłamstwo:

- Zeby zrobić cytrę pani Cai Yan, muszę kupić najlepsze materiały. Na przykład pień tysiącletniego drzewa na płytę rezonansową... To... bardzo trudno znaleźć i... jest bardzo drogie... Muszę poszukać na czarnym rynku belki z cesarskich pałaców dynastii Song i Jin...

Wielki Liu mierzy go od stóp do głów. Serce Shen Fenga wali gwałtownie. Chłopak ma wrażenie, że antykwariusz, który sprze-

daje podróbkę jako rzecz prawdziwą, potrafi wyczytać w jego oczach kłamstwo i prawdę. Pochyla się i opuszcza głowę.

- Ile chcesz?

Feng czerwieni się.

- Nie wiem. Może ty wiesz... Trzy tysiące sapeków?

Usta Wielkiego Liu rozciągają się, podwijają, ukazując złote zęby. Wybucho śmiechem.

- Mam lepszy pomysł!

Klepie go w ramię, jego podwójny podbródek drży.

- Dwie cytry! Chcę dwie cytry pani Cai Yan!

Zdezorientowany Shen Feng nie wie, czy ma się śmiać, czy zaprotestować.

Wielki Liu wstaje i znika za parawanem, dzwoniąc jaspisowymi kółkami wiszącymi u paska. Wraca i rzuca do rąk Shen Fenga mały, lecz ciężki woreczek.

- Otwórz, otwórz! - mówi, usilnie nalegając.

W jego oczach błyszczy ciemny ogień.

Shen Feng pociąga za sznureczki i wysypuje na dłoń zawartość woreczka: osiem grudek żółtego metalu. Wielki Liu wykrzykuje:

- Zadatek, Shen Feng! Kup duży pień drzewa i przepiłuj go na dwie części. Chcę mieć dwie identyczne cytry, słyszysz? Dwie cytry pani Cai Yan!

Shen Feng unosi kawałki metalu do oczu, z niedowierzaniem. Czy to złoto? Czuje ucisk w gardle. Szum w uszach. Nigdy w życiu jeszcze nie dotykał złota. Nigdy sobie nie wyobrażał, że będzie je trzymał w ręku. Ogarnia go euforia pomieszana z przerażeniem. Przez głowę przelatują myśli, jak oszalała ze strachu chmara wróbli. Pokrywa wystarczy na jedną cytrę, ale żeby zrobić drugą, będzie musiał jeszcze raz pójść do grobowca i zdezastować sarkofag. Mimo że cmentarz jest najrzadziej odwiedzanym miejscem klasztoru, zawsze może istnieć jakieś niebezpieczeństwo... Natomiast mając złoto od Wielkiego Liu, na pewno zdobędzie na rynku pień starego drzewa... Ale Zhu Bao

potrzebuje pieniędzy, żeby jak najszybciej opuścić kraj razem z mniszką. Jeśli da mu grudki złota, nie wystarczy na kupno potrzebnego drewna... A bez starego drewna nie da się zbudować dwóch cytr, których żąda Wielki Liu... Będzie więc musiał jeszcze raz pójść na cmentarz, narażając się na wpadkę... Albo zwrócić Wielkiemu Liu połowę zaliczki, czyli cztery grudki złota, i powiedzieć, że może zrobić tylko jedną cytrę...

Shen Feng zbiera się w sobie. Dlaczego miałyby oddać złoto? Za to złoto jego mistrz mógłby mieć dom, dobre jedzenie, żonę, a może dwie...

- To nic! - gromki głos Wielkiego Liu ucina owe kalkulacje. - Razem zbijemy majątek!

Wielki Liu cieszy się jak dziecko. Unosi lewą dłoń, dużą, pulchną i macha nią przed oczami Shen Fenga, potem podnosi i obraca prawą rękę.

- Przypatrz się, oto moje dwie ręce, są prawie identyczne, prawda?

Shen Feng marszczy brwi; nie rozumie tego żartu. Wielki Liu splata dłonie, klaszcząc.

- Proszę bardzo! - mówi pękając ze śmiechu. - Jestem najlepszym handlarzem wszech czasów...!

Śmiech antykwariusza wywołuje gęsią skórę u Shen Fenga, który ściska w dłoni grudki złota. Złoto nie świeci się tak jak w ludowej legendzie. Shen Feng nie wie, czy powinien włożyć je do woreczka, czy zostawić w bezpiecznym ukryciu pod palcami. Nie wie, czy naprawdę należą do niego. Może źle usłyszał, a Wielki Liu mu je zabierze? Potem ogarnia go powątpiewanie: a jeśli złoto Wielkiego Liu jest fałszywe?

Rozlega się głos antykwariusza:

- Nie rób takiej miny, Shen Feng! Zaraz ci wszystko wyjaśnię! Wielki Liu zniża głos.

- Popatrz, ta ręka, lewa, to Północ. Na Północy generał Yang Jian przechwycił tron, zgładził księżętę, obalił dynastię

Zhou i założył dynastię Sui. Dążył do zdobycia Południa. Ale ten Syn Niebios, zaciekły wojownik, który trzyma sprawy Państwa żelazną ręką, obawia się jednej osoby...

Wielki Liu kaszle i śmieje się. Po chwili mówi dalej:

- Jego żona, Cesarzowa, pochodzi z klanu Gudu. Jej ojciec, może o nim słyszałeś, to słynny Gudu Xin, waleczny książę o pięknej twarzy, na polu bitwy z daleka widoczny dzięki swej wspianałej zbroi. Dwustuletnia wojna Północ-Południe wykreowała zastępy bohaterów, a Gudu Xin jest jednym z nich. Klan Gudu pochodzi z Xongnu, ale jego potomkowie żyli wśród ludu Xianbei. Dzięki swej legendarnej waleczności sprzymierzyli się z klanem Tuba, który założył dynastię Wei, a kobiety Gudu wydały na świat wielu cesarzy. Bez poparcia klanu Gudu Yang Jian, Chińczyk nigdy nie zdołałby obalić dynastii Zhou z plemienia Xianbei i założyć dynastii Sui. Wydana za mąż za Yang Jiana w wieku czternastu lat Cesarzowa Gudu jest osobą wykształconą i porządną. Jeśli kobieta traktuje ambicje swego męża jak obowiązek małżeński, jest bardziej gorliwa i bardziej zdeterminowana niż on sam! Co rano o świcie Cesarzowa towarzyszy małżonkowi w drodze do bramy pałacu audiencji. Oczekuje go w cesarskim powozie, zabiera z powrotem, gdy stwierdzi, że skończył pracę... Cha, cha...

Wielki Liu wybucha śmiechem. Trzęsą mu się policzki, oczy zwięzają się w dwie szparki.

- Gdybym miał taką żonę, od dawna już ledwie bym dyszał! Ale Yang Jian, cesarz z nieokrzesej dynastii Sui, boi się jej. Przysiągł jej, że nigdy nie spłodzi dziecka z inną kobietą. Dumna i zazdrosna Cesarzowa Gudu zaprowadziła ład w wewnętrznych pałacach. Wszystkie służące mają zakaz malowania się i noszenia kolorowych sukien. Wszystkie, które starały się pozyskać względy Cesarza, zostały skazane na śmierć. I ten Cesarz tyran godzi się na tyranie Cesarzowej...!

Wielki Liu opuszcza lewą rękę i unosi prawą. Cienkie linie przecinają jego dłoń i gubią się w szczelinach między palcami. Wyglądają jak gęsta sieć dróg otoczonych polami i ryżowiskami.

- I dochodzimy do naszej dynastii z Południa, zielonego królestwa wypędzonych dusz... Kiedy umarł Cesarz z naszej dynastii Chen, najstarszy z czterdziestu dwóch książąt został cesarzem. Podczas ceremonii żałobnej któryś z czterdziestu jeden braci przyskoczył do nowego cesarza i poderżnął mu gardło nożem ukrytym w rękawie. Ten jakimś cudem przeżył. Ale, ale...

Antykwariusz potrząsa głową.

- Na Północy, wspierany przez swoją Cesarzową, Yang Jian rozwija rolnictwo, reformuje armię, zwołuje ludzi kompetentnych i przygotowuje się na wojnę z resztą świata. Na Południu nasz Cesarz, ocalony z bratobójczego ataku, od chwili powrotu do zdrowia zaniedbuje sprawy państwowe. Na Północy panuje oszczędność i gospodarność. Na Południu Dwór wydaje bez opamiętania. Dla trzech cesarskich faworyt wzniesiono trzy połączone ze sobą wiszącymi mostkami wieże z drzewa sandałowego o zawrotnej wysokości. Podobno w Jian Kang, gdy jest ładna pogoda, można je dostrzec w chmurach. Obwieszane klejnotami, ubrane w jedwabne suknie z długim trenem faworyty wiodą beztrioskie życie niebiańskich nieśmiertelnych. Najbardziej uwielbiana Zhang Lihua ma zaledwie szesnaście lat i jest dwa razy niższa niż inne kobiety. Ale jej włosy są tak długie, że wiją się jeszcze w łożu, gdy ona już wychodzi z pokoju. Cesarz ufa tylko tej jednej dziewczynie, która była służącą, zanim została podniesiona do rangi cesarskiej małżonki. Kiedy Cesarz przyjmuje ministrów, bierze ją na kolana i to ona odczytuje dokumenty, prowadzi rozmowy z urzędnikami i rozstrzyga rozmaite sprawy! Zarówno na Południu, jak i na Północy rządzą kobiety!

Wielki Liu gestykuje z rezygnacją.



- Ty i ja jesteśmy plebejuszami, kamyczkami przy drodze, chwastami w polu! Nie mamy pojęcia o przyjemnościach! Zamknij oczy i wyobraź sobie przez chwilę życie cesarzy. Gdy tylko się obudzą, urodziwe służące przynoszą im haftowane tuniki i szaty uszyte z miękkiego jedwabiu. Na stołach podane są rozmaite potrawy, ale cesarzowie nie próbują nawet połowy z nich. W lecie eunuchowie machają wachlarzami z pawich piór; zimą w cesarskich grzejnikach płoną gałązki drzewa sandałowego. Kobiety, wysokie, niskie, grube, chude, blade, ciemne, 0 talii osy, pachnącym ciele, o zamglonym spojrzeniu, słodkich ustach mają także białe, delikatne, drobne rączki, które potrafią pieścić i tulić. Jeśli sprzedam te dwie cytry, wezmę sobie o trzy konkubiny więcej. To lepsze niż kurtyzany, które liczą godziny i bezlitośnie przepędzają klientów z pustymi sakiewkami. Konkubiny przynajmniej siedzą w wewnętrznych mieszkaniach. Można się z nimi zabawić, kiedy się chce... Ej, Shen Feng, nie czerwień się!

Wielki Liu milknie, wypija filiżankę herbaty i śmieje się:

- Dwie cenne cytry dla dwóch władczyń świata! Jeśli jedna cytra jest fałszywa, druga musi być prawdziwa! Ta, która kupi prawdziwą, będzie przekonana, że druga kupiła fałszywą. Jeśli nie ma „kopii”, nie sprzedaje się „oryginału”! No już, Shen Feng, idź szukać pnia. Będziemy bogaci, bardzo bogaci...

Ulica ciągnie się, wije w słońcu. Ulica jest rzeką pełną rozżarzonych błysków, gdzie kupcy kręcą się, krzątają, żeby przyciągnąć łupy. Na południowym niebie nie ma jednej chmurki. Zgiełk tłumu układa się w chaotyczną muzykę, w której miesza się strach, zazdrość, niecierpliwość, radość i rozpacz.

Shen Feng idzie środkiem ulicy, grudki złota ma wciśnięte pod tunikę. Zawieszane na piersi, poruszają się w rytm jego oddechu, z każdym krokiem przypominając mu o swoim istnieniu. Wokół niego handlujący ludzie kłóca się i godzą, usilnie łaknąc

bogactwa. Gdyby wiedzieli, że Shen Feng niesie przy sobie złoto, poderżnęliby mu gardło, aby zdobyć sakiewkę.

Ze zniechęceniem zastanawia się, co by sobie kupił w najbliższej przyszłości. Nowe ubrania? Te, które ma, są wygodne i łatwe do wkładania. Dobry posiłek? Co ciekawe, jego ciało nie reaguje na taki sygnał. Ma ściśnięte gardło, nie jest głodny. Gdyby stary lutnik tu z nim był, ucztowaliby i pili do rana. Shen Feng wzdycha i przyspiesza kroku. Spieszno mu do restauracji Pomyślny Wiatr, gdzie Zhu Bao zapewne je obiad ze swoją bandą.

W oddali długoie uderzenia gongu w powolnym rytmie ogłuszają przejście skazanych na śmierć. W Jing Ko egzekucja jest spektaklem, który przyciąga całe miasto. Otwierają się okna, przybiegają dzieci, tłum gromadzi się wzdłuż ulicy w oczekiwaniu na pochód skazańców. Shen Feng wślizguje się przed wejście do sklepiku. Obok niego ptasznik postawił na ziemi swoje klatki. Łopocząc skrzydłami, ptaki kłębią się nerwowo. Shen Feng przykuca i droczy się z nimi gwizdaniem. Nagle słyszy głos wołającego dziecka: „Mniszka! Popatrz, mniszka!”. Po jego okrzyku następuje fala szeptów: „Mniszka, która zbłądziła, co za hańba...!”. Shen Feng natychmiast się podnosi i toruje sobie drogę poprzez tłum. Środkiem ulicy defiluje, w szcękę broni, grupa żołnierzy w szkarłatnych tunikach, co symbolizuje ich przynależność do oddziału karnego. Prowadzą na postronku mężczyznę i kobietę związanych plecami do siebie. Oboje są zakneblowani, a na głowach niosą tabliczki z napisem „stracony”. Shen Feng rozpoznaje Zhu Bao i młodą mniszkę. Ich ubrania są poplamione krwią, oblepione grudami ziemi, a twarze umazane kurzem. Co się stało? Czy po raz drugi poszli do grobowca szukać ukrytego skarbu? Jak ich złapano? Czy ich przesłuchiowano, torturowano?

Chwyciły go mdłości, zasłania sobie usta. Chce iść z pochodem, ale ma skurcz mięśni i ucisk w żołądku. Obok niego około sześćdziesięcioletni mężczyzna mówi głośno:

- ...Gubernator chce dać przykład. Kazał natychmiast ich stracić!

Od razu otaczają go ciekawscy przechodnie i proszą o wyjaśnienie.

- Wczoraj złapali ich w grobowcu! - odpowiedział wszystkim wiedzący.

- Przypatrz jej się, ma oczy lisicy - rzuca przechodzień.

- Hej tam, ślicznotko, tu jestem!

- Mówi się, że mniszki tylko o tym myślą! - śmieje się inny. - Podobno są w tym najlepsze.

- Idiota. Żeby to robić, nie trzeba chować się w grobowcu - zachnął się człowiek, który pierwszy się odezwał. - Usiłowali splądrować grób cesarzowej z dynastii Song.

- Gdzie?

Jeszcze inna osoba włącza się do rozmowy:

- Naprawdę? Jakiej cesarzowej?

- Małżonki Cesarza Liu, zdobywcy królestw Północy, który był wojskowym gubernatorem Jing Ko. Wszyscy myśleli, że umarła po abdykacji swego syna Yifu. W rzeczywistości została mniszką w klasztorze Wielkiej Litości, w górach Siła Północy.

- Powiedz, skąd to wiesz?

- Mój kuzyn jest strażnikiem Bramy w rezydencji gubernatora. Był tam wczoraj wieczorem, gdy rozzłoszczone mniszki zapukały do drzwi i zażądały nadzwyczajnej audiencji. On nazywa się Zhu Bao. Ona jest mniszką z klasztoru Wielkiej Litości.

- A co ze skarbem? Ile jest tam złotych monet?

- Na razie ani jednej! - mężczyzna ścisza głos. - Gubernator kazał zamknąć klasztor i odgrodzić całą posiadłość. Pośle tam wojsko na przeszukanie terenu.

- Wojsko?

- Kto dzisiaj nie potrzebuje pieniędzy? Gubernator pierwszy... Ten, kto ma pieniądze, może kupić sobie żołnierzy

i konie i stać się możliwym panem. Podobno jest jeszcze jeden współnik... Szukają go...

Shen Feng wycofuje się i daje nura w tłum. Po chwili zwalnia kroku, usiłuje przybrać normalną minę. Pochód idzie w dół ulicy, ludzie się tłoczą w ślad za nim. Wolny rytm uderzeń gongów wywołuje pulsowanie krwi w uszach. Shen Feng stara się iść pod prąd. Jednak mężczyźni i kobiety napływają z czterech stron miasta, aby dołączyć do gapiów. Jak wzbierająca fala, tłum zwiera się przed Shen Fengiem, napiera na niego i go porywa.

Estrada Śmierci wznosi się pośrodku targowiska. Mimo że usytuowano ją w najbardziej ruchliwej dzielnicy miasta, plac, na którym się znajduje, jest opustoszały i ponury, opanowany przez psy i błakające się koty. Nawet wieczorami, podczas pełni księżyca, nikt nie waży się tamtędy przechodzić ze strachu przed zjawami, które mogłyby wyłonić się zza balustrady poplamionej krwią i resztkami mózgu. Żołnierze trącają lancami psy i koty wylegające się na słońcu. Zwierzaki prychają, warczą i odchodzą, by położyć się nieco dalej. Młodzi, wywleczeni naprzód, potykając się, maszerują w stronę podium. Nagle Zhu Bao przewraca się, pociągając na ziemię mniszkę, która zaczyna krzyczeć pomimo zakneblowanych ust. Żołnierze kłują ich włóczniami. Oni kulą się. Ich nogi się poruszają. Zalane łzami i potem twarze lśnią jak dwa lustra. Gdy tylko stają na nogi, znowu padają. Żołnierze biorą ich za kołnierz i siłą ciągną w stronę estrady. Pozostawiają za sobą długą brunatną smugę.

Rozlegają się śmiechy.

- Tchórze... zsikali się...

Z ogólnego gwaru daje się słyszeć tubalny głos:

- Rozstąpić się! Przepuście katów!

Shen Feng odwraca się. Dwaj mężczyźni w czerni, z podwiniętymi rękawami, ojciec i syn, usiłują przedrzeć się przez zwarty mur gapiów.

- Przepraszam, przepraszam! - krzyczy starszy, popychając ludzi przed sobą.

Ktoś woła:

- Mistrzu Tan, spóźniłeś się!

Mężczyzna odpowiada:

- To nie ja! To im tak się spieszy umrzeć. Ja dzisiaj wydaję za mąż córkę.

Jeden z widzów wykrzykuje:

- Niech już grzeją wino! Mistrz Tan jest najszybszy! Od czasu gdy oglądałem twoje występy, nigdy nie widziałem, żebyś zadawał dwa ciosy! Wystarczy jeden!

- Dziękuję za komplement! Przyjdź potem na winko.

Inny głos mówi ze śmiechem:

- Mistrzu Tan, dzisiaj jest mniszka. Jak ją załatwisz? Od przodu czy od tyłu?

- Zostawiam ją synowi. Chłopak musi się szkolić, jak opierać się kobiecym wdziękom!

Tłum pęka ze śmiechu, ktoś jeszcze mówi:

- Młody, uważaj na szablę! Ostatnim razem tak daleko posłałeś głowę, że ugryzła w policzek człowieka w pierwszym rzędzie.

Syn odpowiada:

- Tym razem głowa poleci na ciebie!

Znowu rozlegają się śmiechy. Shen Feng czuje, że słabnie mu kręgosłup, miękną nogi, ręce drżą, a w gardle zasycha. Chce uciekać, ale nie ma siły. Nagle ktoś trąca go w ramię, Shen Feng się wzdyga. To kat ojciec przechodzi obok, za nim syn. Kiedy Shen Feng odzyskuje równowagę, jego wzrok pada na szablę, którą młody kat niesie na plecach. Ostrze jest osłonięte dużym, naciągniętym pokrowcem ze skóry rekina. Długą rękojeść otacza purpurowa opaska zabryzgana czarnymi plamami. Na ten widok Shen Feng nagle odzyskuje władzę w nogach. Rękami rozsuwa ludzi i jak węgorz wślizguje się w tłum.

Idzie. Biegnie. Ulice wydają mu się nie mieć końca. Długie, białe połyskują od słońca, które na nie poluje. Tak niewiele cienia jest w mieście! Shen Feng idzie pod murami, chowa się pod daszkami, przyspiesza, kiedy ktoś mu się przygląda. Pod surowym wzrokiem żołnierzy opuszcza głowę, zakrywa sobie usta i wychodzi Bramą Północną. Często się odwracając, by sprawdzić, czy nie jest śledzony, pokonuje wzgórza i tarasowe pola ryżowe. Wreszcie na tle nieba odcinają się góry Siła Północy.

Zapuszcza się w leśne labirynty.

Kluczy między drzewami.

Zbiega w stronę jeziora leżącego poniżej wioski.

Zanurza się w wodzie.

Lodowata woda szczypie rozgrzane ciało. Woda podtrzymuje rozgorączkowane czoło, masuje ociężały od trwogi kark. Woda głaszcze pierś, wpływa pomiędzy nogi, masuje uda, gładzi ścięgna, aż nogi się rozluźniają. Otwiera oczy pod wodą.

Rozpalone ulice, ludzka nawała, żołnierze w szyszakach, ptaki w klatce, wszystko to uleciało, tak jakby obudził się ze złego snu. Wokół kolumny świetlistych promieni wesoło unoszą się wysmukłe algi o pierzastych listkach. Srebrzyste ryby pływają tak, jakby latały w próżni. Krewetki drżą i się wycofują. Żaba wytatuowana w dwie żółte linie na grzbiecie płynie poprzez świetlisty słup, rozkładając i zwierając uda. Shen Feng wystawia głowę nad wodę, płynie do brzegu. Otrząsa się i kładzie w trawie, wystawiając twarz do słońca.

Okragłe, owalne ząbkowane liście tworzą ogromny rysunek na błękitnym tle nieba. Feng szeroko otwiera oczy, aż do bólu, aby uchwycić tę kojącą wizję. Gdzieś dalej odzywa się ptak. Długi samotny trel, wahający się pomiędzy radością a smutkiem. Biedronka pełźnie mu po skroni. Unosi rękę, żeby ją złapać, i wtedy orientuje się, że to łaża. Zaskoczony, otwiera usta, a potem zaciska szczęki, chcąc powstrzymać szloch, który nim wstrząsa. Motyl o czarnych skrzydełkach, przystrojonych dwoma

cynobrowymi kołami, lata nad nim pożądliwie. Shen Feng wyciąga do niego rękę. Motyl siada na chwilę na jego palcu, po czym odlatuje, trzepocząc skrzydełkami. Feng opuszcza rękę i zamyka powieki.

Odzywa się kukułka. Bzyczą owady. Plusk wody budzi w nim muzykę. Najpierw cicha i niewyraźna, potem staje się coraz głośniejsza i wręcz płomienna. Shen Feng jęczy, wzbrania się. Ale muzyka, jej długie wibrujące dźwięki obejmują go jeszcze mocniej. Z półtonów wyłania się głos kobiety, który szepcze:

- Świat jest ciemnością, ale muzyka jest światłem... Ludzie, którzy szukają muzyki, poznają jej smak... Muzyka walczy z demonami, które dręczą, wżerają się w serce, mrozą kości i spalniają krok...

Głos krąży w powietrzu, budząc w Shen Fengu dziwne uczucie błogości. Z obawy, żeby nie znikło, nieruchomieje i wstrzymuje oddech.

- Za rzeką Jangcy, pośrodku oceanu, leżą wędrujące wyspy. Ptaki o przezroczystych skrzydłach przylatują tu na rafy koralowe, dające purpurowe cienie. Rozkwitają wiotkie, kołyszące się kwiaty, a ich owoce, czerwone, żółte, niebieskie, zielone, żywią istoty lżejsze niż piórko. Wzlatują, prawie niewidoczne. To pobłyski, które mieniają się, lśnią, gasną i na nowo się rozświecają. Wesołe, swobodne, dla ludzi są mirażem...

Shen Feng słyszy szum fal i ostre krzyki mew. Głos staje się coraz słabszy:

- Chodź do mnie. Chodź do mnie... Będziemy wiatrem, światłem, mgłą, śpiewem... Pójdziemy w ślad za tymi, którzy nie spoczywają i nigdy się nie zatrzymują... Będziemy tańczyć, wirować, latać...

Łzy jak szeregi mrówek toczą się po skroniach Shen Fenga i spadają na ziemię. Unosi rękę, ociera je zdecydowanym ruchem. Nagle zrywa się na równe nogi i zaczyna szukać czegoś

w tunice. Zniknęła sakiewka, w której było osiem grudek złota. Musiała wysunąć się, kiedy nurkował! Pada na ziemię. Przed nim lśnią wody jeziora, rzucając tysiące oślepiających błysków.

Ściąga ubranie i znowu skacze do wody.

Rozlega się śmiech małej dziewczynki. Dziecko mówi coś niewyraźnie, liczy. Myli się, bełkocze, potem zaczyna od nowa. Jej głos wróbelka szczebiocze, mamrocze. Shen Feng wystawia głowę nad wodę. Ciemność zaczyna schodzić do doliny. Nad jeziorem rozbłysła pierwsza gwiazda. Pragnąc objąć noc, las drży i mruczy z niecierpliwości. Shen Feng wraca na brzeg, pospiesznie się ubiera i ucieka, nie oglądając się za siebie. Na jego widok drzewa chichoczą drwiąco chórem: „Złoto zostało zesłane przez niebiosa i złoto zostało zabrane...”.

Przy wejściu do wioski przykuca, żeby zbadać odciski pozostawione na drodze i upewnić się, że żołnierze gubernatora nie przyszedli go aresztować. Nastawia ucha. Panuje spokój. Psy przychodzą go obwąchać, machają ogonami. Shen Feng wspina się na zbocze i otwiera furtkę do ogrodu. W domu panuje cisza. Mistrz nie wrócił. Pod nieobecność starego lutnika chata jest zimna jak grób.

Mocno ścisną pas w talii. Ręką znajduje w ciemności słoje z marynatą, wyciąga kilka solonych warzyw i wypija chochlę wody. Ta odrobina jedzenia koi burczący brzuch. Potem siada na progu domu. Noc spowiła góry Siła Północy, zsyłając spokój ludziom, a rozgorączkowanie tygrysom. Drzewa zarysowują się na tle tysięcy gwiazdeczek jak kliny użyte przez boginię Nu Wa do naprawy nieba, które się zawaliło. Otula go łagodne ciepło ziemi. Od popołudnia temperatura nienaturalnie wzrosła, tak jakby już było lato. W taki wieczór, jeśli stary lutnik śpi pod gołym niebem, myśli Shen Feng, na pewno nie będzie mu zimno.

Wstaje i wchodzi do domu. Po omacku znajduje krzemień, buchają iskry. Dorzuca chrustu do ognia. W świetle z paleniska



wyjmuje deskę, którą schował między belkami, i zanosi ją na siennik. Szczątki trumien wydzielają zwykle budzące grozę tchnienie królestwa zmarłych. Ta deska jednak pachnie ładnie. Głaszcząc ją dłonią, Shen Feng ma wrażenie, że drewno jest letnie i powoli oddycha. Gdy w nią uderza, słyszy krystalicznie czyste echo. A to oznacza, że do szczelnego grobu nie wnikała wilgoć i że drzewo, ścięte przed tysiącem lat, jest suche jak wiór. Deska łśni w nieregularnym rytmie płomieni i nagle oczom Shen Fenga ukazuje się blada twarz nieboszczki. Kładzie deskę na sienniku i cofa się. Mistrz mawiał, że drewno ma pamięć, że zachowuje w słojach piętno czasów, które przetrwało. Ze muzyka płynąca z cytry jest muzyką Historii.

Podchodzi bliżej i ostrożnie się nachyla. Powleczonej wysokiej jakości laka, deska błyszczy jak lustro. Dostrzega w niej swoją własną twarz. W wiosce lustro jest luksusem kobiet. Przez całe życie zbierają sapeki do sakiewki, potem idą do miasta i wymieniają je na lustro z brązu pokryte rtęcią. Okrągłe jak talerz lustro przechodzi z matki na córkę, aż do chwili gdy się stłucze. Shen Feng poprawia zmierzwione włosy i na nowo spina kok. Drewniana deska odbija wąskie usta, okrągłą szczękę, kanciaste czoło. Zastanawia się, czy mógłby spodobać się kobiecie? Kobiecie? Potrząsa głową i ziewa.

Kładzie się na desce i przykłada do niej policzek. Gdy zamknie oczy, widzi grotę i ściany pokryte freskami. Wspaniale przystrojone konie ciągną powozy ze złoconymi poręczami i jedwabistymi zasłonami. Uzbrojeni żołnierze piechoty z białymi i czarnymi psami maszerują w szyku. Eunuchowie machają wachlarzami z pawich piór i haftowanymi parasolkami, towarzyszą im smukłe służące uczesane w koki z wpiętymi kwiatami. Jedne niosą filiżanki, wazy, flakony, złote misy, inne niosą kota, psa z kędzierzawą sierścią, klatki z ptakami. Wiaterek podwiewa dół barwnych szat, rozciąga fałdy, na których wyhaftowane są motyle latające między kępkami kwiatów. Kim są te osoby? Dokąd idą?

Co to za świat o wiecznej wiośnie, bez trosk, bez chorób, bez głodu, który sławi niezniszczalne piękno?

Nagle słysząc cichy głos kobiety:

- Za zasłonkami z pereł powarkiwanie spiskowców i morderców wymachujących sztyletami... Śmiechy, jedwabie, oszczerstwa, opuściłam to wszystko na zawsze...

Shen Feng z drżeniem otwiera oczy. Ogień w piecu zgasł. W ciemności fruwa biały cień przypominający migocące drobinki kurzu w grobowcu. Stopniowo cień przybiera kształt kobiety i krąży wokół niego. Wyciąga rękę, chce ją dotknąć. Ona odskakuje i ucieka. Shen Feng biegnie za nią z otwartymi ramionami. Ona naśladuje jego gest i unosi ręce. Ale w miejscu rąk rozkładają się świetliste skrzydła. Kobieta wlatuje, zbliża się do niego, gdy on przystaje, a kiedy on podchodzi bliżej, ona odlatuje. Shen Feng czuje ucisk w piersi, rozciągają mu się usta, a z gardła wydobywa się seria dźwięków. Wybuch śmiechem. Zaskoczony cień pochyła się, by na niego popatrzeć, i odskakuje do tyłu, z drżącymi skrzydłami. Shen Feng, rozbawiony tą lustrzaną zabawą, także się śmieje. Podskakuje, by go złapać, ale cień kręci się w kółko, zmienia się w drapieżnika wspinającego się do sufitu. Shen rzuca się w jego stronę, gestykulując. Cień robi skok do przodu i odwraca się, by się do niego wykrzywić. W ostatniej próbie Shen Feng przyskakuje do cienia. Ten ucieka w stronę drzwi i znika w dziennym świetle. Shen Feng wraca do pokoju, zbiera części garderoby i ubiera się do wyjścia. Zapala się blade światło. Cień znowu się pojawia, ma kształt kobiety. Naśladuje jego ruchy. On udaje, że nie widzi, i siada na sienniku, cień robi to samo. On odwraca do kobiety głowę, ona odwraca swoją w jego stronę. On patrzy na nią. Ona go obserwuje. Nagle rozprasza się. On wchodzi w zamglony świat, gdzie wirują i jarzą się płatki śniegu. Słysząc kobiecy głos:

- Przyszedłeś po mnie, jestem twoja!
- Kim jesteś?

Młody lutnik zapomina, że nie powinien rozmawiać z duchem.

- Nie jestem bodhisattwą Guanyin o tysiącu rąk, która wymachuje batem i ognistym kołem, niesie flakon ożywczej wody i trzyma gałązkę wierzby. Nie jestem Smokiem Oceanu, gniewnym bogiem, który zsyła wiatr i pioruny. Nie jestem niebiańską Córką, która czuwa nad brzoskwiowym ogrodem Matki Zachodu. Nie jestem zwyczajną kobietą, która przechowuje w sobie uczucia śmiertelnych. Wędruję po ziemi w pogoni za księżycem. Szepczę z lasem. Istnieję w śnie ptaków, w oddechu drapieżników, które polują. Podobasz mi się, właśnie ty, i dla ciebie chcę dokonać cudów. Tobie, porzuconemu dziecku, ofiaruję wieczną wiosnę...

Gdy Shen Feng słucha tej nadzwyczajnej istoty, ogarnia go smutek. Pyta ją:

- Widziałas mojego mistrza? Dokąd poszedł?

- Twój mistrz odszedł wraz z zimą, bo ja przychodzę z wiosną. On wiedział, że ja przyjdę, zostawił nam dom, żebyśmy się kochali.

Cień obejmuje Shen Fenga ramionami, które są jak powiew ciepłego powietrza. Duszno mu, chce się wyrwać, ale jego członki utraciły całą siłę. Otwiera usta, żeby móc oddychać. Cień wpada w nie jak snop iskier.

Nagłe, dotąd mu nieznane odczucie pali w podbrzuszu.

Shen Feng jęczy z rozkoszy i zrywa się ze snu. Jest już dzień. Słońce wpada przez szpary w drzwiach, tatuuje ścianę kółkami, spiralami, słowami nie do odczytania.

Przed domem ustawił stelaż. Słońce przypatruje mu się poprzez drzewa i obrzuca smugami jego nagi tors.

Stoi ze skrobakiem w ręku, zadziwiony swoim odkryciem. Po zdjęciu lakieru deska staje się nagą kurtyzaną. Bez ubrania, bez makijażu ani klejnotów, w pełni ukazuje swe naturalne piękno. Wcześniej, gdy wsłuchiwał się w wydawany przez nią

dźwięk, chcąc ją oszacować, stwierdził, że jest to stare drzewo cedrowe. Teraz stoi przed nieznanym drewnem barwy czerwonej żółci, poprzecinany cienkimi żyłkami. Ponieważ temperatura jest wyjątkowo wysoka jak na początek wiosny, drewno wydziela dziwną woń.

Mistrz kiedyś wspominał o pewnym gatunku magicznych drzew, rosnących na ruchomych wyspach Oceanu Wschodniego. Korzenie owych drzew wystają ponad ziemię i stanowią schronienie dla dzikich zwierząt. Ich pnie sięgają nieba. Liście spijają wodę z chmur i odradzają się w słońcu. Przylatują chmary ptaków, sadowią się tam o zmierzchu, odlatują zaś, gdy świta. Rano i wieczorem robią taki jazgot, że rybacy słyszą je z brzegu. Stary lutnik mówił, że te magiczne drzewa nigdy nie umierają i nie boją się piorunów. Wręcz przeciwnie, podczas burzowych dni, gdy błyskawice rozdzierają chmury i unoszą fale, ich cienie w kształcie kępy kwiatów zarysowują się na deszczowej kurtynie i jak meduzy unoszą się na tle nieba. Raz na tysiąc lat odnawiają swoje gałęzie. Grubsza niż pień stuletniego cyprysa, martwa gałąź pływa po morzu i nigdy nie butwieje. Wyłowiona przez marynarzy, sprzedaje się na targu za cenę złota, jedynie cesarzowie mogą sobie na nią pozwolić, by wyciosać z niej szafy, parawany czy malowane belki sufitowe, które napełniają ich pałace delikatnym zapachem, przywodzącym na myśl szczęśliwe wyspy.

Gdyby mistrz tu był, krążyłby wokół deski z zachwytem i zadziwieniem.

Shen Feng wzdycha. Odkłada skrobak i opuszcza ogród. Zaledwie po jednej nocy wioski nie można rozpoznać z powodu rozkwitających drzew. Wiśnie, brzoskwinie, grusze i jabłonie, hortensje i kaliny ubarwiły zbocze, na którym stoją chaty, aż po samo dno doliny. Podekscytowane tym widokiem dzieci turlają się w trawie, biegają i ciągną za sobą latawce, wzlatujące wysoko pod niebo, unoszone wiatrem.

Przy studni Shen Feng spotyka sąsiadkę, która właśnie czerpie wodę. Podbiega, by jej pomóc.

- Ostatni raz było tak ciepło dwadzieścia pięć lat temu - mruży kobieta. - Panowała wielka susza i przez dwa lata czekaliśmy na deszcz. Potem mieliśmy szarańczę, bandy buntowników, Barbarzyńców z Północy, poborców podatkowych... Słuchaj no, twój mistrz potrafi czytać w gwiazdach, może powiedziałyby nam, czy będzie brakować wody, czy nie.

Shen Feng uchyla się od odpowiedzi:

- Chcesz, żebym ci zaniósł wiadro do domu?  
- Oj, tak! Dziękuję, kochany. Jestem już za stara. Kiedyś nosiłam dwa wiadra wody na dragu i mogłam biec.  
- Poczekaj na mnie chwilkę.

Shen Feng także wyciąga wiadro wody i ochlapuje się od stóp do głów. Chce wyciągnąć jeszcze jedno, ale sąsiadka krzyczy:

- Dosyć, Shen Feng! Jak chcesz się umyć, idź do jeziora. Jeśli w tym roku ma być wielka susza, nie powinno się marnotrawić wody!

Shen Feng wypuszcza z rąk wiadro, które ze zgrzytem wpada do studni. Odprowadza sąsiadkę do domu.

- O, weź ten naleśnik, zjedz, póki jest ciepły - mówi kobieta. - A ten drugi zanieś swojemu mistrzowi.

Gdy już wzmocnił ciało dwoma naleśnikami, Shen Feng bierze siekierę i staje przed deską. Rozstawia nogi, wciąga brzuch, koryguje pozycję bioder, głęboko oddycha i unosi ręce.

Nigdy nie doświadczył upojenia rozłupywaniem. Siekiera opada, ani drgnie. Deska zatrzęsła się, ale nawet nie podskoczyła. Ostrze weszło w nią na trzy czwarte, pewnie i miękko.

Jako dziecko Shen Feng codziennie rąbał drzewo, nie wiedząc, że w ten sposób stary lutnik go szkoli. Później mistrz zdradził mu tajemnicę:

„Siła lutnika to nie to samo co przemoc wojownika. Musi mocno trzymać narzędzie, jak wojownik, który w walce nigdy nie

odkłada szabli. Tyle że wojownik tnie, przebija, zabiera życie; lutnik wycina, piłuje i daje życie. Siłą wojownika jest odwaga, on budzi strach, a potem zabija. Siłą lutnika jest trafność ciosu, on doskonale zna tor swego ostrza".

Shen Feng bez wysiłku wyciąga siekiere - mistrz nauczył go ciosów lekko ukośnych, a taki ruch jest trudny do wykonania. Znowu unosi rękę. Siekiera iskrzy się w górze, po chwili opada. Deska drży.

„Nie jesteś skoncentrowany! Zatkaj sobie uszy! - beształ go stary lutnik. - Kiedy obrabiasz drewno, nie słuchaj odgłosów wokół siebie! Kiedy posługujesz się ostrzem, musisz słuchać bicia serca. Bo ruch powinien być w zgodzie z pulsowaniem krwi. Trzeba się skupić, bo dekoncentracja to wyrzeczenie się siebie".

Dręczona przez Shen Fenga pokrywa sarkofagu ożywa.

Shen Feng podnosi nogę i opiera kolano na skraju deski. Unieruchamia ją między ręką a kolaniem, wsuwa piłę w szczelinę, którą właśnie wykroił. Deska wzdycha, długie drżenie przebiega mu przez dłoń. W miarę jak piłą się zagłębia, deska jęczy, charczy, wydaje krótkie okrzyki i szmery. Gnie się i prycha wszystkimi włóknami zeszywniałymi od grobowej laki dynastii Song.

Siedząc w kucki na progu, z miseczką w ręku, ustami pełnymi płatków zbożowych, Shen Feng żuje, słucha śpiewu ptaków podnieconych schyłkiem dnia i obserwuje chmury, zmieniające kształt na tle nieba. Przypomina sobie twarz zmarłej w sarkofagu, na którą przez chwilę popatrzył, zanim obróciła się w pył.

Kim ona jest? Czy to Cesarzowa Liu, czy jedna z jej słujących?

Cesarz Liu walczył z Barbarzyńcami z Północy i założył dynastię Song. To bohater czczony na Południu. W każdej herbaciarni niewidomi śpiewacy opiewają jego wyczyny. Ale nic

nie wiadomo o życiu jego małżonek. Wiadomo tylko, że jego synowie wzajem się zabijali i że dynastia trwała jedynie kilka dekad. Gdyby stary lutnik tu był, wszystko by mu wyjaśnił.

Shen Feng wstaje, podchodzi do stojaka. Przecięta na pół, ułożona równolegle deska wyglądem przypomina dwie kobiece nogi.

Sprofanować grób cesarzowej, która była małżonką bohatera, czyż to nie czyn godny potępienia? Najlepszy dowód, że Zhu Bao i mniszka zostali straceni, a żołnierze poszukują ich współnika. Czy zdołają przedrzeć się przez las, by tu go dopaść? Czy może czekają na niego w mieście u Wielkiego Liu? Jeśli nie może już odwiedzać antykwariusza, po co konstruować tę cytrę? Nawet złoto, które dostał na zaliczkę, zaginęło. A on jest teraz przestępcą. Czy powinien uciekać? Ale jakże mógłby zniknąć, nie uprzedzając o tym swojego mistrza?

Noc, jak ogromna fala, opada na wioskę. Ptaki milkną na drzewach. Rozbłyskują gwiazdy.

Shen Feng porusza szczękami i usiłuje przełknąć porcję płatków zbożowych. Ziarenka drapią go w gardle, nie chcą przejść niżej. Idzie do domu po chochlę wody, gdy dostrzega kobietę z grobowca opartą o framugę drzwi, zagrządzającą mu przejście. Jej suknia powiewa na wietrze, szarosrebrne rozpuszczone włosy opadają na plecach aż do ziemi. Patrzy pożądliwie na Shen Fenga swoimi szaroturkusowymi oczami.

On drętwieje z przerażenia.

Ona uśmiecha się i nieco odsuwa.

- Wejdz.

On rzuca się na dzban, wypija kilka chochli wody.

Kiedy podnosi głowę, kobiety już nie ma.

Idzie zamknąć drzwi, gdy ona ukazuje się w ogrodzie.

- Cytra została wymyślona przez boga Fuxi. (...) Żyjesz na uboczu, niczym dzika małpa, jak więc możesz uważać się za lutnika?

Shen Feng zachowuje milczenie. Pamięta, że jeśli duch zwraca się do człowieka żyjącego i ten człowiek mu odpowiada, to życie staje się więźniem śmierci.

- Nie mam cytry - mówi dalej kobieta. - Ale tworzę muzykę siłą ducha. Wiatry są moimi jedwabnymi strunami, biorę też echo zwierzęcych głosów. Posłuchaj...

Kobieta unosi ramię. Jej długi rękaw powiewa, odsłaniając rękę barwy perłowej.

Głęboka cisza spływa w dolinę.

Z gęstwiny traw i krzewów unosi się ledwo słyszalny tumult, a po nim coraz głośniejszy szum drzew, uginających się od wiatru. Za domem Shen Fenga pohukuje sowa. Wiatr nagle się oddała, rozdziela na kilka osobnych powiewów, które wiją się po lesie w różnych kierunkach. Drzewa drżą, dygoczą, mruczą. W zależności od rozmiaru pnia i listowia śpiewają monotonna albo coś oznajmiają i odpowiadają sobie przenikliwym lub niskim tonem. Ich chór, czasem rozwścieczony, czasem łagodny, punktowany jest przez perkusję gałęzi, które się gną i o siebie ocierają.

- Shen Feng! Shen Feng!

Dziecko z wioski biegnie ścieżką pod górę. Przystaje przy ogrodzeniu, dysząc:

- Moja matka właśnie rodzi. Czy stary lutnik jest w domu?

- Nie, wyszedł - odpowiada Shen Feng.

Dziecko, zawiedzione, odchodzi, po chwili się odwraca.

- Może przyjsć do nas, kiedy wróci?

- Dobrze.

Dziecko rusza biegiem i znika. Chyba nie zauważyło niczego niezwykłego.

Wiatr ucichł. Shen Feng szuka kobiety, znajduje ją siedzącą na wiśni. Spod fałd sukni zwisają jej nogi. Daje znak Shen Fengowi i nagle dmucha na kwiatki.

Jeden ptak, potem dwa, trzy, dziesięć, sto ptaków zaczyna świergotać. Przeciwnie niż drzewa, które szumią harmonijny-



mi falami, ptaki krzyczą wszystkie jednocześnie, jak tysiące dzwonek, dźwięczących bez wytchnienia. Ich chaotyczne śpiewy wywołują u Shen Fengaa zawrót głowy. Nie czuje już własnych nóg ani ruchu ramion.

Siada w progu.

Kobieta stoi przed nim. Ale wydaje mu się, że jest i za nim. Ta przed nim wyciąga do niego ręce. Ta za nim już go obejmuje. Głos dochodzi do niego poprzez krzyk ptaków:

- Pola bitew stają się polami ryżowymi, wojskowe drogi gościńcami dla karawan. Tam, gdzie spoczywają ciała poległych żołnierzy, rosną drzewa herbaciane, tam, gdzie padli herosi, buduje się miasta. Jedynie rzeka Jangcy pamięta imiona, wyczyny; płynie na wschód, unosząc pory roku i lata.

Milknie, po chwili zwraca się do niego:

- A ty, który niczego nie przeżyłeś, niczego nie widziałeś, nie słyszałeś, jak śmiesz zabierać się do muzyki?

Shen Feng postanawia ignorować zjawę, prawdopodobnie oszalałą z samotności.

Księżyc niepewnie wspina się na drzewa. Nagle rusza przed siebie i toczy się w błękitnym woalu nieba. Jego opalizujące promienie spływają, pełzną po trawie. Shen Feng rozłożył wokół siebie narzędzia, kładzie jedną z dwóch desek na kolanach i ją poleruje.

Kobieta siedzi na kamiennym taborecie. Bierze drugą deskę i naśladuje ruchy młodego lutnika. Jej drobne ręce o cienkich palcach w niczym nie przypominają czerwonych i szerokich dłoni dziewcząt z wioski. W skupieniu obrabia drewno, Shen Feng może więc się jej przyjrzeć: jej twarz jest jak twarz dziecka dręczącego zabawkę; gdy opuszcza podbródek, wygląda jak młoda matka; gdy unosi spojrzenie, łączy się w niej dziecięca naiwność i macierzyństwo, nadając jej minę nieśmiałą i zuchwałą. Jej włosy, skąpane w świetle księżyca, zdają się falować. Shen

Feng dostrzega, że nie są szare, lecz składają się z różnych pasemek o bladych barwach, z których przebija kolor różowy, pomarańczowy, fiołkowy, niebieski, czarny.

Shen Feng bierze rylec. Ona także.

W wiosce, gdy ktoś umiera, wszyscy uczestniczą w pogrzebie, towarzyszą trumnie na cmentarzu. Opłakują zmarłego, opowiadają jego życie, schlebiają mu i pocieszają. Uważają bowiem, że jeśli ktoś umiera z uraza, powraca do świata żywych, nawiedza ich w nocy i kradnie ich siły żywotne. Zjawy są trupimi stworzonymi o zielonych włosach, krwiożerczych zębach, z oczami większymi od latarni. Siedząca dwa kroki od Shen Fenga kobieta nie jest podobna do kogoś takiego. Pomimo bladej cery policzki ma różowe, a usta karminowe. Jej rzęsy lekko drżą, oczy błyszczą jak u zwykłej kobiety. Suknia, harmonijny zestaw subtelnych odcieni, podkreśla jej wdzięczną sylwetkę.

Księżyc przesuwając cienie drzew. Zaraz potem ich czarne linie pływają na kamiennym stole. Być z kobietą, jakież to zupełnie nowe doznanie! - myśli Shen Feng. Kobieta to nie to samo co mistrz, który opowiada rozmaite historie, to nie antykwariusz Wielki Liu, który się przechwala, ani sprzedawca instrumentów Lu Si, który się targuje, ani Zhu Bao, który popada w rozpacz, gdy nie może zarobić pieniędzy. Shen Feng przełyka ślinę i nadstawia ucha. Wydaje się, że kobieta mówi: „Nie jestem podobna do dziewcząt z wioski, które chodzą bosso, jestem boginią, która zesłała z niebios. Popatrz na mnie, popatrz, jaka jestem piękna...”.

Shen Feng szeroko otwiera oczy. Rylec wyślizguje mu się z rąk i spada na ziemię.

Kobieta ma cerę przejrzystą jak księżyc. Smukła jest jej talia, krągła pierś. Dlaczego przychodzi do niego, biednego lutnika, który niczego nie widział, niczego nie przeżył?

Odwraca się do niego i zagłębia spojrzenie w jego oczach. A on, zmartwiały, czerwieni się aż po uszy, pokasłuje i drapie

się po karku. Dwa dołeczki ukazują się na policzkach kobiety. Wybuchła śmiechem. On nie zdołał zrobić uniku, ona szybkuje w jego stronę, bierze jego rękę i kładzie na sobie. Jej palce dotykają jędrnego ciała. Serce Shen Fenga podskakuje i mocno kołacze. Ogarnia go drzenie.

Kobieta go otula, dobiega go jej głos, pomimo szalonego bicia serca:

- Chodź, Shen Feng, chodź do mnie. Wejźdź we mnie. Jestem światem. Jestem życiem.

Shen Feng oddycha ciężko i głośno. Ogarnięty strachem i uczuciem wdzięczności podnosi ją i niesie na swój siennik.

Serce mu wali. Serce szaleje. Serce tak bardzo hałasuje, że nie słychać nic poza nim. Ciało się rozgrzewa. Skóra pali. Wychodzi gardło. Oddychanie wywołuje ból nozdrzy. Ręce, które nigdy nie chybiły nożem, siekierą, drżą tak mocno, że nie jest w stanie pieścić delikatnego ciała kobiety. Odpycha ją, chciałaby się ukryć. Nagle ona go popycha, przyciska, ugniata. On otwiera usta, by móc oddychać, wtedy ona kładzie mu coś na języku, coś słodkiego i śliskiego. Wsysa go, wchłania, wdmuchując w jego ciało ciepły płyn. Ogarnia go panika. Nigdy nie dotykał kobiety. Ona wzdycha. Czy coś ją boli? Dlaczego jej uścisk staje się coraz bardziej piekący? Czeką na niego, nie powinien jej zawieść. Czego się po nim spodziewa? Ledwo sformułował tę myśl, gdy usłyszał głos dźwięczący w jego głowie, proszący:

- Muzyka! Zamień mnie w muzykę...!

Nieporadnie kładzie ją pod sobą, jak cytrę, i rękami muska jej ciało. Ona drży i powtarza:

- Muzyka, muzyka, proszę. Dostyc ciszy już się nacierpiąlam!

Shen Feng zanurza twarz w jej włosach, wdycha jej zapach i gryzie ją w szyję.

- Przytul mnie mocno - błaga kobieta z drzeniem. - **Jestem twoja. Jestem twoją muzyką.**

On się o nią ociera. Ona jęczy. W rytmie przyspieszonym jej powtarzanymi słowami wchodzi w nią tak, jakby zanurzał się w jeziorze, i szuka czułej struny muzycznej w jej ciele. Ona rzeźi i wydaje długi ostry trel.

Shen Feng wnika w przestrzeń tak wąską, że odczuwa ból. Długi dreszcz przebiega jego ciało od stóp do głów. Białe fale nacierają jedna po drugiej, krążą czarne cienie. Jezioro jest wazą, do której się wchodzi, by urosnąć, schronić się, wypełnić. Shen Feng już nie słyszy bicia swego serca. Zapomina o bólu ciała. Zaciera się różnica pomiędzy zmarłymi a żywymi. Nasłuchuje wszystkich dochodzących do niego dźwięków. To szept dwóch osób. Mężczyzna i kobieta śpiewają w duecie. Jak nocne słowiki imrowizują, dobierają dźwięk, szukają odpowiedniej harmonii. Jedno przyspiesza, drugie zwalnia, przeplatają radość ze smutkiem. Ich głosy wznoszą się na wysokie tony nadziei, robią piruet i pędzą ku melancholii. Jedno płynie przenika drugie. Oddalają się, potem zbliżają. Zwracają się do siebie twarzami, całują się. Szukają wspólnej wibracji, ich głowy, stopy, ich piersi i nogi przywierają do siebie, łączą się i stapiają.

Nagle Shen Feng przypomina sobie Zhu Bao i mniszkę. Teraz rozumie, dlaczego tak pośpiesznie chcieli opuścić miasto, dlaczego tak bardzo zależało im na splądrowaniu grobowca, dlaczego tak bardzo pragnęli być razem. On, Shen Feng, który nigdy dotąd nie poznał tej muzyki, sądził, że o cytrach wie już wszystko.

Wyczuwszy, że jest trochę nieobecny, ona siada na nim i go ujeżdża. Jej nierytmiczne kołysanie wywołuje w nim atak drgawek i okrzyków. On także jest zdolny do wydania z siebie tonów muzycznych. Czyż mężczyzna i kobieta nie są dwoma kawałkami drewna tworzącymi dolną i górną płytę cytry? - myśli Shen Feng. Przeznaczeni dla siebie, muszą się spotkać, spleść, aby wyśpiewać tę samą muzykę.

Ześlizgują się z siennika, staczają na podłogę i harmonijnie wzdychają. Nagle policzek Shen Fenga trąca jakiś twardy, spiczasty przedmiot. Obmacuje tunikę, na której leży. Pałce natrafiają na sakiewkę zawierającą osiem grudek złota.

Ktoś gwałtownie puka do drzwi. Sąsiad krzyczy ściszonego głosem:

- Shen Feng, obudź się! Żołnierze! Idą żołnierze! Musisz uciekać...

Staje na równe nogi. Ognisty smok pojawił się w wiosce. Tam, gdzie przechodzi, pękają kraty ogrodzeń i dachy, płoną chaty, wybuchają krzyki i płacze. Cienie słaniają się i popychają. Mieszkańcy wioski, wyrwani ze snu, prowadzeni są w stronę studni. Żołnierze wymachują pochodniami i wrzeszczą:

- Gdzie jest skarb z grobowca?
- Gdzie zakopaliście skarb?
- Zwiąż ich!
- Gdzie mieszka niejaki Shen Feng?

Shen Feng odwraca się raptownie. Kobieta nie zniknęła. To nie był sen.

Stoi za nim. Jest biała, promienieje blaskiem jak księżyc. Wytrzymuje jego spojrzenie i rozchyła usta. Uśmiecha się.

- Ja jestem twoim skarbem. Już czas jechać.

Siedem

## ***Rok 444, dynastia Song***

Mgła unosi się nad klasztorными alejkami.

Mgła okręca się wokół bambusowej miotły.

Miotła na długim kiju trze bruk i wydaje suche dźwięki, jak kilka strun szarpanych po kolei plektronem. Zdrapuje grudki ziemi, które utkwily między kamieniami, naśladuje chrzęst szarpanych strun. Rzucona brutalnie na ziemię, wydaje suchy trzask. Czystość Pustki wyprostowuje się i ociera pot z czoła. W klasztorze prawo buddyjskie każe wyrzec się wszelkich ziemskich dóbr. Gdy została mniszką, zaakceptowała wstrzemięźliwość, cierpiała tylko dlatego, że nie mogła grać na cytrze. Kiedy odkryła, że w zetknięciu z wilgotną ziemią, brukiem, schodami, ławkami bambusowa miotła może wydać różne gamy dźwięków, jak instrument muzyczny, zgodziła się pełnić rolę zamiataczki. Wygarniając zwiędłe liście i pajęczyny z zakamarków posiadłości, codziennie improwizuje kontrapunkty i harmonie muzyki słyszalnej tylko dla niej samej.

Jest jej wstyd, że oszukuje prawo. Wyrzuca sobie zwłaszcza to, że ciągle jest przywiązana do pustki świata mężczyzn. Niemniej, kiedy się modli i wyznaje winy przed figurą Buddów, ma wrażenie, że uśmiechają się do niej i jej nie potępiają. Żyjąc w zamknięciu na szczycie góry, nie otrzymuje żadnych wiadomości o dynastii, którą założył jej mąż. Chciała mieć pustkę w świadomości i dostąpić czystości niemyślenia, odkryła

ze swych wierszy, przypomina szybkie przemijanie życia i sprawia, że usta młodych dziewcząt są bardziej karminowe, a ich twarzyczki bardziej podniecające.

Yifu! Mniszka ociera oczy, nagle pełne łez. Jakie to niesprawiedliwe, gdy matka żyje dłużej niż jej dziecko! Jakże zapomnieć jego długie ręce gładzące cytrę i spojrzenie błyszczące z radości, kiedy śpiewał poezję? Jak odpędzić wspomnienie jego grymaśnych min, pełnego wdzięku sposobu chodzenia, tak podobnego do jego dziadka? Wyrzuca sobie teraz, że była zbyt twarda wobec syna, który nie chciał zostać cesarzem. Powinna była popuścić cugli, zlekceważyć spiski i pozostać przy nim, podziwiać go i hulać razem z nim. Straciła ten czas, zmarnowała ich szczęście. Powinna była odstąpić tron tym, którzy tego pragnęli po śmierci męża, i zamienić koronę na niezliczone pory białych kwiatów.

Czystość Pustki siada na schodku i ociera łzy palcami, które są teraz zaczerwienione i kostropate. Słońce przebiło mgłę, zniemacka las odstąpił swoje nieprzeliczone drzewa. Podekscytowane słońcem skowronki, kosy, drozdy, rudziki i kukułki rozśpiewały się na całego. Ich koncert, hałaśliwy i chaotyczny, rozgrzewa jej serce. Podnosi się.

Poprzedniej nocy burza poraziła piorunem drzewo. Mniszka zbiera najcieńsze gałązki i myśli sobie, że powinna poszukać drwała, bo trzeba podnieść pień. Gdy dociera do Portyku Górskiego, ocieka potem. Stawia miotłę przy jednej z kolumn i znowu siada. Naprzeciw niej kamienne schody przecinają las i dalej opadają w dół. Trzy tysiące stopni niżej rzeka Jangcy lśni jak szeroki jedwabny pas. Codziennie, gdy już zamiecie podłogi klasztoru, siada w tym miejscu i kontempluje ten bajeczny pejzaż, który zainspirował tylu malarzy z Południa. Ona sama także go malowała. Ale obrazy zostały w Zakazanym Mieście i prawdopodobnie zniszczyli je następni mieszkańcy pałacu. W tamtym, przeszłym życiu była niewolnicą samej siebie. Każdy



jej ruch był nieustannie obserwowany, najmniejsze pragnienie wywoływało szczebiot i bieganinę zastępu służących i straży. Wyjście dokądkolwiek było sprawą wagi państwowej, poddaną kontroli protokołu i astrologów, wolała więc wcale nie opuszczać swego pokoju. A teraz, samotna, nosząca prosty szary przyodziewek, rozkoszuje się odzyskaną wolnością i myślą, że była władczynią rzeki Jangcy, jej brzegów, fortów i statków.

Wzdycha i przymyka oczy. Jej myśli szybują ku krainie Północy, ignorując granice królestw. Wydaje jej się, że czuje zapach pól czerwonego sorgo, że słyszy głosy ludzi o twardym akcencie. Jak tu zapomnieć, że trzeba było długich lat wojny, aby jej małżonek wydłużył południową granicę aż za rzekę, ale że siłą zdobyta Równina Środka została od razu utracona?

Chcąc podziękować jej za to, że wydała na świat syna, spytał, jaki życzyłaby sobie prezent. „Śnieg”, odpowiedziała. Miesiąc później dostała trzy powozy pełne kryształków oszlifowanych w kształcie płatków śniegu. Zawieszane u sufitu w jej pałacu, migotały wokół niej, tak jakby padał śnieg.

Gdzieś w górach słychać śpiew drwała. Głos swobodnie wznosi się w górne rejestry. Słuchając z większą uwagą, rozpoznaje męski głos, pełen miłosnej tęsknoty. Mniszka otula swoje delikatne ciało rękami i uśmiecha się do tego świata na dole, do jego bezmiaru, do jego ułudy.

Księżyc jest w trzeciej kwadrze. Jego błądy blask wypełnia salę. U stóp Sakyamuni, Bhaisajyaguru i Amitabha, Buddów Teraźniejszości, Przeszłości i Przyszłości, władców trzech światów, Czystość Pustki uderza w drewnianą rybę, recytuje sutry, a potem kładzie ręce na kolanach i pogrąża się w medytacji w pozycji lotosu.

Przymyka oczy, ale nie przestaje nasłuchiwać. Tej nocy wypada jej kolej pełnienia warty. Nawet podczas medytacji umysł musi czuwać nad sanktuariami i salami sypialnymi. Cisza nocy

przywiewa do niej lekkie ożywienie gór. Od czasu do czasu w chrzęście i krzyku nocnych ptaków wybijają się krzyki małp czy ryk tygrysa. Nagle słychać dźwięki cytry. Najpierw słabe, ich echo krąży wokół niej, jakby chciało zakłócić jej medytację. Mniszka oddycha głęboko, oczy ma ciągle przymknięte. Szarpanie strun staje się coraz wyraźniejsze. Zmysłowe, zniewalające, podobne do miłosnych szeptów mężczyzny i kobiety. Podobno podczas medytacji osoby duchowne miewają halucynacje. Jeśli to zjawisko jest uporczywe, należy oprzeć się pokusie i stopniowo powracać na jawę.

Otwiera oczy. W głębi sali poruszają się jakieś cienie.

Czy to złodzieje przeskoczyli przez mur klasztorny? Z drżeniem dostrzega dwie postaci pomiędzy kolumnami. Jedna kieruje się w stronę ołtarza głównego i czegoś szuka, prawdopodobnie kasety z jałmużną. Druga idzie wzdłuż ściany, przy której stoją posagi luohanów. Unosi świecę nad głowę, przygląda się freskom, a po chwili wraca do swego współnika.

Dwaj mężczyźni uzbrojeni w kilofy i łopaty przewracają kadzielnice, dewastują ołtarz, strącają posagi Buddów, grzebią w gruzach i szepczą jakieś przekleństwa. Niczego nie znaleźli, odwracają się w stronę mniszki. Ona nie zdążyła się schować za kolumnę, więc jeden z nich rusza ku niej - ma iskrzące się spojrzenie, zmierzwione włosy. Jego twarz i oczy są pokryte kurzem. Jak demon, który wyszedł prosto z piekła, chwyta ją w pasie.

Mniszka stawia opór, walczy z nim. Ale jej członki są wątłe, a mężczyzna jest opętany jakąś szatańską siłą. Zionie jej w twarz ciepłym oddechem. Ona otwiera usta, żeby krzyknąć. Ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Wszystkie mniszki śpią, psy siedzą cicho. Nagle widzi, że jej tunika się drze. Gdy jest już naga, przestaje walczyć. Bez włosów, które mogłyby ją osłonić, krzyżuje ręce, zamyka oczy i odwraca twarz. Jednym szybkim ruchem mężczyzna przyciąga ją do siebie, podnosi jak worek ryżu i bierze

na plecy. Jeden za drugim, obaj mężczyźni przeskakują przez mur i uciekają z klasztoru. Niosą ją na zmianę, jako jedyny łup ich grabieży, ruszają pędem do lasu i biegną bez zatrzymania.

Chce krzyknąć, ale nie może. Ponad ciemnym listowiem niebo rozjaśnia się i bieleje. Mniszki zaraz się obudzą. Odkryją zniszczenia w świątyni, wypuszczą psy i zaczną jej szukać, myśli. Drwal albo myśliwy zatrzyma ich i ją uratuje. Na drzewach, jakby były na alarm, ptaki śpiewają ile sił. Nagle ten, który ją niesie, potyka się i upada. Jedno na drugim, oboje turlają się w trawie mokrej od rosy. Potknąwszy się o wystający korzeń drzewa, mężczyzna rozwiera ramiona; wypuszcza ją. Natychmiast do niej przyskakuje i mocno ją trzymając, zbiega po zboczu w dół.

Ona zamyka oczy i modli się. Nie wie, jak długo to trwa, słyszy jego pomrukiwanie. On upuszcza ją na ziemię. Ona stacza się i unosi powieki. Oślepia ją blask jeziora. Dwaj bandyci wchodzą do wody w ubraniach i myją się od stóp do głów. Ona kuli się i krzyżuje ramiona. Zdrętwiała ze strachu, nie jest w stanie stanąć na nogi i uciekać. Ogarnięta zimnem przenikającym aż do kości nie odczuwa bólu po upadku. Dotyka swego ciała. Skóra, pokryta rosą, liśćmi i kurzem, jest lodowata. Jeden z mężczyzn przeciąga się na brzegu jeziora, wyżyma ubrania i oddala się biegiem. Drugi siada obok niej. Długo się jej przygląda, potem bierze ją na swe mokre plecy i rusza w dalszą drogę przez las.

Włosy porywacza pachną potem i wilgotną ziemią, co przywodzi na myśl młode lata, kiedy jej życie upływało wśród żołnierzy. Załadowana na plecy, z nogami pod jego pachami, podskakuje jak na końskim grzbiecie. Wyczuwa ruchy jego mięśni, słyszy przyspieszone bicie serca, jak bicie w bęben wojskowy, zapowiadający natarcie. Obejmuje jego szyję i usiłuje go uduśić. Ale on nie zwraca na to uwagi, maszeruje dalej wielkimi krokami.

Jak śmiał sprofanować ołtarz Buddów i porwać buddyjską mniszkę? Czy to zwykły bandyta, który zażąda okupu? Czy najemny morderca wysłany przez Cesarza Yilonga, trzeciego syna jej małżonka, który postanowił ją zgładzić?

Pod drzewami droga wije się, lekko się wznosi, potem stromo się wspina. Porywacz oddycha głośno. Spływa na nią jego pot. Drżą mu nogi, zatacza się co krok. Jednak nie pozwala sobie nawet na chwilę wytchnienia, nie zatrzymuje się, żeby zaczerpnąć oddechu. Przy drodze pojawiają się połacie ziemi obsadzone ryżem i warzywami. Osioł uwiązany przy drzewie wskazuje, że wioska już blisko. Przybiegają psy. Doskakują do młodzieńca, obwąchują tunikę i łaszą się do niego. Mniszka z przerażeniem stwierdza, że dotykają ją brudnymi pyskami i łaskoczą ogonami. Biegną obok, eskortują ich do chat ogrodzonych bambusowymi płotami. Droga zamienia się w zacienione uliczki, po których chodzą kury, szukając jedzenia. Porywacz zatrzymuje się przed ostatnim domkiem usadowionym wysoko na zboczu wzgórza. Wchodzi do ogrodu i stawia ją pod wiśnią. Ona myśli z goryczą, że jest zaledwie o kilka chwil lotu ptaka od klasztoru.

Z domu wychodzi starzec, podchodzi do niej blisko. Przykucną przed nią i spokojnie jej się przygląda. Ma twarz jak wyschnięta żółta ziemia, na której zmarszczki wydają się wryte kilofem. Długie purpurowe spęknięcia przebiegają mu przez policzki, tak jakby był podrapany przez dzikie zwierzę albo dostał kilka ciosów szablą. Pomarszczone powieki opadają na podkrążone oczy. Kiedy się unoszą, odsłaniają błyszczące źrenice o okrutnym spojrzeniu. Mniszka obejmuje kolana rękami, kuli się i zamyka oczy. Drży, kiedy starzec kładzie na niej rękę. Szczypie ją w ramię, coś mruczy i wstaje.

Stary odchodzi, wraca młody. Dotyka ją i poklepuje. Ma około dwudziestu lat. Jego śniada cera świadczy o skromnym urodzeniu. Rozbiegane spojrzenie nadaje mu wygląd dzikusa.

Zadziiera wargi koloru jeżyny i odsłania dwa rzędy białych zębów. Nie wiadomo, czy się do niej uśmiecha, czy wykrzywia. Wyciąga swe ogromne, szorstkie ręce i chwytą ją w pasie. Niesie do domu, kładzie na sienniku i zasypia, odwróciwszy się plecami. Oszołomiona i wyczerpana, zamyka oczy i zapada w drzemkę.

Budzi się, drżąc z zimna. Zimno przenika do kości. Nie czuje palców u nóg ani u rąk. Niedaleko od niej ciało porywacza emanuje ciepłem. Kładzie nogi na jego nogach, stopy wsuwa pomiędzy jego stopy. Otacza ramionami jego tors, przykładając policzki do pleców. Ciało młodzieńca pała żarem. Ogarniają ją fale ciepła, znowu zasypia.

Natychmiast po obudzeniu młody człowiek zeskakuje z siennika, pospiesznie się ubiera, wychodzi z domu, po chwili wraca. Bierze ją w ramiona, podnosi, stawia na belce sufitowej, zabiera drabinę i znika. Naga na belce pod sufitem trzęsie się z zimna. Zewsząd słychać ostre piski gryzoni. Jakieś zimne mięso spada jej na kostkę u nogi i pełźnie w stronę głowy. Waż! Zamyka oczy. Kiedy je otwiera, węża już nie ma. Jasne promienie słoneczne weiskają się przez zamknięte okiennice. Prostokątne formy zwisają na sznurkach zawiązanych wokół krokwi. Z wolna rozpoznaje deski wymodelowane w kształcie cytr. A więc jest w domu lutników. Dlatego podczas medytacji słyszała melodię graną na cytrze. Dlatego właśnie, gdy młodzieniec położył na niej dłonie, odczuwała jakąś energię, która nie była jej obca.

Młody człowiek wraca dopiero o zmierzchu. Lodowata samotność, w której się pograżyła, była czymś tak strasznym, że zadrżała z radości na jego widok. Lutnik bierze ją w ramiona i delikatnie zdejmuje spod sufitu. Ona zapomina o swej nieśmiałości i opiera głowę na jego ramieniu. Zaskoczony tym gestem młodzieniec waha się chwilę, po czym powoli przesuwając dłoń ku jej biodrom. Ona go odpycha. On cofa się i powraca. Ona macha nogą. On unosi stopę, potem drugą. Rozbrzmiewa

melodia grana na cytrze. On podchodzi bliżej, ona się odsuwa, on idzie za nią, powoli zaczynają się obracać. Tańczą.

W świetle płomieni w oczach młodego lutnika miesza się po kolei niepokój, smutek, zachwyty. Niekiedy patrzy na nią uporczywie, tak jakby chciał ją unicestwić, czasem przygląda jej się z błogim zachwytem, jakby chciał tchnąć w nią nowe życie. Muzyka zamazuje różnice i łączy obcych. Muzyka ją unosi, pozwala zapomnieć o wieku, o minionym życiu. Kim on jest? Dlaczego bicie jego serca wydaje jej się znajome? Dlaczego żyją tym samym rytmem, tak jakby słyszeli tę samą muzykę? Chciałyby recytować sutry, ale nie znajduje słów w pamięci.

Wschodzi słońce. W ciągu jednej nocy wiosna ukwieciła całą wioskę. Siadają pod wiśnią, na dywanie z delikatnych traw i płatków. On ją podziwia. Ona uśmiecha się do niego. Ręce lutnika pieszczą jej piersi, talię, uda, obejmują nogi, masują stopy, tak jakby była cytrą, którą on właśnie rzeźbi. Zimno opuszcza jej ciało, krew szybciej płynie. Nie myśli już, że może on zostać wynajęty przez Dwór, aby ją zhańbić albo zamordować. Od ilu lat nie patrzyła już na wiosnę jak na porę odrodzenia, lecz jak na początek nowego okresu czasu, który przybliży ją do śmierci? Wyciąga ramiona, jej palce muskają gładką, jędrną skórę. Opiera ręce na piersi lutnika i głaszcze ją. On pozwala dotykać ramion, szyi, uszu, po czym kładzie się obok niej, podsuwając swój brzuch, biodra. Ona odkrywa jego uda, kolana, kostki u nóg, palce u stóp. Bada jego młode ciało, które nie jest jeszcze tknięte cierpieniem czy życiowym zmęczeniem, lecz tchnie radością i niewinnością.

- Zostań moją żoną - mówi jej do ucha.

Ona odwraca twarz. Wstydzi się swojego wieku, swojego ciała.

- Chodź. Jestem twoja.

On przewraca się na plecy, rozkłada ramiona i zamyka oczy. Ona, siedząc na nim okrakiem, z zaskoczeniem odkrywa, że

odzyskała swoje ciało z czasu, gdy miała dwadzieścia lat. Ze zdziwieniem patrzy na swój płaski brzuch, osadzony w wąskiej talii. Piersi odzyskały krągłość, sutki znowu są zaróżowione. Dotykiem muska jedwabistą skórę oszczędzoną przez piętno wieku. Podnosi rękę. Palce zaplatały się we włosy. Włosy już odrosły. Unoszą się na wietrze, falują na plecach i opadają na nogi lutnika. Patrzy na niego z wdzięcznością i pochyla się ku niemu.

Naraz podrywa ją ogłuszający zgrzyt. Przed nią stoi trójnóg z brązu, z którego ulatuje dym z kadzidła. Nad jej głową wznoszą się trzy posągi Buddów, pokryte złotymi liśćmi. Jest zimno i mokro. Robi się jasno. Szare sylwetki mniszek wchodzi po kolei do sali modlitewnej.

W klasztorze czas się już nie liczy. Bo za bardzo był liczony. Bo licząc czas, odkrywa się życie w zwolnionym tempie, przemienność bieli i czerni. Jak ryba w akwarium, ona zanurza się w wierze, wpada w wir melancholii, gdy napotyka mur iluzji.

Wczoraj, kiedy stawiała się u bram klasztoru, miała czterdzieści lat. Dzisiaj ma sześćdziesiąt. Na początku zaznaczała w zeszycie dni i miesiące. Teraz dostrzega jedynie następujące po sobie cztery pory roku. Wiosna powraca i rozbija się o góry, jak ogromna fala pachnących kwiatów i pszczelich rojów. Fala wycofuje się pod koniec jesieni, pozostawiając góry z ciemnymi drzewami, czarnymi chmurami ciężkimi od deszczu. Jej przyjaciółka, przełożona Świetlista Jasność, zmarła przed dwoma laty. Od tego czasu Czystość Pustki żyje rytmem księżyca, który zaokrągla się i maleje. Życie jest już tylko oczekiwaniem na uwolnienie.

Czystość Pustki wstaje. Splata ręce, opuszcza wzrok, wita mniszki stojące przy swoich poduszkach, które leżą na podłodze. Siadają, kaszlą, wyjmują drewniane ryby i sposobią się do porannej modlitwy. Zjawia się Huiyuang. Przez dwadzieścia

lat wspólnego życia w klasztorze ani razu córka spokojnie z nią nie rozmawiała. Ani razu nie spytała o śmierć ojca i brata. Takim zachowaniem Huiyung narzuca jej dystans, którego ona nie ma prawa przekroczyć.

Surowe klasztorne życie zaciera poczucie bólu i wyrzuty sumienia: ma do siebie pretensje, że była matką, która nie potrafiła ochronić swoich dzieci. Wchodzącą do sali Huiyung wita złączonymi dłońmi. Huiyung nie odwzajemnia pozdrowienia, idzie w stronę ciemnego kąta i tam siada.

Boi się swojej córki, uwielbia ją i podziwia. Ukradkiem obserwuje jej ruchy. Siadając, Huiyung zachwiała się. Jej poduszka zapewne jest podarta. Czystość Pustki nareszcie znajduje okazję, by być jej potrzebną! Bierze nową poduszkę i pośpiesznie zanosí ją córce. Huiyung traktuje matczyne porwy jako podstęp, zamienia poduszki i natychmiast odwraca się do niej tyłem. Czystość Pustki nie skarży się. Z uwagi na wiek ma już prawo do kaprysów starszych mniszek. Udając niedołążność, staje za córką, po czym siada na poduszce, którą tamta pozostawiła.

Z zadowoleniem stwierdza, że córka osiągnęła wyższy poziom wiary. Oderwana od więzów emocjonalnych, Huiyung pozbyła się wszelkiego poczucia przyszłości, ale także przeszłości: wszystkie chwile, które nie są teraźniejszością, zostały wyparte, a ona przeżywa pełnią każdej chwili swoje zjednoczenie z Buddą. Po przebyciu kręgu iluzji pójdzie do Raju Czystej Ziemi. Jako matka Czystość Pustki nie ma trosk na tym padole. Drewniane ryby klekoczą. A ona zamyka oczy i modli się.

Błaga Buddę Amitabhę, Buddę Nieskończonego Światła, Władcę Krainy Czystej Zachodniej Idealnego Szczęścia, który wskazuje Huiyung drogę cudów, nieskalanej i szczęśliwej przyszłości.

Dla małżonka, syna i rodziców prosi o pomoc Bhaisajyaguru, Buddę Uzdrawiającego, Mistrza Wschodniego Raju Czyste-



go Lapis Lazuli i jego bodhisattwów Słońce i Księżyc. Trzymając w lewej ręce dzban, w prawej gałązkę, Bhaisajyaguru obiecuje dar swojej osoby i zwycięstwo nad cierpieniem przeszłości.

Dla siebie prosi o opiekę Buddę Siakjamuni. Z opuszczonym wzrokiem, pogodną twarzą Władca Teraźniejszości panuje nad światem nieczystych i niedoskonałych.

Niech Budda Siakjamuni uwolni ją od udreki.

Niech Budda Siakjamuni da jej siłę do walki z demonami, które pojawiły się w jej wnętrzu.

- Nie jestem demonem.

Zadrżała, słysząc głos.

Drżąc, rozgląda się wokół. Nie ma nikogo.

- Nazywam się Shen Feng - mówi głos. - Jestem twoim lutnikiem.

Mniszka zamyka oczy i skupia się na modlitwie.

- Wszystko jest złudzeniem, ale ja istnieję - powtarza.

- Popatrz na mnie! Istnieję dla ciebie!

Mniszka stara się nie zwracać na niego uwagi.

On zaczyna śpiewać. To nie jest śpiew. Otwierając i zamykając usta, wydaje długie i krótkie dźwięki, które imitują brzmienie cytry. Odgrywa fugę, ale utwór ten nie odpowiada żadnej ze znanych jej i granych przez nią fug. Wyraża radość tonami ciemnymi, a smutek dźwiękami wysokimi i jasnymi. Jest spokojem lasu i chaosem miasta, pasją mężczyzny i łagodnością kobiety.

Znowu ogarnia ją tęsknota, jaką odczuwała we śnie. Przypomina sobie szorstkie, ciepłe ręce, które pieszczą jej nogi, głaszczą biodra, obracają jej ciało jak instrument muzyczny. Widzi siebie pod kwitnącą wiśnią, swoje ciało młodej kobiety, leżące w słońcu. Bierze się w garść. Mocno ścisną peręki różańca i zaczyna się głośno modlić.

On się śmieje i szepcze jej do ucha:

- Gdybym był bogiem, widziałabyś mnie w aureoli światła.

Gdybym był zjawą, nawiedzałbym cię co noc. Gdybym był

duchem drzewa czy skały trafionej niebiańską energią albo li-  
sem obdarzonym inteligencją i mocą przeobrażania, przemie-  
niłbym się w kobietę, abyś przede mną nie uciekała. Jestem,  
kim jestem. Jestem tym, który żyje na przeciwległym zbocz  
góry. Popatrz na mnie! Popatrz na mnie!

Ona zamyka oczy.

- Jestem zwykłym człowiekiem - nalega. - Uczynię cię mo-  
ją najpiękniejszą cytrą. Twój czas przeciął się z moim. Odtąd  
będziemy razem szli przez wszystkie pory roku. Otwórz oczy,  
popatrz na mnie!

Upiera się dalej:

- Przyszedłem z daleka, żeby cię porwać.

Oplata ją ramionami. Ona zaciska zęby i boi się oddychać.  
On szepcze:

- Bo jesteś moją żoną.

Ona czuje rozdarcie pod piersią. Ból, który kiedyś został  
stłumiony, powstrzymany, ogarnia jej członki aż po koniuszki  
palców.

- Kiedy spadnie śnieg, ziemia stanie się biała i trudno bę-  
dzie odróżnić ją od obłoków. Chodź ze mną, wejdź we mnie.  
Pójdziemy zobaczyć śnieg.

Śnieg, miriady białych motylków, wiruje wokół i opada na  
nią. A ona drży z radości. Potrąca głową jakiś przedmiot. Wypro-  
stowuje się i otwiera oczy. Na zewnątrz wprowadzono w ruch duży  
dzwon z brązu. Wokół, na poduszkach, siedzą mniszki, uderzają  
w drewniane ryby i chórem recytują sutry. Głową potrąca plecy  
córci siedzącej przed nią. Huiyuang odwraca się. A ona, zawsty-  
dzona, pochyła się w ukłonie, wstaje i opuszcza salę.

Czystość Pustki biegnie do swojej celi, zastanawiając się,  
czy jest przy zdrowych zmysłach.

Odpina kołnierz, opuszcza tunikę do pasa i naciera ciało  
ręcznikiem. Zanurza twarz w misce. Lodowata studzienna wo-

da podrażnia jej skórę i wysyła zimne tchnienie do głowy. Powstrzymuje oddech, liczy: „1, 2, 3, 4, 5, 6, 7...”. Dodaje, potem dzieli, by stwierdzić, że zachowuje przytomność umysłu.

Na południowym brzegu rzeki Jangcy panują liczne wyznania. Na rogu ulicy, pośród pól, na samym brzegu, pod tysiącletnim drzewem, naprędce sklecone sanktuaria poświęcone są bóstwu lub duchowi zdolnemu do metamorfozy. Ludzie żywi dzielą swą przestrzeń życiową ze zmarłymi, duchami, smokami, półbogami, istotami niebiańskimi. Spotykają się z nimi na zakręcie ulicy, za drzewem, w zrujnowanym domu, przy cmentarzu, na brzegu rzeki. Rozmawiają albo nie rozmawiają. Widzą się nawzajem albo się ignorują. Kochają się, nienawidzą, boją się siebie, unikają się, poszukują, giną. Jeden umiera, drugi żyje. Życie zmarłego jest nie-życiem, a życie boga jest nie-śmiercią. A czy życie śmiertelnika, który zazdrości bogom nieśmiertelności, nie jest śmiercią? Kto żyje? Kto nie żyje? Co znaczy istnieć lub nie istnieć?

- Czystość Pustki, wielkie nieszczęście! Proszę szybko tu przyjść! Proszę przyjść!

Pełen trwogi głos młodej nowicjuszki przerwał jej myśli. Wyciera twarz i pospiesznie wychodzi z celi.

Ze zdumieniem spostrzega, że żołnierze w bojowych strojach weszli do świętych miejsc Buddy. Na klasztorным dziedzińcu obserwują ich wylęknione mniszki. Czystość Pustki zwalnia kroku i szuka w tłumie swojej córki Huiyuang. Nie znajduje jej. Przełożona, stojąca na schodach przed pawilonem przyjęć, daje jej znak. Czystość Pustki wchodzi po schodach. Na honorowym miejscu nieoczekiwany gość porusza wachlarzem z połyskujących piór. Po jedwabnym ubraniu i brązowo-purpurowym ogonie tumaka zdobiącym jego czepek rozpoznaje eunucha intendenta pałacu cesarskiego. Osacza ją powiew przeszłego życia. Drętwieje.

Na jej widok eunuch zrywa się na równe nogi i bije pokłony.

- Wierny sługa, przełożony intendentów służb wewnętrznych, wita Jej Wysokość - deklamuje swoim zniewieściałym głosem.

Nie mogąc już uciec, Czystość Pustki unosi brodę, przybiera wyniosły i zimny ton głosu z dawnych lat i każe mu się podnieść. Mniszka przełożona oddała się tyłem i zamyka za sobą drzwi. Sama wobec swojej przeszłości, Czystość Pustki wypręża się i stoi prosto, jak gdyby od zawsze nosiła ciężką fryzurę Najwyższej Cesarzowej.

Po wielu okolicznościowych formułkach uszanowania i uprzejmości eunuch mówi:

- Na mocy dekretu wydanego przez poprzednie dynastie, prawomocnego do obecnej doby, zbiory z posiadłości należących do klasztorów są zwolnione z podatku. Zasobni w lasy, ziemie i chłopów, mnisi prowadzą handel z sąsiednimi regionami, by powiększyć swoje dobra. Jego Wysokość Cesarz z chwalebnej dynastii Song podejrzewa, że klasztory podlegają przeciw niemu.

Zirytowana, stara się zachować spokój.

- Z darowizn bogatych rodzin i zysków ze zbiorów klasztoru wznoszą pagody, rozdają datki biednym i krzewią wiarę buddyjską.

Eunuch uśmiecha się i zakrywa usta wachlarzem. Patrzy jej prosto w oczy, obserwuje ją, mówiąc:

- Klasztory chronią przestępców, przygarniają chłopów, którzy unikają płacenia podatków i żołnierzy dezertarów z wojny przeciw Północy. Klasztorne sypialnie są pełne dawnych wojowników, którzy niegdyś towarzyszyli pani boskiemu małżonkowi, Cesarzowi założycielowi i zdobywcy Północy. Czy za zebrane pieniądze mnisi kupują broń i przygotowują bunt?

Wytrzymuje spojrzenie eunucha, lecz czuje zawrót głowy i mdłości. Wracają wspomnienia spisków. Przed dwudziestoma laty obecny cesarz Yilong wstąpił na tron po zgładzeniu swych dwóch starszych braci Yifu i Yizhena. Czystość Pustki powstrzymuje złość.

- Na litość Buddów, dlaczego mnisi, którzy ze wszystkiego zrezygnowali, mieliby pragnąć królestwa? Góry należą do wszystkich. W tej okolicy siedem klasztorów głosi orędzie pokoju i miłosierdzia. Bez względu na przeszłość i powód życiowej kłęski ludzie są równi w cierpieniu. Każdy, kto jest pogrążony w rozpacz i zgłodniały, znajduje u nas schronienie, ryż i okrycie. Każdemu, kto chce zacząć życie od nowa, dajemy materiał na budowę chaty, narzędzia do uprawy i ziarno do obsiania pola. Wszystkim, mężczyznom czy kobietom, którzy chcą zerwać ze światem ułudy i przebywać z nami w ciszy i czystości, klasztory otwierają bramę świata Buddów.

Eunuch wybucha śmiechem.

- Jego Wysokość Cesarz słyszał, że jesteś, pani, wmieszana w spisek. Ze mnich przełożony klasztoru Spokojnego Królestwa jest pani kochankiem. Ze ten dawny towarzysz pani czci-godnego małżonka Cesarza założyciela został mnichem zaraz po tym, gdy odwiózł panią do bram klasztoru...

Czystość Pustki przerywa mu:

- Potwarz! Klasztor Spokojne Królestwo jest oddalony o osiem dni marszu. Nie spotkałam już generała Zhenga od chwili, gdy przekroczyłam próg posesji klasztoru Wielkiej Litości.

- Pani, Jego Wysokość Cesarz prosi o poręczenie.

Wtedy od razu pojmuje, jaką wiadomość przynosi eunuch.

- Oficjalnie świat nie wie, że ja żyję. Dwadzieścia lat temu zawiadomiono o mojej śmierci zaraz po tym, jak włożyłam mnisi habit. Niewiele osób zna moje imię i moją przeszłość. „Zmarła” nie może spiskować.

- Miesiąc temu Jego Wysokość Cesarz śnił, że chcesz, pani, pomścić swego syna. Od tego czasu cierpi na bezsenność.

- Zemsta jest sprawą ludzi, a wyznawcy Buddy brzydzą się przemocą i krwią. Yilong niepotrzebnie się niepokoi. Spiskowcy są na Dworze, w jego otoczeniu. Tutaj jesteśmy za daleko, żeby szkodzić.

- Pani, Jego Wysokość Cesarz prosi, aby pani dowiodła swojej niewinności.

Eunuch przestaje się wachlować. Wstaje, podchodzi kilka kroków i znowu bije pokłony. Z rękawa wyciąga skrawek białego jedwabiu i rozkłada go przed nią na stoliku. Na tej nieskazitelnej serwetce stawia mały flakonik zatkany szkarłatnym koreczkiem.

- Wierny sługa życzy pani szczęśliwej podróży.

Bije czołem o podłogę i wycofuje się w szeleście tkaniny.

Mniszka nie odczuwa żadnej złości, najmniejszej urazy.

Jest dopiero południe, ale w pawilonie panuje mrok.

Pośrodku stołu nakrytego na biało ceramiczny flakonik koloru nefrytu wydziela łagodne światło. Po zgrabnym kształcie i subtelnym odcieniu, między błękitem a zielenią, rozpoznaje przedmiot wypalany w wielkich cesarskich piecach, w których pali się stuletnimi drzewami. Jednakże harmonia między formą a barwą jest zakłócona zamykającą flakon nakrętką. Szkarłatna jak kropla krwi, jest chyba wyróżniona z dużego rubinu. Nawet gdy chodzi o skazanych na śmierć, chińscy Cesarze nie zapominają podkreślać swego bogactwa i potęgi, w każdym przedmiocie, chociażby najdrobniejszym, pochodzącym z ich pałaców.

Eunuch przysłany przez Yilonga budzi wspomnienia, które udało jej się obrócić w proch. Dwadzieścia lat temu, wypędzona z Zakazanego Miasta, osiadła w mieście Wu\* z synem i kilkoma jego konkubunami. Yifu się z nią pogodził, znowu traktował ją jak matkę, a nie jak despotyczną Cesarzową. Miasto Wu, poprzecinane kanałami, ustrojone pawilonami o podwiniętych dachach, wynurza się z purpury azalii i szmaragdu wód. Mosty w kształcie trzech ćwiartek księżycy, płaczące wierzby z długimi warkoczami zapowiadały spokojne, szczęśliwe życie z dala od tumultu Dwo-

\* Miasto Wu, obecnie Su Zhou.

ru. Tamtego dnia Yifu, w muślinowych tunikach włożonych jedna na drugą, by widać było wszystkie odcienie i hafty, grał na cytrze w ogrodzie. Z przymkniętymi powiekami, z rozkoszą słuchała jego muzyki. Nagle otworzyły się drzwi, do domu wpadli żołnierze i z szablami w ręku rzucili się na Yifu. Syn bronił się cytrą, która pękła, potem uciekł, przeskakując ogrodowy mur. Wykrzykując jego imię, biegła za ścigającymi go ludźmi. Z mostu zobaczyła, jak usiłuje wybiec z miasta bramą Chuang. Żołnierze go dogonili, zaczęli okładać kijami. Zachwiał się i upadł na ziemię.

Ta sama scena powracała do niej w snach, ale przez dwadzieścia lat tak żarliwie się modliła u stóp Trzech Buddów, że w końcu odpędziła ją ze swych nocy. Ale Yilong, współuczestnik spisku, który doprowadził do zgładzenia Yifu w mieście Wu i Yishena w mieście Xin An, od jakiego bóstwa otrzyma siłę, by zapomnieć? W jaki sposób strach przed zemstą może opuścić człowieka, który popełnił podwójne bratobójstwo?

Jeśli Yilong mocno trzyma cugle władzy absolutnej, dlaczego obawia się Cesarzowej, która została mniszka, starszej kobiety żyjącej z dala od świata? Jeśli po dwudziestu latach postanowił narzucić milczenie matce, to dlatego, że draży go odraza do siebie samego! Prześladowany przez swoją własną pamięć chce wymazać cień dawnej zbrodni poprzez zlecenie kolejnej. Czyż nie jest ukarany swą rozgorączkowaną wyobraźnią i bezsennymi nocami? Dręczenie strachem, czyż to nie początek boskiej kary? Flakonik zwieńczony kroplą krwi zdradza twogę osobę, która go przysłała. Jeżeli Yilong się boi, to dlatego, że czuje się zagrożony. W cesarskich pałacach spiskują zapewne w ukryciu, chcąc zająć jego miejsce. Może jego synowie intrygują, żeby go obalić?

Rozlega się dźwięk wielkiego dzwonu z brązu zapowiadającego następną burzę. Mniszka spleta ręce i zaczyna recytować sutrę. Po co pragnąć zemsty, jeśli jest się już pomszczonym?

Modlitwa działa na nią jak przeczyste źródło przepływające przez jej rozpaloną głowę.

Szuka na sobie jakiegoś przedmiotu, który mogłaby zostawić na pamiątkę Huiyuang. Nadaremnie. Ubrana jest w starą suknię, niczego przy sobie nie znajduje, nawet chusteczki. W pawilonie nie ma też ani tuszu, ani papieru. Potem przychodzi jej do głowy myśl, że córka byłaby zakłopotana listem, że nie powinna zawracać jej z drogi, po raz kolejny przypominając o ich pokrewieństwie. Wzdycha. Może Yilong wysłał też flakonik do Huiyuang. Potrząsa głową. Dlaczegoż miałyby się niepokoić? Huiyuang ze spokojem ducha przyjęłaby śmierć, wiedząc, że wzniesie się ku wyższej sferze oświeconych.

Kratownice drzwi i okien rysują na ziemi cienie. Gdy była mała, brała pędzelek i powielala te linie. Kiedy słońce bladło, spacerowała po podłodze ozdobionej tym, co nazywała „kwiatami słońca”. Jej życie dopiero się zaczynało, była nie wyższa niż duże wazon. Dzisiaj przebyła już drogę wytyczoną przez bogów i dotarła do granicy życia. Te przeżyte sześćdziesiąt lat wydają się tak krótkie jak pieśń grana na cytrze.

Co będzie po śmierci? Chciała iść za swoim dziadkiem do jego podziemnej willi. Płakała nad zimnym ciałem ojca. Towarzyszyła mężowi w umieraniu. Łzami myła umęczone ciało syna. Dlaczego ma jakieś wątpliwości teraz, kiedy jej godzina nareszcie wybiła?

Wyciąga rękę, chwyta flakonik. Zdejmuje purpurową nakrętkę i unosi go do ust.

Chwileczkę! Słońce. Zapomniała pożegnać się ze słońcem! Jeszcze raz popatrzeć na góry i te ich nieprzeliczone drzewa! Pozdrowić wiosnę, wierną przyjaciółkę. Po raz ostatni spojrzeć na swoje życie, ten zamalowany rulon, który się rozwija, ukazując pawilony, kanały, złotą zastawę, ozdobione pióropuszcami konie, żołnierzy w zbrojach, mniszki, dzwony z brązu. Niech wciagnie jeszcze raz, ostatni raz, zapach cyprysów. Jej życie było pięknym



dziełem, wszystkie cierpienia są tylko cieniem i reliefem mającym uwydatnić jego piękno.

Wstaje gwałtownie i idzie do okna. Mocno popycha drewniane płyty, które otwierają się z hałasem. Ze zdziwieniem odkrywa, że świat zewnętrzny zmienił barwę. Różowy, fioletoworóżowy, fioletowy, cynobrowy, pomarańczowy, żółty, błękitny, zielony, biały, wszystkie żywe i delikatne kolory, które zabarwiały obłoki o świcie i o zmierzchu, wyszły jej na przeciw. Mruży oczy, przygryza wargi. Nie, nie śni, wita ją wiosna.

Przechyla flakonik do ust. Mdlący płyn spływa do gardła. Mniszka cofa się, zataczając. Chwyta ją zawrót głowy, posuwa się do przodu, szuka czegoś, na czym mogłaby się oprzeć, i potyka się. Czuje skurecz w piersi, sztywność pleców. Gorzko-słony smak rozlewa się w żołądku; pluje krwią. Wykręcają jej się ręce, mocno się poci i pada na ziemię.

Z daleka dostrzega rozległe ryżowisko, którego wody odbijają błękit nieba. Młody człowiek idzie bruzdą ziemi. Słońce prześlizgujące się między sadzonkami ryżu tatuuje jego gołe kostki nóg. Chłopak zaczyna biec, niemal lecieć. Jak czarna jaskółka, zapowiadająca deszcz, przelatuje dzielącą ich bezmierną przestrzeń. Nagle znika.

To on! Ta istota, która ma lekkość młodzieńca i siłę dorosłego mężczyzny.

- Jestem gałęzią kwitnącej wiśni, a ty cenną wazą - mówi.

Ona odwraca się szybko, ale widzi gęstą szarość. Przeciera oczy, odkrywa, że krwawia.

- Jestem w tobie, a ty mnie nosisz w swoim brzuchu. Razem zwiastujemy radość i nadzieję.

Szuka go po omacku.

- Będziemy na wszystkich obrazach, we wszystkich pawilonach.

Szarość ciemnieje, ona nic już nie widzi.

- Gram na cytrze i robię cytrę. Chcę cię za żonę. Będziesz na moich plecach, w moich ramionach, na moich kolanach, w moim śnie.

Ona znowu kaszle i pluje. Kładzie się na podłodze na wznak. Ogarnia ją ciepło, które unosi jej ciało zmysłowymi falami. Słyszy, jak on szepcze głębokim tonem, takim, jaki tylko cytra zrobiona z tysiącletniego drzewa może ściągnąć ze świata duchów:

- Miasta zostaną podbite i splądrowane. Pałace złupione. Królewskie skarbcze zmieniają właściciela. Wojenna pożoga ogarnie świat. Ale my przejdziemy przez ogień i popioły.

Wstrząsana drgawkami, próbuje się uśmiechnąć. Uśmiech jest przyzwoleniem. Jakiś podmuch porusza jej ciałem, przenika je. Rozdziera ją dojmujący ból, potem ogarnia odrętwienie. Opuszcza swoje oczy, słowa, wspomnienia. Napina jej się skóra. Staje się ziemią, na której spoczywa niebo. Uczucia ciepła, zimna, suchości i wilgoci przebiegają ją jak długie, przyjemne drżenie. Serce słabnie, ale ona nie odczuwa smutku. Podmucha się w nią, wywołując ból nie do zniesienia. Z piersi wyrasta drzewo, inne drzewa wyrastają z pozostałych części ciała. Staje się lasem. Jej liście dźwięczą i tworzą delikatną muzykę. Traci zdolność myślenia. Przelatują przez nią tysiące myśli. Traci słońce. Wznosi się ku tysiącom słońc.

- Jestem twoim skarbem. Czas odejść - mówi głos.

Osiem

## *Rok 581, dynastia Chen*

Wieje wiatr. Kłębi się mgła.

Mgła się zwija, rozciąga jak ażur.

Mgła rozdziera się, odsłaniając błękitne i zielone fale rzeki Jangcy.

Wiatr wieje coraz mocniej. Jak stado owiec przestraszonych burzą chmury uciekają w kąć nieba. Zbijają się w grupę, potem, znowu rozpędzane, rozpraszają się.

Wyłaniają się góry, ukazują swoje strome zbocza.

Mistrz Shen Fenga mawiał, że na zachodzie, w wewnętrznej krainie, drzewa znikają pod śniegiem, a skały zastygają w lodzie. Góry stają się lodowcem, a lodowiec wznosi się wyżej niż wszystkie góry razem, by dźwigać niebo. Kiedy przychodzi wiosna, szczyty topnieją i stają się wezbranymi piersiami. Ze stalaktytów skapują mieniące się krople, rozpryskują się i drażą długie bruzdy w śniegu. Zamarzają, znowu zamieniają się w lód, ale te najszcześniejsze odnajdują się i tworzą strumyki. Kiedy strumyki spływają z lodowca, niektóre znikają. Inne stają się potokami. Potoki płyną w dolinie. Kiedy się łączą, tworzą rzekę. Popychając swe spiętrzenia dalej i dalej, ujawniając kierunki swych ambicji, rzeka wzbiera w deszczu, rusza do szturmów na miasta, a do swojego koryta powraca dopiero wtedy, gdy pozostawi po sobie niezliczone jeziora i kanały, aby opiewali je poeci. Rzeka Jangcy galopuje na wschód. Jej wody szemrzą, huczą, świszczą; nowe

fale popychają te starsze; wiatr niesie błakające się dusze, smutne, ruchliwe, które starają się dotrzeć do oceanu, gdzie będą miały szansę na nieśmiertelność.

Z mgły wyłaniają się dżonki. Shen Feng trzykrotnie macha ręką, ruchem od dołu do góry. Dżonki dopływają do brzegu. Wsiada na jedną z nich. Wyciąga rękę do swojej żony. Ona wspiera się na jego ramieniu i skacze. Shen Feng macha do piratów; nikt się nie dziwi, że towarzyszy mu kobieta. Idzie do kabiny. Ona posłusznie za nim. Owinął jej włosy szalem i dał tunikę pozostawioną przez mistrza. Tak przebrana wygląda na zwyczajną kobietę. Gdy są już sami, obejmuje go, przytula się do niego i opiera głowę na jego ramieniu. Jej policzki wydają się bardziej różowe, wargi bardziej soczyste. Oczy błyszczą w półmroku, starają się ukryć szczęście kobiety nieśmiałej.

Dżonka trzęsie się i odpływa od brzegu. Przed nimi staje jeden z piratów.

- Shen Feng, trzy dni temu mineliśmy twojego mistrza. Czeka na ciebie na północnym brzegu.

- Mój mistrz? - wykrzykuje Shen Feng z radością.

- Masz szczęście, twój mistrz zabiera cię do ziemi swoich przodków. Zobaczysz czerwone sorgo i śnieg. Wyjdź na zewnątrz! Co tu robisz w ciemności?

Wychodzi niepewnie i siada na rufie. Ona trzyma się go jak cień, kładzie się i opiera głowę na jego kolanach.

- Shen Feng, wyglądasz na smutnego. Gniewasz się na nas?

Inny dodaje mocnym głosem:

- Shen Feng, nie martw się. Znajdziesz sobie ładną dziewczynę! Na Północy wszystkie są piękne.

- Mam już kobietę.

- Kobietę? Gdzie ona jest? Zostawiłeś ją w domu?

Piraci wybuchają śmiechem. Wtedy Shen Feng pojmuje, że ona jest dla nich niewidzialna.

Ona pochłania go wzrokiem. Bierze ją za rękę, czuje ciepło jej dłoni i jędrność palców. Ona istnieje. Istnieje wyłącznie dla niego.

Jeden z piratów odzywa się z dziobu dżonki:

- Na Północy generał Yang Jian, który został Cesarzem z dynastii Sui, jest gotów do powołania armii. Jest pochodzenia chińskiego, więc Chińczycy z Południa mu się nie oprą. Wyrocznia mówi, że jest człowiekiem zesłanym przez Niebiosy, by zjednoczyć Północ z Południem.

Inny pirat mówi dalej:

- Gasnąca gwiazda wskazuje Południe. Miesiąc temu komety przeleciała po niebie nad Jian Kang, kiedy Cesarz z dynastii Chen świętował dzień urodzin swojej szesnastoletniej faworyty. Ofiarował jej koncert grany przez tysiąc konkubin.

Inny żartuje:

- Któż nie zna Zhang Lihua o księżycowej twarzy i perłowych zębach? To ona rządzi!

Trzeci ucisza go:

- Nie bądź zazdrosny o Cesarza. Gdybym znalazł sobie równie piękną i inteligentną kobietę, zrobiłbym to samo.

Pierwszy pirat okazuje niezadowolenie:

- Jeśli Południe i Północ się zjednoczą, zaczną nas ścigać i nie będziemy mieli gdzie się podziać!

Dżonki płyną sznurem, powoli się oddalają.

Z dżonki płynącej na przodzie rozlega się śpiew; wszyscy piraci zaczynają nucić:

Płomienie buchają z brzucha ziemi,  
Płomienie spadają ze sklepienia niebieskiego.  
Biegnę, krążę, potykam się i czołgam.  
Gdzie jest moja chata, gdzie moja ziemia?  
Gdzie jest moja żona, gdzie moje dzieci, delikatne  
ręce, które opatrują rany,

Gdzie mój koń i łuk,  
Żelazny hełm, skórzane boty,  
Żołnierska szkarłatna szata, która zlewa się  
z krwią na moim ciele?

Lśnią dachy.  
Wala się mury.  
Księżniczki biegają po ulicy gołymi stopami.  
Kurtyzany z rozwianymi włosami rzucają się z pawilonów.  
Ale ja nie czuję ani strachu, ani rozpaczę.  
Ale ja nie jestem zgłodniały ani spragniony.

Moja busola obraca się ku życiu, wskazując śmierć.  
W jakim królestwie pochowana jest moja przeszłość?  
W jakiej ziemi pochowam moją przyszłość?  
Gdzież jest to Piekło zapisane w Księdze Losu?  
Gdzież jest Ziemia czysta obiecana wszystkim nędzarzom?

Rzeka jest moja łóżnicą; łódź moim cieniem.  
Gwiazdy krążą wokół mnie i mnie pocieszają.  
Dlaczego słońce zbielało?  
Dlaczego księżyc jest ubarwiony na czarno?  
Czy ja żyję?  
Czy już zmarłem?  
Co to za pustka, która mnie wchłania?  
Co to za pustynia, która mnie przenika?

Rozdzierający smutek przeszywa serce Shen Fenga. Unosi głowę i patrzy na niebo, gdzie krąży chmara ptaków. Czasem dają się nieść wiatrowi, czasem lecą pod wiatr, łopocząc skrzydłami. Spojrzeniem szuka żony, znajduje ją obok, przytuloną. Głaszcząc jej szyję, potem twarz. Jego palce zaczepiają o szal, który odlatuje. Zabiera go wiatr. Shen Feng wypręża się, chce go

złapać. Szal faluje i leci ku niebu. Rozpuszczone włosy małżonki puszą się, rozsypują na rufie, sięgają aż do wody. Pasma srebrnobiałe, blad różowe, jasnoczerwone, blad żółte, wyblakłoniebieskie, blad zielone unoszą się na falach pomiędzy rybami i falując, rozpościerają się. Kilka chwil później pokrywają całą powierzchnię wody. Na rzece łączy się przeszłość, terażniejszość i przyszłość, wymieszane nieustannie rwącymi prądami, a Shen Feng widzi już tylko wielobarwną smugę utkaną z włosów małżonki.



Dziewięć

Deszcz, zasłona z drobnych szarych perełek, zamienia się w śnieg. Płatki, najpierw srebrne listki wycięte w kształcie gwiazdek, stają się białym puchem, który opada na Pekin. Dachy tradycyjnych domów podobne są do perłowych skorup, drapacze chmur zaczynają migotać: piętro po piętrze zapalają się światła w biurach. Okna zamieniają się w świecące kwadraty. Wysokie budynki w kolorowe układanki.

Zhang Tsue wyciąga z torby wełniany szal, którym owija głowę. Podnosi kołnierz płaszcza i przechodzi przez ulicę, nie czekając, aż się zapali zielone światło. Samochody suną wokół, piszcząc opony, rozbrzmiewają klaksony.

Nawiedził ją smutek, którego nie potrafi wytłumaczyć. Wczoraj, późnym wieczorem, kiedy w swoim pokoju grała na cytrze, ukazała jej się para - mężczyzna i kobieta, jako dwie blade postaci. Krążyli wokół niej, tańczyli, machając rękami i błagali: „Muzykę poprosimy! Muzykę!”.

Kim oni są? Zjawy czy jakieś istoty z jej wyobraźni? Anioły czy jakieś złowrogie stwory, które ją prześladują?

Zhang Tsue nie ma odwagi powiedzieć o tej wizji matce, która po rozwodzie z ojcem mieszka w Stanach Zjednoczonych. Kiedy matka do niej telefonuje, Zhang mówi, że wszystko w porządku, że jest jej dobrze. Czuje się samotnie. Ojciec jest sławnym wirtuozem cytry. Prowadzi program w telewizji, wygłasza

wykłady, pisze książki i podróżuje po całej Azji z koncertami. Nie ma już czasu dla córki.

Zhang Tsue wdycha powietrze wilgotne od śniegu i przechodzi na drugą stronę ulicy.

- ...Muzykę, poproszę. Muzykę...

Odwraca się gwałtownie.

Jakiś chłopak idzie szybkim krokiem środkiem chodnika i mówi do siebie. Ubrany jest w czarną kurtkę, zamasyście stawia długie nogi, lecz tors ma nieruchomy, plecy lekko przygarbione. Ręce trzyma w kieszeniach, pod pachą niesie pokrowiec od skrzypiec; na cienkiej warstwie śniegu pozostawia ślady, jak nuty na czystym papierze. Wyprzedza ją, wtedy ona dostrzega, że chłopak ma w uchu słuchawkę od telefonu bezprzewodowego. Jest w trakcie rozmowy.

Zhang opuszcza głowę i dalej idzie w swoim tempie.

- Jaki instrument niesiesz?

Zhang unosi głowę i rumieni się aż po uszy. Chłopak czeka na nią przed wejściem do konserwatorium.

- Siedmiostrunową cytrę.

- Siedmiostrunową cytrę? Dzisiaj to wielka rzadkość! Na którym roku jesteś? Może spróbujemy pograć w duecie skrzypce-cytra?

Chciałaby zniknąć pod śniegiem.

- Na cytrze gra się samotnie - odpowiada niewyraźnie.

On rozmyśla przez chwilę i śmieje się.

- Możemy coś napisać.

Idą platanową aleją, która oddziela budynki mieszczące wydziały muzyki zachodniej od budynków z wydziałami muzyki chińskiej.

- Do zobaczenia! Tutaj mnie znajdziesz!

- Do zobaczenia - powtarza Zhang Tsue, czerwieniąc się.

Chłopak skręca w lewo i znika za drzewami. Na końcu alei jest niewielka ścieżka prowadząca do stawu. Mocno trzymając

cytrę w ramionach, Zhang Tsue siada na ławce i obserwuje padający gęsty śnieg. Z dala dochodzi świergotanie instrumentów, także głosów - tenorów i sopranów. Rozpoznaje skrzypce, fortepian, erhu, pipę, obój i xiao i myśli o skrzypku, którego poznała, a który być może także bierze udział w tym chaotycznym popisie.

Uśmiecha się i opiera głowę na cytrze. Nie ma ani śladu wiatru, a jednak śnieg zaczyna wirować. Dwie sylwetki ukazują się pośród śniegowych, kręcących się płatków. Obejmują się i ślizgają, tańcząc na zamarzniętym stawie jak na scenie oświetlonej bladym światłem. Machają w stronę Zhang Tsue długimi rękawami z mgły i śniegu, dają jej znak, by się do nich przyłączyła.

Muzyka jest darem, podśpiewują. Muzyka tworzy słowa, słowa tworzą myśl, myśl tworzy kochanka i kochankę. Przycho-  
dzą na świat jedno dla drugiego. Umierają połączeni tą samą muzyką. Gubią się, potem odnajdują; zapominają, potem sobie przypominają, gdy zapanowuje harmonia. Czas jest muzyką. Bezmiar jest muzyką. Niech nigdy nie milknie! Pisz, proszę. Pisz dla nas!